teksty DRUGIE

JĘZYK I POLITYKA

z treści:

A. Wierzbicka
Język antytotalitarny w Polsce

Wokół Wierzbickiej
(Dyskusja)

J. Bralczyk
O języku Wałęsy

M. Czyżewski, S. Kowalski
Retoryka Wałęsy

M. Janion
Słońce czerwca

J. Rossi
Przewodnik po Gułagu

4
(4) 1990

Redaguje Kolegium:
Edward Balcerzan, Tomasz Burek,
Jerzy Jarzębski, Zdzisław Łapiński,
Ryszard Nycz (redaktor naczelny)

Sekretariat redakcji:
Marek Drabikowski, Andrzej Horubała,
Jacek Kopciński, Joanna Łuczyńska,

Anna Nasiłowska (sekretarz redakcji)

Stale współpracują:
Jan Błoński, Czesław Hernas,
Janusz Sławiński, Stefan Treugutt

Projekt okładki:
Piotr Jaworowski, Marek Wajda

Adres redakcji:
00-330 Warszawa, Nowy Świat 72,
Pałac Staszica, pokój 128,
tel. 26-52-31, w. 101

teksty DRUGIE 4 1990

Dwumiesięcznik Instytutu Badań Literackich PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Elegia na odejście nowomowy

Jakże piękna to była i nieoczekiwana kariera! Nowomowa jako źródło natchnień lirycznych i przedmiot uczonych dywagacji. Ten dialekt biurokracji partyjnej — zmieniony w tworzywo poetyckie przez Nową Falę, opisywany i wyjaśniany przez historyków literatury, językoznawców i socjologów — stawał się z biegiem lat bytem coraz bardziej idealnym, wyniesionym ponad praktykę życia.

Jego apologeci traktowali go od dawna jak obrządek martwej już wiary, jego bluźniercy poczynali sobie z rosnącą bezkarnością. Wkrótce też stało się jasne, że krytyka języka jest krytyką całego systemu społecznego. Dobrze nam się żyło z nowomową! Dziś możemy powiedzieć z poczuciem należycie spełnionego obowiązku: w podkopywaniu systemu mieli swój udział poloniści. Ale kiedy my i nasi sąsiedzi skupialiśmy całą uwagę na mowie zrodzonej w zakamarkach instancji partyjnych, resztę świata intelektualnego, a w każdym razie jego dociekliwsze umysły, zaprzątał program bardziej wyrafinowany.

Zaczęto tam przyglądać się pod nowym kątem tekstom uchodzącym za wzór myśli samowystarczalnej, tj. dziełom artystycznym i naukowym. Dostrzeżono w nich tę samą grę interesów — klasy, płci, rasy, pokolenia — co w tekstach bezwstydnie perswazyjnych. Od czasów Mikołaja Marra i jego szkoły (zjawiska groźnego w ówczesnym klimacie Sowietów, ale w sferze czysto konceptualnej obfitującego w błyskotliwe pomysły) — nie próbowano w tak drastyczny sposób pozbawiać faktów kultury ich politycznej niewinności.

Z naszej jednak perspektywy, ten radykalizm sam siebie obezwładniał. Skoro wszystko podszyte jest żądzą dominacji, na dalszy plan schodzą stopnie jej nasilenia. Przesadny brak zaufania do języka, jak każdy niepohamowany sceptycyzm, stępia naszą wrażliwość na różnicę grubo ciosaną, ale

konieczną do przeprowadzenia w życiu, różnicę między tekstem propagandowym a tekstem pośrednio tylko ożywionym przez impuls ideologiczny, dalej zaś na różnicę między prawdą a fałszem, zamiarem godnym pochwały a zamiarem przewrotnym, rozsądkiem a odruchem irracjonalnym. Doświadczenie ludzi, którzy zetknęli się ze współczesnym państwem despotycznym — w wydaniu nazistowskim, komunistycznym lub islamskim — kazało przyjmować ze wzruszeniem ramion zawiłe rozważania tyczące pośrednich sposobów przymusu i zakamuflowanej propagandy. My mieliśmy do czynienia z przymusem bezpośrednim i propagandą ostentacyjną.

Odwracając się z lekceważeniem od gabinetowych buntowników na Zachodzie i ich problematyki, zajęci pastwieniem się nad dawno już spetryfikowaną i bezsilną nowomową, zaczęliśmy coraz częściej sięgać po broń retoryki, zwykle bezkrytycznie, nie dopuszczając do siebie myśli, że może się ona pewnego dnia obrócić przeciwko nam samym. I oto nadszedł moment, kiedy scena publiczna stanęła otworem dla nieskrępowanej walki na słowa. Mamy wreszcie perswazję, a i demagogię z prawdziwego zdarzenia, taką, która wychodzi od bliskich nam przyzwyczajeń, potrzeb i wierzeń. Obcując ze strupieszałą postacią propagandy, zapomnieliśmy jak atrakcyjna może być wypowiedź publiczna, gdy słuchający czuje do głębi osobisty kontakt z mówcą, mówca zaś może grać na prawdziwych uczuciach swego audytorium, nie rezygnując przy tym ze swoich własnych celów politycznych, tj. z walki o władzę.

Ta forma mowy perswazyjnej ma swoje miejsce w ustroju demokratycznym, ale jej wybuch zastał nas źle przygotowanych. Przyzwyczajeni do języka, który wymierzony był przeciwko wspólnemu i oczywistemu wrogowi, czujemy się zaskoczeni, gdy wypracowane w nim skróty myślowe i zawarty tam ładunek uczuciowy obracają się do wewnątrz, ku składnikom scalonej do niedawna zbiorowości. Otóż trzeba się pogodzić z tym, że ów kolektywny podmiot języka naszej samoobrony (by posłużyć się określeniem Anny Wierzbickiej) już nie istnieje i że wraz z jego rozpadem wyłoniły się różne nowe narzecza polityczne. Narzecza te, jak i osoby nimi się posługujące, wchodzą w nieoczekiwane sojusze i związki. Opis tego procesu to wdzięczne zadanie dla ludzi, którzy zajmowali się dotąd nowomową.

Ale czy analiza dyskursu nam współczesnego i wpływającego na nasze losy może być całkiem bezstronna? Czy da się określić domniemane cele polityczne i prowadzące do nich środki słowne, nie odsłaniając zarazem naszego stosunku do nich? Wątpliwe. Rzecz raczej w tym, byśmy z analizy wynieśli wzmożony stan świadomości — językowej i nie tylko językowej.

Najlepszym lekarstwem na demagogię jest bowiem trzeźwość, krytycyzm, samowiedza.
Można posługiwać się niepoprawną polszczyzną, wikłać w sprzecznościach, i być świetnym, bo przykuwającym uwagę i oddziałującym w pożądanym przez siebie kierunku mówcą. Można też być świetnym mówcą, pozostając w niezgodzie z rzeczywistością.
Ale słowa, choć służą także innym celom, są nie do zastąpienia właśnie przez swoją władzę odnoszenia się do niezależnie od nas istniejącej rzeczywistości. Nawet wówczas, gdy tylko coś komuś nakazujemy, lub do czegoś nakłaniamy, w tle pozostaje niedopowiedziany stan faktyczny — jak go sobie wyobrażamy i jak go sugerujemy słuchaczowi. Imperatyw rzeczywistości, chęć spojrzenia na nią bez pocieszających złudzeń, poddaje słowa, nasze i cudze, najsurowszemu sprawdzianowi. Reszta jest czymś pochodnym. Dlatego teoretyczna znajomość zasadzek, jakie się w słowie kryją, oraz biegłość w rzemiośle nie wystarczają. Jeśli podejmuję jakieś zobowiązanie, to najlepszy słuch językowy moich słuchaczy nie pozwoli im zgadnąć, czy tego zobowiązania dotrzymam. Potrzebny jest jeszcze inny rodzaj wiedzy, np. czy obietnica jest w ogóle realna i jak wywiązywałem się z poprzednich zobowiązań.
Mimo to warsztat historyka literatury nie jest tu chyba bezużyteczny. Przecie zawsze ciekawiło nas nie tylko, co autor miał na myśli, ale i jakie motywy nim kierowały. Intrygowało nas też oddziaływanie sił bezosobowych na układ słów i wynikający z nich sens. Wiedzieliśmy ponadto, że utwór powstaje po to, by go czytano, chce więc zachęcić do siebie, przekonać, uwieść. Wreszcie nie udało się nam nigdy zdusić w sobie świadomości faktu, iż słowa nabierają wagi przez swój związek z rzeczami, teksty zaś — dzięki swojej interpretacji świata. Pozwoliło to nam rozszerzyć swego czasu pole widzenia daleko poza literaturę i objaśnić zjawisko nowomowy. Teraz wylania się obiekt znacznie trudniejszy do uchwycenia, różne odmiany języka ideologicznego, którymi przemawia nie groteskowo obcy nam i wynaturzony stwór instytucjonalny, ale nasza własna „wspólnota komunikacyjna". W bieżącym numerze „Tekstów Drugich" zadania tego podjęli się na prośbę redakcji dwaj socjolodzy i jeden lingwista. Łatwo przewidzieć, że pokusie zmierzenia się z tym dynamicznym procesem nie oprą się w przyszłości również historycy literatury. Będzie to z pożytkiem i dla historii, i dla literatury.

Zdzisław Łapiński

Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN
poleca swoją nową książkę

STAROPOLSKA KULTURA RĘKOPISU

Praca zbiorowa pod redakcją Hanny Dziechcińskiej

Dlaczego w XVII w. całe obszary twórczości literackiej, w tym również dzieła wybitnych autorów, pozostawały w manuskryptach — podczas gdy w poprzednim stuleciu niemal wszyscy pisarze ubiegali się o druk swoich utworów? Jaki był stosunek ówczesnych poetów do własnej twórczości i jaki sens nadawali oni przekazom rękopiśmiennym? Co zawierają dochowane do naszych czasów biblioteczne zasoby rękopisów z tamtej epoki? Jakie rodzaje i gatunki literackie są wśród nich najczęściej reprezentowane? W trzynastu rozprawach składających się na książkę *Staropolska kultura rękopisu* najwybitniejsi znawcy przedmiotu poszukują odpowiedzi na te pytania.

Książkę będzie można kupić w księgarniach prowadzących sprzedaż dwumiesięcznika „Teksty Drugie" lub bezpośrednio w siedzibie wydawnictwa Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa, Nowy Świat 72, Pałac Staszica, pokój 123. Prowadzimy również sprzedaż wysyłkową. Wpłaty w wysokości 13 000 zł (cena katalogowa) prosimy kierować na konto: Instytut Badań Literackich PAN, Wydawnictwo, PBK XIII O. Warszawa, nr 37 0044-3489, z podaniem tytułu książki i dokładnego adresu nadawcy. Koszty przesyłki opłaca wydawca.

Szkice

Anna Wierzbicka

Język antytotalitarny w Polsce: O pewnych mechanizmach samoobrony językowej

Pojęcie dyglosji politycznej

Dobrze znana jest wielka rola, jaką odgrywa manipulacja językowa w krajach totalitarnych i paratotalitarnych. Wśród prac poświęconych temu problemowi można wspomnieć klasyczne ujęcie George'a Orwella (1949) w jego *1984*, głośną *Lingua Tertii Imperii* (1949) Victora Klemperera i wiele nowszych książek i opracowań, takich jak Jakuba Karpińskiego *Mowa do ludu* (1984), podziemna polska publikacja *O języku propagandy* (1979), specjalne numery czasopism emigracyjnych „Aneks" (1979 : 21) i „Kultura" (1979 : 12) czy francuski periodyk „Essais sur le discours sovietique" (Université de Grenoble III).

Ale manipulacja taka to tylko jedna strona medalu. Oficjalny język totalitarny zwykle wytwarza swoje własne przeciwieństwo — podziemny język antytotalitarny. Język antytotalitarny również jest zjawiskiem niezmiernie interesującym i godnym badań; jak dotąd jednak poświęcono mu bardzo mało uwagi — z pewnością mniej, niż jego przeciwieństwu.

W jednym z rzadkich studiów poświęconych temu tematowi Koscinskij (1980 : 136), powołując się na język rosyjski, zauważa:

W warunkach, w których cenzura bezwzględnie tłumi każdy wyraz wolnej myśli i krytyki, pozostaje tylko jedno pole, które nie jest podporządkowane jej kontroli — żywy język potoczny (*narodnyj*).

W innym cennym studium podobnego typu Zaslavsky i Fabris (1982 : 394) piszą:

Jako rezultat cenzury, antynomia między, z jednej strony, normami językowymi ustanowionymi przez politykę językową wprowadzaną przez rząd, z drugiej zaś strony potrzebami spontanicznej (żywej) komunikacji jest rozwiązywana w ten sposób, że „leksykon nierówności" [tj. leksykon antyoficjalny i nieoficjalny — A.W.] jest nie dopuszczany do języka drukowanych publikacji i żyje tylko w języku mówionym (w mowie potocznej). W konsekwencji w języku sowieckim otwiera się wyraźna przepaść między sferami oficjalnej i prywatnej komunikacji językowej. Normy i oczekiwania socjokulturowe w języku związane z problemami polityki, władzy i nierówności — w sferze prywatnej i w sferze oficjalnej stają się tak różne, że można mówić o powstawaniu w sowieckim języku rosyjskim czegoś w rodzaju politycznej dyglosji.

Antynomia między totalitarnym i antytotalitarnym językiem w Polsce stanowi interesujący przypadek takiej politycznej dyglosji.

Co to jest samoobrona językowa?

Samoobrona językowa w ustroju totalitarnym lub paratotalitarnym polega na znajdowaniu sposobów wyrażania (w mniej lub bardziej stałej formie) tych emocji, postaw i myśli, które w kraju zdominowanym przez ostrą kontrolę polityczną nie mogą być wyrażone wprost. Na przykład, jeśli strach lub nienawiść wobec rządów ucisku i jego instytucji nie mogą być wyrażone w wolnej mowie, wolnej prasie lub wolnych publikacjach, to mogą znaleźć wyraz w „podziemnych" słowach i wyrażeniach, i ten właśnie fakt może przynieść zniewolonym ludziom jakiś stopień psychologicznej ulgi i wyzwolenia. Fakt, że te podziemne sposoby mówienia mogą być wspólne dla wszystkich, wiąże ludzi ze sobą i stanowi substytut wolnych stowarzyszeń, organizacji itp., na które reżim nie zezwala. Co więcej, język podziemny (lub „język drugiego obiegu") jest formą narodowej samoobrony przed efektami długofalowej propagandy prania mózgów. Pobudza „podziemne postawy"; pomaga zmniejszyć strach i wzmocnić siłę oporu oraz wolę wytrwania. Jego rola dla zachowania tożsamości narodowej, ducha i wolności wewnętrznej nie może wprost być przeceniona.

Rozważmy np. następujące zdanie, wypowiedziane przez jednego z przywódców podziemnej „Solidarności", Bogdana Lisa, w 1983 roku (Łopiński i in. 1984:185): „Każdy chciałby dożyć końca komuny". Treść tego zdania mówi sama za siebie, ale klucz do jego prawdziwego znaczenia leży w podziemnym słowie *komuna*, które znaczy oczywiście więcej niż po prostu „komunizm". Jest to słowo podsumowujące polskie doświadczenia związane z „realnym komunizmem". Nasuwa ono obraz wielkiej, ciężkiej, bezkształtnej i raczej bezsilnej poczwary. Jest derywowane od słów *komunizm* i *komuniści* przez zastąpienie kolektywnym sufiksem osobowym *-a* sufiksu *-izm* i *-ista/-iści* (por. także *ekstremizm* — *ekstremiści* — *ekstrema* — „ludzie z politycznie skrajnego skrzydła").

W tym kontekście *-izm* jest symbolem pewnej ideologii, *-iści* — symbolem ludzi związanych z tą ideologią, podczas gdy *-a* symbolizuje „realną rzecz" taką, jak ją widzi społeczeństwo, któremu ta ideologia została narzucona. *Komuna* (w omawianym sensie) jest słowem z lat osiemdziesiątych (chociaż — na dużo mniejszą skalę — była używana wcześniej) i ma „zapach" (aurę skojarzeniową) tych lat: przywołuje upadek gospodarki, „kryzys cywilizacji", „okupację" kraju przez jego własny reżim (pod rządami stanu wojennego) i tym podobne. Wyraża całkowite odrzucenie propagandy komunistycznej i totalną wobec niej opozycję.

Innym polskim słowem pochodzącym z łat osiemdziesiątych jest *komuch*. To również substytut *komunizmu*, ale znaczenie ekspresywne tego słowa jest całkiem różne od znaczenia *komuny*. *-Uch* jest sufiksem deprecjonującym, używanym zwykle w słowach o zabarwieniu żartobliwym. Trzy będące w powszechnym użyciu słowa zawierające ten sufiks to *staruch* (stary człowiek, odczuwane jako ktoś wielki, nieokrzesany, i w jakiś sposób odpychający, od „stary"), *maluch* (od „mały") i *dzieciuch* (od „dzieci"). *Maluch* jest także nazwą małego polskiego samochodu (słabej jakości), najtańszego, lecz wciąż nieosiągalnego dla większości polskich rodzin.

-Uch nie jest sufiksem zdrobniającym (*deminutivum*); przeciwnie, jest to *augmentativum* — i dlatego właśnie słowa *maluch* i *dzieciuch*, z właściwymi im implikacjami drobnych rozmiarów, brzmią żartobliwie.

Staruch jest rzadko używaną i trochę komiczną odmianą augmentatywną powszechnie używanej formy *staruszek*, „stary człowiek",

której deminutywny sufiks *-uszek* sugeruje „miłego starego mężczyznę przygarbionego wiekiem, małego w przyjemny sposób".
Nietrudno stąd wywnioskować, że *komuch* jest słowem o zabarwieniu komicznym. Jest to humorystyczna personifikacja reżimu komunistycznego w Polsce. Sugeruje ona niespójną kombinację „dużego" i „małego", „starego" i „dziecinnego", „groźnego" i „słabego", „wielkiego" i „nie traktowanego poważnie". (Mogą się tu pojawiać także komiczne skojarzenia ze słowami *mucha* i *kocmołuch*.)
Oto charakterystyczny przykład użycia tego słowa (przyjaciele Wałęsy gratulują mu nagrody Nobla): „wyczułeś sytuację, Nobla masz, teraz możesz działać na całego, to wszystko jest przeciw 'komuchowi'. Tylko nie daj Bóg, żeby cię 'komuch' zaczął chwalić!" (Łopiński i in. 1984: 178). Ostatnim przykładem, który chciałabym wspomnieć, jest pojawienie się w języku polskim słowa *smerf* (od „Smurf"), używanego jako podziemne określenie członków zmotoryzowanych sił policyjnych, oficjalnie nazywanych ZOMO, używanych w czasie stanu wojennego i potem dla sterroryzowania ludności w Polsce — brutalnych, często pod wpływem narkotyków, wyposażonych w hełmy, tarcze, pałki gumowe i pistolety maszynowe. W czasie demonstracji i strajków w Polsce (w latach osiemdziesiątych) ludzie często skandowali „ZOMO-Gestapo". Ale równocześnie ci brutalni policjanci, łatwo rozpoznawalni po swych militarnych utensyliach, są językowo redukowani do rozmiarów śmiesznych, małych zabawek: „widać snujące się patrole 'smerfów', jak *vox populi* ochrzcił ZOMOwców". (Giełżyński 1988: 1136). W obecnym artykule skupię się na pewnym szczególnym obszarze polskiego języka antytotalitarnego: na określeniach używanych w języku potocznym dla nazwania policji politycznej. Z powodu kluczowego znaczenia owych sił dla ustroju, trudno się dziwić, że potężna ilość energii językowej kierowana jest na to właśnie pole, które dzięki temu przedstawia szczególnie interesujący obszar badawczy.

UB

Czy był choć jeden publiczny proces ubowskich katów, którzy w piwnicach mordowali ludzi, zakopywali trupy pod podłogą, którzy, zresztą po co o tym gadać, wszyscy wiedzą, co UB z ludźmi wyprawiało, a ci, co organizowali wywózki akowców do Rosji, czy którykolwiek z nich odpowiadał przed sądem? (Guzy 1968: 98).

Na pierwszy rzut oka *UB* jest akronimem podobnym do innych. Składa się z dwóch dużych liter, i jest wymawiane w sposób, w jaki te litery są zwykle wymawiane w języku polskim [úbė]. Litery te oznaczają „Urząd Bezpieczeństwa Publicznego", co było oficjalną nazwą policji politycznej w Polsce między 1944 i 1956 rokiem. Mogłoby się więc wydawać, że wiążą się one z nazwą oficjalną tak samo, jak dziesiątki innych obiegowych akronimów i są związane z nazwami różnych instytucji, organizacji itp., na przykład jak *PRL* jest związany z Polską Rzeczpospolitą Ludową, czy *ZMP* ze Związkiem Młodzieży Polskiej, *PPR* z Polską Partią Robotniczą czy *ZSRR* ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich. W rzeczywistości jednak w przypadku *UB* relacja między akronimem i pełną nazwą jest inna.

Zazwyczaj pełne oficjalne nazwy, jak te przytoczone wyżej, nie są arbitralnymi określeniami, służącymi po prostu do identyfikacji pewnych bytów politycznych. Są także deskrypcjami, które prezentują te byty w jakimś świetle i usiłują narzucić pewną interpretację i pewien obraz, obraz pozytywny. Na przykład nazwa „Polska Rzeczpospolita Ludowa" została wprowadzona w Polsce w 1945 roku jako świadoma opozycja wobec „normalnej" nazwy kraju (Polska) i była to świadoma próba złamania wierności narodu wobec „Polski" *tout court*, z jej tysiącletnią historią i tradycją, mająca doprowadzić do identyfikowania się obywateli nie z Polską, ale z Polską komunistyczną, przedstawianą przez nową nazwę jako „Polska Ludowa". Użyta tu technika propagandowa jest oczywiście dobrze znana. Jeżeli w *1984* Orwella pierwotne ministerstwo wojny zostaje oficjalnie nazwane „Ministerstwem Pokoju", a ministerstwo propagandy „Ministerstwem Prawdy", tłumaczy się to tym, że nazwy bytów politycznych są same w sobie ważnymi środkami propagandowymi.

Akronim różni się zasadniczo od pełnej nazwy, ponieważ jego normalną funkcją JEST identyfikacja. Na przykład *PRL* identyfikuje pewien byt polityczny bez szczególnej interpretacji i bez pozytywnej oceny. Nie jest to ten sam byt, co ten identyfikowany przez nazwę *Polska*, ponieważ *PRL* odnosi się do szczególnej ramy czasowej (po II wojnie światowej) i przywołuje rzeczywistość socjopolityczną zwązaną z tą ramą. Z tego powodu *PRL* (w odróżnieniu od *Peerelu*) może być użyte zarówno w oficjalnych (nadziemnych), jak i nieoficjalnych (podziemnych) publikacjach w Polsce. W języku codziennym

akronim ten jest powszechnie używany z goryczą i pogardą (tym niemniej jest on także częścią języka oficjalnego, w którym pojawia się w pozytywnych i ultrapozytywnych kontekstach). A więc należy wnosić, że z semantycznego punktu widzenia *PRL* jest neutralne; w kontekście może przybierać konotacje pozytywne lub negatywne ale w sam ten akronim nie jest wbudowana żadna ocena. Inne wspomniane wcześniej akronimy (*ZMP*, *PPR*, czy *ZSRR*) są, z semantycznego punktu widzenia, równie neutralne.
Ale *UB* nie jest.
W Polsce akronim *UB* nabrał tak silnych i nieoddzielnych od niego konotacji ujemnych, że żaden oficjalny nacisk w przeciwnym kierunku nie potrafił ich przezwyciężyć.
W apogeum rządów stalinowskich w Polsce kolumny młodych ludzi w zielonych koszulach i czerwonych krawatach maszerowały ulicami Warszawy (w stylu Hitlerjugend), śpiewając:

My ZMP — my ZMP
Reakcji nie boimy się.

Ale jest nie do pomyślenia, żeby *UB* mogło być użyte w podobny sposób. *UB* posiada nieodłącznie w nim tkwiące konotacje, podobne do tych związanych z *Gestapo* (co jest szczególnie wymowne, jeśli zważyć, że polskie *bezpieczeństwo* znaczy nie tylko „pewność, zabezpieczenie" — *security*, ale i „bezpieczeństwo" — *safety*).
W nieformalnym rejestrze języka oficjalnego w Polsce komunistycznej (tj. w nieformalnej mowie nomenklatury) nazwa *Urząd Bezpieczeństwa* była często skracana do formy *Bezpieczeństwo* lub zmieniana na substytuty takie jak *organa* lub *aparat*, ale, o ile wiadomo, nigdy nie była skracana do formy *UB*.
Tak na przykład w wywiadzie, jakiego Jakub Berman, kluczowy członek Politbiura, odpowiedzialny za Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1948—1956, udzielił Teresie Torańskiej — młodej niezależnej dziennikarce, Berman przez cały czas określa tę instytucję jako *Bezpieczeństwo*, podczas gdy Torańska konsekwentnie używa formy *UB* (chyba że cytuje, ironicznie, bermanowskie użycie słowa *Bezpieczeństwo*). Na przykład:

Berman:
Przedstawiciele naszego Bezpieczeństwa byli zaproszeni wówczas do Budapesztu, bo doradcy radzieccy za wszelką cenę chcieli wykorzystać sprawę Rajka dla nas i partii, byśmy taki sam proces zrobili u siebie.

Torańska:
Podobno na dwa tygodnie przed procesem Rajk w czasie przesłuchania w obecności waszych dwóch funkcjonariuszy UB [podkreślenia moje — A.W.] odwołał swoje wcześniejsze przyznanie się do zdrady i szpiegostwa? (Torańska 1985 : 334).

Kontrast między określeniem Bermana: „nasze Bezpieczeństwo" i określeniem Torańskiej: „wasze UB" jest bardzo charakterystyczny (zwłaszcza że Berman autoryzował tekst wywiadu).
Warto również porównać bermanowskie użycie słowa *Bezpieczeństwo* z używanym przez Torańską skrótem *UB* w następujących fragmentach:

Berman:
Dwa razy zgłaszałem dymisję do Bieruta, nie ogólną, ale dotyczącą opieki nad Bezpieczeństwem. Miałem tych resortów do diabła i trochę, tak że i bez Bezpieczeństwa starczyłoby mi pracy na cały dzień, ale Bierut przeciwstawiał się mojemu odejściu. (...) Często też wyłączałem się od kontaktów z Bezpieczeństwem, które były dla mnie przykre, na kilka miesięcy, a nawet na pół roku. (...) Być może, rozsądniej byłoby się oprzeć i w ogóle zrzec się opieki nad Bezpieczeństwem, kto wie.

Torańska:
Zgoda. A czy znal pan metody śledcze stosowane w UB?

Berman:
Dochodziły do mnie takie sygnały, lecz traktowałem je jako plotki.

Torańska:
Dobrze, działalność UB to sprawy polityczne, może pan zasłaniać się niewiedzą (s. 174).

I jeszcze jeden cytat, który tłumaczy specjalne znaczenie, jakiego nabrał akronim *UB* w Polsce:

Torańska:
I by ją zrealizować [tę wizję] UB spaliło ponad 300 gospodarstw w osadzie Wąwolnica w powiecie puławskim; wieszało ludzi nogami do góry i wstrzykiwało im wodę do nosa oraz zaciskało obręcze na głowach do zemdlenia; wbijało drzazgi pod paznokcie więźniom w Bochni (...) Te mordy, palenia, tortury, na taką skalę nie znane w Polsce od wieków, były elementem kampanii wyborczej do referendum oraz do pierwszego i ostatniego z udziałem PSL-u sejmu, które to wybory mieliście wygrać jeszcze przed wyborami, jak chciał Stalin (Torańska 1985 : 293).

W przywołanym okresie polskiej historii sama nazwa (*UB*) tak silnie skojarzyła się z bezimiennym złem, że niemożliwe stało się zachowanie go w języku oficjalnej propagandy, jakby sam oficjalny język nie śmiał go rzucać ludziom prosto w twarz. W mowie potocznej akronim *UB* był zwykle wymawiany szeptem, jakby ludzie bali się

wypowiadać go głośno — czując, że każde wypowiedzenie tego złowieszczego słowa mogłoby zdradzić ich strach i odrazę.
Inną przyczyną, dla której akronim ten nabył owego charakteru *sotto voce*, było to, że pracownicy omawianej instytucji zazwyczaj ukrywali swoją przynależność do niej. Najczęściej byli oni „tajnymi agentami" i niebezpieczne wydawało się nawet otwarte napomknięcie o nich.
Kiedy w czerwcu 1956 robotnicy Poznania wyszli demonstrować na ulicach i skandowali: „Wolności i chleba, wypuście Wyszyńskiego, precz z UB" („Zeszyty Historyczne" 1983, 65, s. 189), był to prawdopodobnie pierwszy przypadek, że słowo *UB* zabrzmiało jawnie, głośno, na ulicach — i miało to, należy przypuszczać, efekt wyzwalający, nawet jeśli zaraz potem: „Na skrzyżowaniach ulic stanęły czołgi, z bruku zbierano ciała pomordowanych" (ibidem). *UB* nie jest po prostu słowem z „negatywnymi konotacjami". Jego znaczenie jest o wiele ściślej sprecyzowane. Konotuje ono zło, terror, „bezimienność" i nieprzewidywalność. Ludzie, którzy należą do tej instytucji, są postrzegani jako anonimowe narzędzia czegoś, co jest złe, przerażające, nieobliczalne i co może w każdej chwili porazić każdego.
Gramatycznie słowo *UB* było prawie zawsze używane w rodzaju nijakim, mimo że podstawowy rzeczownik, *urząd*, jest rodzaju męskiego. Na przykład: „aresztowało go UB" (Torańska 1985 : 338). Pod tym względem także *UB* różni się od większości innych akronimów, które w języku oficjalnym (a niekiedy nawet w języku nieoficjalnym) mogły czasem utrzymać rodzaj gramatyczny głównego rzeczownika. Na przykład *ZMS*, zwykle używane w rodzaju nijakim, mogło być użyte w języku oficjalnym jako nazwa rodzaju męskiego, ponieważ podstawowy rzeczownik pełnej nazwy — *związek* — jest rodzaju męskiego. Ta zdolność niektórych akronimów do zachowania rodzaju rzeczownika podstawowego wskazuje na związek, jaki dalej istniał w języku oficjalnym między nimi a pełną nazwą nasyconą treściami propagandowymi. Ale wydaje się, że *UB* niemal nigdy nie było używane jako rzeczownik rodzaju męskiego, jako że nigdy nie zadomowiło się w języku oficjalnym (ze względu na powściągliwość reżimu w otwartym powoływaniu się na tę instytucję, a także z powodu intensywności negatywnych uczuć kojarzonych z tą nazwą w języku potocznym).

W publikacjach cenzurowanych akronim *UB* pojawiał się tylko sporadycznie (por. np. Machejek 1969/1957 : 226).
W opowiadaniu pewnego wybitnego pisarza opozycyjnego, w owym czasie oddanego jeszcze reżimowi, prawomyślna bohaterka namawia swego politycznie błądzącego kochanka do przyznania się i okazania skruchy: „Idź do Urzędu Bezpieczeństwa!" (Tadeusz Konwicki 1973/1960 : 117). Kombinacja intymnej sytuacji, która — jak można by przypuszczać — wymagałaby języka potocznego, i oficjalnej, prawomyślnej pełnej nazwy Urząd Bezpieczeństwa wywołuje efekt komiczny i podkreśla niewiarygodność całego opowiadania.
Warto odnotować, że chociaż po reorganizacji „sił bezpieczeństwa" w połowie lat pięćdziesiątych „Urząd Bezpieczeństwa" formalnie przestał istnieć (por. Dziewanowski 1977), to akronim *UB* nie zniknął z mowy potocznej, i że bywał — i bywa — używany (w mowie potocznej) w odniesieniu do bieżących działań „sił bezpieczeństwa" — szczególnie w odniesieniu do działań niejawnych w rodzaju szerzenia pogłosek czy organizowania prowokacji. Na przykład w tomie dokumentów opublikowanych w Paryżu w 1969 roku, antysemickie ulotki rozprowadzane przez „siły bezpieczeństwa" wśród studentów w Polsce w 1968 roku są określane jako „prowokacyjne ulotki UB" („Dokumenty" 1969 : 139).
W szczególności skrót *UB* przetrwał jako temat słowotwórczy dla derywatów takich jak *ubek*, *ubol*, *ubecki*, *ubecja*, itp. Warto także odnotować wyrażenie *z ubowa* (por. np. Nowakowski 1983 b : 32), żartobliwy eufemizm wskazujący na przypuszczalnego członka lub współpracownika tajnej policji. Eufemizm ten należy, jak się zdaje, raczej do okresu po roku 1956 niż do czasów „starego UB" (por. cytat z samizdatowej opery komicznej przywoływanej poniżej w części V).
W istocie można by rzec, że z upływem czasu akronim *UB* przekształcił się w pełnoprawne słowo (*Ube*) — fakt, który homofonia między tym słowem a akronimem może czynić trudnym do zauważenia, ale który zauważył Barwicz (1970), konsekwentnie używający nieortodoksyjnego, lecz wymownego zapisu UBE.

Ubowcy i ubowski

Sufiks *-owiec* (l. mn. *-owcy*) jest powszechnie używany w języku polskim do derywowania *nomina personae* od rzeczowników podstawowych i bardzo często od akronimów. Zazwyczaj słowa na *-owiec* określają członków organizacji, stowarzyszeń, partii itp., bardziej zaś ogólnie — „ludzi, którzy chcą razem robić te same rzeczy". Na przykład *niepodległościowcy* to ludzie wspólnie zaangażowani w walkę o niepodległość, a *solidarnościowcy* to ludzie wspólnie zaangażowani w działalność „Solidarności" lub w walkę o „Solidarność". Rzeczowniki pospolite *akowcy*, *zetempowcy* i *korowcy* określają członków AK (Armia Krajowa, walcząca przeciw nazistowskim Niemcom w czasie II Wojny Światowej), ZMP (stalinowski Związek Młodzieży Polskiej) i KOR (Komitet Obrony Robotników, ciało utworzone przez polskich intelektualistów dla obrony robotników przed represjami po rozruchach w 1976 roku); *zomowcy* — członkowie ZOMO (zmotoryzowane jednostki policji używane do terroryzowania ludności w Polsce Ludowej).

Jak wskazują powyższe przykłady, sam w sobie sufiks *-owiec* (*-owcy*) nie implikuje ani pozytywnej, ani negatywnej oceny. Na przykład słowo *zetempowcy* mogło być użyte zarówno w oficjalnej propagandzie, gloryfikującej tę stalinowską organizację, jak i w mowie tych, którzy czuli do niej awersję.

Ale słowo *ubowcy* różni się w tym względzie od innych, gdyż niesie zawsze negatywne konotacje. W dalszej części tego artykułu porównam je bliżej z innymi słowami używanymi w powojennej Polsce w odniesieniu do członków tajnej policji, a w szczególności z *ubekami*, *esbekami* i *ubolami*. Tymczasem odnotuję tylko, że słowo *ubowcy* zasadniczo przynależy (podobnie jak *UB*) do epoki stalinowskiej i że — inaczej niż pozostałe słowa tej kategorii — jest kojarzone z terrorem i złem. Posiada wszystkie „złe" konotacje słowa *UB* plus jeden dodatkowy element pochodzący od sufiksu *-owiec*: „myślę o nich jako o ludziach, którzy chcą razem robić te same rzeczy".

Dwa charakterystyczne przykłady:

Tutaj ich osadzono. „Oni" opowiada o pierwszych, pionierskich latach; o tęsknocie za rodzinną wioską, o tych „Niemcach", jak mówi, którzy tutaj mieszkali i mówili po polsku; o ubowcach, którzy ich nachodzili nocami, nazywając ukraińską, czarnopodniebienną swołoczą, tak że nocami czuwali na zmianę ostrzegając o zbliżaniu się gnębicieli (Nowakowski 1983 b: 66).

Renta dała mi w efekcie postne życie i wolny czas. To jest cenne. Dużo czytałem i czytam. Sięgam do rzetelnej historii. Świat łagrów, tłumy tych czekistów, enkawudzistów, ubowców i innych katów (Nowakowski 1983 a : 63).

Należy dodać, że przymiotnik *ubowski* derywowany od *UB* i ściśle związany z *ubowcami*, posiada bardzo podobną do tych dwóch rzeczowników zawartość semantyczną. Oto kolejny charakterystyczny przykład:

Zakres wszystkich form represji był bardzo duży (...). I liczby: 50, a przed wyborami do sejmu i 100 wyroków śmierci miesięcznie, ogłoszonych w „Głosie Ludu" obok cen kartofli i cebuli oraz 100 tysięcy (według obliczeń MBP) lub 150 tysięcy (według późniejszego MSW) trzymanych w więzieniach i piwnicach U B - o w s k i c h (Torańska 1985 : 287).

Godny uwagi jest fakt, że chociaż słowa *ubowcy* i *ubowski* odgrywały w świadomości polskiej w pierwszej dekadzie po II wojnie światowej wielką rolę, nie zostały one odnotowane w monumentalnym dwunastotomowym *Słowniku Języka Polskiego* (SJP 1958—69), mimo że inne słowa derywowane od akronimów, nawet bardziej marginesowe, były zwykle do niego włączane (por. na przykład hasła słów derywowanych od *ZMP*, *ZMS* lub *ZSL*). To samo dotyczy innych derywatów *UB* (*ubecy*, *ubecki* etc.), które będą omawiane w tym artykule. Jest to typowy przykład tego, jak działa leksykografia w systemach totalitarnych lub paratotalitarnych.

Bezpieka

Bezpieka jest popularnym polskim określeniem na (komunistyczną) policję polityczną. Formalnie słowo to jest derywowane od *Bezpieczeństwa*. Ale, jak wspominałam wcześniej, *Bezpieczeństwo* zawiera pozytywną ocenę i należy do języka nomenklatury; nigdy nie jest ono używane w mowie potocznej (poza ironicznym przytoczeniem języka oficjalnego). W istocie forma *bezpieka* może być odbierana jako na wpół świadoma deformacja *Bezpieczeństwa* i jako umyślne odrzucenie jego pozytywnych konotacji.

Bardziej niż jakiekolwiek inne słowo omawiane w tym artykule, *bezpieka* jest symbolem ciągłości (w odczuciu społecznym) sił

bezpieczeństwa w PRL. W całej historii PRL było to słowo szeroko używane i obraz w nim odbity nie zmienił się przez cały ten okres. Sufiks *-a* pełni w języku polskim wiele różnych funkcji, których nie można sprowadzić do wspólnego mianownika. Zresztą nie chodzi tu o proste dodanie sufiksu *-a*, ale raczej o specjalny proces morfologiczny, który można opisać jako „odrzucenie" sufiksu i pewnych pozytywnych treści niesionych przez formę zawierającą ten sufiks oraz zastąpienie tego „odrzuconego" sufiksu przez kolektywne, „dehumanizujące" i tym samym pejoratywne (w tym kontekście) *-a*. Omawiany model morfologiczny można zilustrować przykładami:

komuniści → komuna
konserwatyści → konserwa
ekstremiści → ekstrema

Wszystkie te rzeczowniki — *komuna*, *konserwa* i *ekstrema* — zawierają w sobie składnik semantyczny, którego zupełnie nie ma w ich podstawach słowotwórczych i który musi być związany z wprowadzeniem kolektywnego i „dehumanizującego" (w tym kontekście morfologicznym) sufiksu *-a*: „myślę, że ci ludzie są jak jedna wielka rzecz, która robi złe rzeczy".
(Nie oznacza to, że wszystkie te słowa mają jednakową wartość pejoratywną; tak nie jest, ale posiadają one pewne wspólne składniki znaczeniowe.) Ten sam składnik zawarty jest również w znaczeniu słowa *bezpieka*. Nie wystarczy więc powiedzieć, że *bezpieka* jest słowem pejoratywnym, bo *UB* jest także pejoratywne, a jednak wartość semantyczna i „barwa" każdego z tych słów jest inna.
UB ze swoim rodzajem nijakim jest również „zdehumanizowane"; jest to bezosobowe „ono"; ale słowo to odsyła do ludzi (do *ubowców*) nie mniej niż do samej instytucji. Natomiast *bezpieka* odnosi się przede wszystkim do samej instytucji. Gdy ludzie byli wzywani do kwatery tajnej policji, mówiło się, że byli wzywani „na UB" a nie „na Bezpiekę". *Bezpieka* była odbierana jako paralelna do armii wielka instytucja, jako część systemu politycznego.
Ale związek z *komuną*, *ekstremą* lub *konserwą* nie wyczerpuje bynajmniej całego pola morfologicznych i semantycznych skojarzeń *bezpieki*. Przeciwnie, jest to słowo leżące w centrum niezwykle bogatej i złożonej sieci relacji semantycznych.
Tak więc odbierze się je na tle kategorii pejoratywnych rzeczowników rodzaju żeńskiego odnoszących się do grupy ludzi, takich jak *klika*,

zgraja lub *banda*, określających ludzi, którzy „chcą wspólnie robić złe rzeczy".
Słowo to kojarzy się również w odbiorze z kategorią rzeczowników rodzaju żeńskiego oznaczających sytuacje, w których uczestniczą grupy ludzi „którzy wspólnie chcą robić złe rzeczy", sytuacji takich jak *draka*, *heca*, *afera*, *melina* lub *rozróba*. Słowa tego typu są odczuwane jako zarówno wulgarne, jak i pejoratywne, i stąd sugestia, że jest to instytucja składająca się z gangsterów, którzy mają poczucie, że są ponad prawem.
Związki te powodują, że podczas gdy *UB* kojarzy się z czymś bezgłośnym, tajnym, działającym w ukryciu, *bezpieka* kojarzy się z czymś głośnym, krzykliwym, i wywołuje obraz czegoś dużego i aroganckiego. Na przykład Nowakowski (1983 b:37) pisze: „Tam znów grasuje bezpieka". Użyty tutaj czasownik *grasować* jest zwykle stosowany wobec rozbójników, gangsterów, wilków itp.
Ponadto *bezpiekę* odbiera się jako rodzaj augmentatywu: przywołuje ona rzeczowniki, takie jak *beka* (od *beczka*) lub *teka* (od *teczka*). W języku polskim istnieje wiele innych rzeczowników, które kończą się na *-eka* i które nie posiadają podobnych skojarzeń z augmentatywami, np. *pasieka*, *apteka*, *rzeka*; ale *bezpieka* jest inna, ponieważ w tym słowie *-k* wchodzi na miejsce *-cz (bezpieczeństwo → bezpieka)*, a w jęzku polskim taka substytucja zwykle wskazuje na augmentację. Na przykład:

pączek	→ pąk	(cz → k	-ek → Ø)
pęczek	→ pęk	(cz → k	ek → Ø)
teczka	→ teka	(cz → k	ek → Ø)
beczka	→ beka	(cz → k	ek → Ø)

Sądzę, że ten intuicyjnie odczuwany związek formy *bezpieka* z augmentatywem uzasadnia składnik „jakaś duża rzecz" zawarty w jego formule semantycznej, podczas gdy związki z rzeczownikami takimi jak *banda*, *klika*, *zgraja* lub *heca*, *draka*, *melina*, *rozróba*, uzasadniają składnik „to jest jak jakaś duża rzecz, która robi złe rzeczy, i która chce robić złe rzeczy". O ile w *UB* jest coś ponurego, anonimowego i złego, to w *bezpiece* jest coś gangsterskiego. To pierwsze jest związane z tajnymi i anonimowymi działaniami, takimi jak torturowanie ludzi w piwnicach; to drugie kojarzy się z jaskrawo gangsterskim zachowaniem na dużą skalę, łatwo widocznym w życiu publicznym.

W jednej ze współczesnych polskich powieści (Guzy 1982) narrator--nauczyciel opisuje wizytę kilku agentów tajnej policji w szkole średniej. Publicznie, przybysze są przedstawieni (przez nauczyciela) następująco: „Ci panowie, którzy tu przyszli ze mną są z Urzędu Bezpieczeństwa" (s. 61). W myślach jednak ten sam nauczyciel określa „panów z Urzędu Bezpieczeństwa" jako „bańdziorów z bezpieki". Przed wizytą trzeba było zmyć ze ściany napisy, mówiące: „Hańba oprawcom z UB". Pełna nazwa „Urząd Bezpieczeństwa" należy do języka oficjalnego i posiada pozytywną aurę. Oba słowa, *bezpieka* i *UB*, należą do języka podziemnego i oba są negatywne, ale są negatywne w różny sposób, różnicę zaś między nimi uwydatnia dobór słów, jakie im często towarzyszą: *oprawcy* — *UB* i *bandziory* — *bezpieka*. Słowo *oprawcy* podkreśla składnik „oni robią złe rzeczy ludziom" zawarty w *UB*, podczas gdy *bandziory* podkreśla składniki „oni robią złe rzeczy" i „oni chcą robić złe rzeczy" zawarte w *bezpiece*.

Warto w związku z tym zauważyć, że formę *bezpieka* odbiera się również jako echo nazwy analogicznej instytucji sowieckiej – *Czeka* (w Rosji *Czeka* była odbierana jako akronim *„czerezwyczajnej komisji"* — Komisji Nadzwyczajnej); ale w języku polskim była to po prostu nazwa własna — niezrozumiała w swojej strukturze, ale o konotacjach dalekich od pochlebnych (chociaż nie aż tak złowieszczych, jak te związane z nazwą *NKWD*, z którą to instytucją wielu Polaków miało bezpośrednio do czynienia i to całkiem niedawno).

W słowie *bezpieka* jest coś wyzywającego i szyderczego, a przynajmniej nadaje się ono łatwo do wyzywających, szyderczych czy ironicznych użyć, podczas gdy *UB* brzmi ponuro i poważnie. Warto odnotować w związku z tym, że w satyrycznej operze Janusza Szpotańskiego instytucja ta jest zwykle nazywana *bezpieką*, a nie *UB*. W zarysowanej wyżej eksplikacji nie ma nic otwarcie buntowniczego, ironicznego czy szyderczego. Ale składnik: „jest to podobne do dużej rzeczy, która robi złe rzeczy i która chce robić złe rzeczy" wyjaśnia w pewnym stopniu, dlaczego nazwa ta nadaje się szczególnie do takich użyć, ponieważ sugeruje coś niespójnego i groteskowego, jak również złośliwego.

Można by dodać, że w odróżnieniu od słów opartych o podstawę *ub-*, *bezpieka* JEST odnotowana w SJP: hasło to nie podaje jednak żadnego przykładu i zawiera tylko objaśnienie: „kolokwialne: określające Urząd Bezpieczeństwa Publicznego". (Możliwe jest

oczywiście, że wydawcy próbowali włączyć cytat i bardziej wyczerpujący komentarz, ale że nie dopuściła do tego cenzura.)

Ubecy

W późnych latach czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych członkowie UB byli powszechnie (choć nie wyłącznie) nazywani *ubowcami*. Od tego czasu jednak to ponure i złowieszcze słowo, ze swą aurą potajemnej, bezimiennej brutalności i ciemnej mocy, wyraźnie zanika i staje się raczej przestarzałe, chociaż jak się zdaje w skromnym stopniu wróciło ono w czasie stanu wojennego, na co wskazuje następujący przykład: „Moim zdaniem, to jest zakamuflowany ubowiec, który odsłonił się wreszcie" (Nowakowski 1983a:31).

Na ogół jednak słowo *ubowcy* zostało zastąpione w powszechnym użyciu przez inne słowo — *ubecy* (w liczbie pojedynczej — *ubek*), słowo również derywowane od *UB*, ale różniące się od *ubowców* zarówno strukturą, jak i znaczeniem.

W przybliżeniu można by powiedzieć, że jeżeli słowo *ubowcy* kojarzy się ze strachem i odrazą, to słowo *ubecy* kojarzy się z pogardą i lekceważeniem.

Jest rzeczą interesującą, że nawet wygląd fizyczny *ubowców* i *ubeków* jest różny: pierwszy był kojarzony z mundurami policyjnymi lub czarnymi skórzanymi płaszczami, drugi — z płaszczami z lekkiego, nieprzemakalnego, podobnego do nylonu materiału, zwanego „ortalionem". *Ubecy* stali się psychologicznie „mniejsi" i mniej groźni, ale było ich więcej. Na przykład:

> i tak na mnie patrzą, świdrują mnie oczami, dwóch ich było, w takich czarnych skórzanych płaszczach, jak dawniej gestapo. Tak, ja jestem Niesztorowa, czego panowie sobie życzą? a oni tymi oczami, jakby mi chcieli pod czaszkę zajrzeć (Guzy 1968:20; odnosi się do 1947 roku).

Porównajmy ten opis z obrazem *ubeków* w operze komicznej Szpotańskiego na temat policji politycznej w Polsce z czasów Władysława Gomułki (po 1956 roku):

> Nie mamy już dawnych zakazanych mord
> Choć serca wciąż mamy sobacze
> Dziś Cichy sprzedaje mundurowy sort

Wygląda więc inaczej, ach inaczej.
W ubranku z cedetu, w koszulce z PKO,
Szeleszcząc wytwornym ortalionem.
Wkraczają do kawiarń, na bale, do kło
Te ciche, te smutne bataliony.

Przykłady te wyraźnie pokazują obraz *ubeka* pomniejszony, bardziej tandetny i zakamuflowany, a zarazem skojarzony z większą ilością agentów infiltrujących wszystkie sfery życia społecznego.
W operze Szpotańskiego aria zbiorowa śpiewana przez grupę tajnych policjantów jest zatytułowana *Lament więzionych ubeków* i wydaje się nie do pomyślenia, by można było zastąpić *ubeków ubowcami*.
Ubecy ci lamentują nad zniknięciem „dawnego UB". Otóż wydaje się, że samo słowo *ubowcy* należy do czasów tego „dawnego UB" i że zachowało jego aurę. Zapewne słowo *ubecy* istniało także w erze stalinowskiej, ale było znacznie mniej rozpowszechnione niż po roku 1956, podczas gdy określenie *ubowcy* w tym czasie raczej zanika. Niemniej żyje ono w pamiętnikach i innych podobnych dokumentach odnoszących się do lat UB-owskiego terroru.
Na przykład były oficer Armii Krajowej, Piotr Woźniak, w swych wspomnieniach o latach spędzonych w lochach UB i o torturach, którym był tam poddawany, normalnie używa słowa *ubowcy*, a nie *ubecy*. I tak w części pierwszej tych wspomnień, które były przedrukowane w australijsko-polskim czasopiśmie „Tu i Tam" (1968, vol. I, nr 1), forma *ubowcy* jest użyta dziewiętnaście razy, podczas gdy *ubecy* tylko raz. W nowszej literaturze, odnoszącej się do lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych proporcje byłyby prawdopodobnie odwrotne.
I tym razem warto odnotować, że słowo tak powszechne w codziennym użyciu jak *ubek*, nie zostało zarejestrowane w wielotomowym *Słowniku Języka Polskiego* (SJP).
W *Raporcie o stanie wojennym* Nowakowskiego narratorowi, który jest zaangażowany w robotę podziemną, tajna policja przeszukuje dom. Wkrótce potem narrator kontynuuje roznoszenie podziemnej literatury, biorąc ze sobą, jako rodzaj kamuflażu, swego czteroletniego synka. W zatłoczonym tramwaju chłopczyk zauważa rozdarty plastik na siedzeniu:

— Patrz! — trąca mnie w ramię.
Pokiwałem obojętnie głową. A on na cały głos:
— To pewnie ubecy zepsuli w czasie rewizji?

Cztery latka i taki rezolutny. Skojarzenie bezbłędne.
Zdenerwowałem się porządnie.

Ojciec zdenerwował się mocno uwagą swego synka, ale ludzie w tramwaju śmieją się. I znowu nieprawdopodobne, by słowo *ubowcy* pojawiło się w podobnym kontekście.

To samo odnosi się do zdania z powieści Guzego *Wielkie nieszczęście* (1982:60): „W całym budynku aż się mrowi od ubeków", w którym czasownik *mrowić się* sugeruje masę nic nie znaczących, anonimowych, niezindywidualizowanych małych stworzeń.

Wreszcie, w kolejnym cytacie, wzgarda i intencja pomniejszenia są zasygnalizowane gramatycznie za pomocą formy deklinacyjnej rzeczownika nieżywotnego (*ubeki* zamiast *ubecy*) i zaimka rodzaju nijakiego (*toto*): „ależ to głupki te ubeki, gdzie toto się nauczyło takiego głupiego myślenia?" (Guzy 1968:20).

Poza swymi pomniejszającymi i wzgardliwymi konotacjami, słowo *ubecy* sugeruje także działanie z ukrycia i kamuflaż. *Ubecy* są tajną policją, *tajniakami*. W operze Szpotańskiego są nazywani „cichymi". Zazwyczaj *ubek* nie chce, by ludzie wiedzieli, kim on jest (w ten sposób może ich lepiej szpiegować). Stąd najpospolitszy typ kontekstu, w którym to słowo występuje, dotyczy problemu identyfikacji *ubeków*. Na przykład: „A czy to nie ubek czasem?" (Nowakowski 1983 b:16); „Wychodzę z pokoju (...) gdy zaczynają zadawać pytania (...) Na przykład: (...) jak wygląda ubek?" (Łopiński i in. 1984:130). *Ubecy* są jak gdyby „mniejsi" od *ubowców*. Pozostają w ukryciu. Robią złe rzeczy, i chcą robić złe rzeczy, ale są jak małe stwory chcące robić złe rzeczy (wymowne jest pod tym względem słowo *mrowić się* w jednym z cytatów przytoczonych powyżej). Nie chcą, by ludzie wiedzieli, co robią. Ludzie odczuwają coś złego myśląc o nich, ale niekoniecznie czują coś złego WOBEC nich (tak jak można odczuwać coś złego NA TEMAT raczej niż WOBEC pluskiew). Takie są konotacje tego słowa.

Nietrudno jest zrozumieć wkład poszczególnych części słowa *ubecy* do jego całościowej struktury semantycznej. W pewnym sensie można powiedzieć, że słowo to jest zbudowane z podstawy *ub-* i sufiksu *-ek*. Ale faktycznie samogłoska *e* może być odbierana jako należąca zarówno do podstawy, jak i do sufiksu (*ube* + *ek*). Podstawę *ube* utożsamia się (podświadomie) ze słowem *UB* (wymawianym jako úbé) i odbiera się ją jako element niosący przeważającą część

znaczenia tego słowa. Jednocześnie sufiks *-ek* dodaje swoje własne elementy semantyczne i działa jako operator semantyczny modyfikujący znaczenie podstawy.

Zabarwienie semantyczne *ubeków* w niemałym stopniu posiada również derywowany od niego przymiotnik *ubecki*. Nawet to samo słowo *piwnica* sugeruje odmienne rzeczy w zależności od wyboru przymiotnika: w połączeniu z przymiotnikiem *ubowski* sugeruje ono coś w rodzaju lochu (stałe miejsce tortur należące do złowieszczej instytucji); w połączeniu z *ubecki* sugeruje raczej coś w rodzaju zwyczajnej piwnicy, czasowo używanej przez bezimienne, godne pogardy i nie w pełni ludzkie stwory — *ubeków*.

Oto typowe kollokacje zawierające przymiotniki odnoszące się do UB:
ubowskie więzienia, ubowskie piwnice
bezpieczniackie metody
(por. także w operze Szpotańskiego: *bezpieczniacki poeta* Mandalian)
ubeckie namowy, *ubeckie gęby*, *ubeckie prowokacje*.

Szczególnie godny uwagi jest fakt, że słowa *ubecy* i *ubecki* są szeroko używane we współczesnej polszczyźnie (w latach osiemdziesiątych), mimo to, że instytucja, do której pracowników się odnoszą, dawno już (w połowie lat pięćdziesiątych) przestała nosić miano „Urzędu Bezpieczeństwa". Powszechna odraza do tej instytucji i do samego dźwięku jej nazwy (czy nawet pierwszych liter tej nazwy) była tak wielka, że reżim czuł się zmuszony zreorganizować samą instytucję i zmienić jej nazwę. W połowie lat pięćdziesiątych „Urząd Bezpieczeństwa" został oficjalnie zastąpiony przez „Służbę Bezpieczeństwa". Niemniej, jak podkreśla Jakub Karpiński: „język potoczny odrzucił te zmiany i traktuje policję polityczną jako jedną i tę samą niezmienną instytucję" (1982:283).

Karpiński ma rację. Zastąpienie Urzędu Bezpieczeństwa (UB) przez Służbę Bezpieczeństwa (SB) nie spowodowało w mowie potocznej automatycznej przemiany *ubeka* w *esbeka*; słowo *ubek* przetrwało organizacyjne i terminologiczne zmiany i nie wyszło z użycia, wręcz odwrotnie — trzydzieści lat po rozwiązaniu UB jest nadal wyrazem potocznym. Jednocześnie język potoczny, który jest niezwykle subtelnym nośnikiem i wyrazem życia narodu, nie zlekceważył zmian wewnętrznej sytuacji politycznej Polski; raczej, nałożył on na nie swoją własną interpretację — z pewnością różną od tej, którą próbowała im nadać oficjalna propaganda. Przejście z formy *ubowcy* na *ubecy* odzwierciedla zarówno zmiany jak i ciągłość. Trwałość

podstawy *ub-* sugeruje, że jest to to samo stare UB, natomiast zmiana sufiksu odbija nową perspektywę, z której jest ono widziane, perspektywę *-ek* — a czasami perspektywę *-ol*, którą postaram się zanalizować i wyjaśnić w następnej części artykułu.

Ubole

Przykład: „Naczelnym ubolem jest Zbigniew Janur. Bardzo nieciekawa i tępa postać." („Zeszyty Historyczne" 1983:196). O ile słowa *ubowcy* i *ubecy* sugerują „złe uczucia" różnego rodzaju, związane (w umyśle mówiącego) z omawianymi kategoriami ludzi (ale niekoniecznie skierowane PRZECIWKO nim), słowo *ubole* sugeruje złe uczucia WOBEC takich ludzi. Jest wzgardliwe, podobnie jak *ubek*, ale jest też bardziej poważne, a także bardziej ekspresywne. *Ubek* posiada odcień lekceważący i zbywający, ale *ubol* nie. O ile *ubek* sugeruje „kogoś, kto jest jak mały stwór, który chce robić złe rzeczy", *ubol* sugeruje kogoś, kto jest — mówiąc z grubsza — „głupi" i „zły". Słowo to nie ma związku z deminutywami i przywołuje całkiem inny układ semantyczny. Należy do małej klasy nazw ludzi na *-ol*, która zawiera w sobie również *ramola* (prawdopodobnie rdzeń i źródło całej grupy), a także *robola*, *głupola* i *zezola*.

Głupol pochodzi od *głupi*, ale jest nawet bardziej pogardliwy niż *głupiec* lub *głupek*. Gdy ukrywający się przywódca podziemnej „Solidarności", Zbigniew Bujak, chciał uczestniczyć w mszy odprawianej przez papieża Jana Pawła II (w 1983 roku), nie przekonał go argument, że zbyt dużo ludzi bezpieki będzie w tłumie, ale przemówił do niego argument następujący: „jak cię złapią, to wszyscy powiedzą: rzeczywiście, co za głupol, po co lazł i takie świństwo papieżowi zrobił?" (Łopiński i in. 1984:180).

Zezol pochodzi od *zezowaty*, ale sugeruje głupotę i złośliwość. Na przykład w *Raporcie* Nowakowskiego (1982:35) słowo to zastosowane zostało do pracownika działu kadr, który ma za zadanie pilnowanie innych pracowników: „Wyszłam z pokoju. Napatoczył się na mnie ten zezol z kadr, ale nic nie powiedział".

Ramol jest lekceważącym określeniem starego człowieka, sugerującym sklerozę i niezdolność do mądrego działania. Jest w miarę humorystyczne, ale w niecierpliwy, raczej zgryźliwy i złośliwy sposób.

W satyrycznej operze Szpotańskiego stary, zgrzybiały profesor, oddany reżimowi i cieszący się jego łaskami, śpiewa, że:

Wesołe jest życie ramola
I sprzyja mu PRL
Gdy słabnie intelekt i wola
Socjalizm osiąga swój cel!

Robol (l. mn. *robole*), derywowany od *robotnika*, jest słowem pogardliwym, używanym głównie, jak się wydaje, przez aparatczyków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej do nazywania tych, których ta partia rzekomo rezprezentuje.
Adam Michnik (1985:67) opisuje mentalność typowego aparatczyka ery gierkowskiej w sposób następujący:

I wtedy nadszedł Sierpień. Cios był nokautujący — „robole" (jak pogardliwie zwykł był określać „warchołów") zakwestionowali prawowitość panowania jego szefów i jego samego. Rozpoczęło się wielomiesięczne trzęsienie ziemi.

Robol jest postrzegany jako ktoś, kto musi być głupi i organicznie niezdolny do myślenia; ktoś, kto jest jak zwierzę lub robak — coś mniej niż w pełni człowiek.
Wkład semantyczny przyrostka *-ol* w *ubolu* powinien być teraz jasny. Udział podstawy (*ub-*) jest taki sam jak w *UB* i *ubowcu*, i nie jest osłabiony lub zmodyfikowany przez sufiks w taki sposób, jak w *ubeku*, ponieważ *-ol*, inaczej niż *-ek*, nie jest nigdy sufiksem deminutywnym.
Zanim spróbuję rozszyfrować pełne znaczenie *ubola*, chciałabym zwrócić uwagę, że sufiks *-ol*, choć raczej rzadki w rzeczownikach, występuje w sporej grupie polskich czasowników — jednak nie jako morfem, ale jako ikoniczny element semantyczno-dźwiękowy (*phonaestheme*). Wszystkie czasowniki tego typu są ekspresywne i są używane do nazywania niezgrabnych, nieudolnych i nieskutecznych działań. Na przykład:
*rzęp**olić**, part**olić**, gram**olić**, gryzm**olić**, chrom**olić**, pierd**olić**, dyn**dolić**, dryn**dolić**.*
Niektóre z tych czasowników są niewinnie humorystyczne, inne mogą być używane jako przekleństwa; ale wszystkie mają konotacje niekompetencji i tępoty i zdają się zawierać następujące składniki semantyczne:
a) X nie może robić dobrze rzeczy, które inni mogą,
b) X jest jak stworzenie, które nie może myśleć,
c) czuję coś kiedy myślę o X robiącym coś.

W pewnym sensie składnik c) sugeruje uczucia negatywne („czuję coś złego myśląc o X"); niemniej jednak, skoro niektóre słowa w tej kategorii są ze swej istoty żartobliwe, implikacja ta nie zawsze jest traktowana serio.
Zawsze jednak występuje negatywna implikacja w nazwach ludzi na *-ol*, podobnie jak implikacja, że ludzie ci „nie potrafią robić dobrze rzeczy, które inni ludzie potrafią" i że „są oni jak stworzenia, które nie potrafią myśleć".
Inaczej niż *ubecy* nawet *ubowcy* (ale podobnie jak *bezpieka)*, określenie *ubole* wyraża złe uczucia wobec tych, o których jest mowa, a nie tylko uczucia związane z nimi. Postawa wyrażona w tym słowie jest bardziej osobista i bardziej intensywna niż w *ubowcach* i *ubekach* i nie wydaje się odwoływać do tego, co inni ludzie myślą i czują („wiem, że inni myślą tak samo", „wiem, że inni czują to samo"). Jest to postawa pogardliwa („są jak stworzenia, które nie potrafią myśleć", „nie potrafią robić tego, co inni robią"), ale nie posiada ona tego nonszalanckiego odcienia co *ubecy*. O ile *ubecy* są postrzegani jako „podobni do małych stworzeń, które chcą robić złe rzeczy", to *ubole* są widziani jako „podobni do stworzeń, które nie potrafią myśleć" i które zarazem „chcą robić złe rzeczy ludziom". Ta kombinacja może być niebezpieczna („oni mogą robić złe rzeczy ludziom").

Rzut oka na historię Polski po drugiej wojnie światowej

Język jest zwierciadłem umysłu (Leibniz 1949/1709:368). Język jest zwierciadłem kultury i przewodnikiem po rzeczywistości społecznej (Sapir 1949:162). Język jest także zwierciadłem historii. Historia polskich nazw policji politycznej jest, jak sądzę, wymowną ilustracją tej tezy.
W totalitarnym lub paratotalitarnym kraju, jak „Polska Ludowa", policja jest państwem w państwie. Sądząc po świadectwach językowych, to „państwo w państwie" nigdy nie było uznane przez naród za prawomocne. Najwyraźniej wskazuje na to żywotność słowa *bezpieka* z jego niedwuznacznymi konotacjami mafijności i gangsteryzmu (por. Karpiński 1982:31).

Ale obok tego nieustannego, powszechnego veto odzwierciedlonego między innymi w słowie *bezpieka*, w leksyce języka polskiego odbijają się ważne zmiany zarówno w sytuacji społecznej, jak i postawach.

1944—1948. Okres wprowadzania siłą komunizmu zaznacza się przez rozpowszechnienie akronimu *UB* (z konotacjami anonimowości, strachu i odrazy) oraz przez powstanie złowrogiego, mrocznego słowa *ubowcy*, używanego głównie w kontekście polowania na „wrogów" reżimu i kojarzącego się w umysłach ludzkich z „gestapowcami". (Fakt, że słowo to nie mogło nawet być włączone do *Słownika Języka Polskiego*, mówi sam za siebie.)

1948—1956. „Rządy bezpieki" (por. Kisiel 1980a, 11:115). W okresie policyjnego terroru to właśnie słowo *bezpieka* wysuwa się na czoło, ze swymi konotacjami gangsteryzmu na wielką skalę. W okresie tym zaznacza się również wzrost użycia słowa *ubecy* z jego konotacjami potajemnej wszechobecności. Ale słowo *ubowcy* i szczególnie *UB* są również w użyciu.

1956—1970. W drugim okresie gomułkowskim terror opada i zastępuje go łagodniejsza inwigilacja; słowo *ubowcy* wychodzi z użycia; *UB* także występuje coraz rzadziej, chociaż nie wychodzi całkowicie z użycia po reorganizacji i zmianie nazwy instytucji. Podstawa *ub-* niemniej trwa nadal, poświadczając powszechne odczucie, że, pomimo zmian, poprzednia instytucja jest nadal żywa. Słowo *ubek* (*ubecy*) upowszechnia się, stając się wyrazem potocznym, podobnie jak derywowany od niego przymiotnik *ubecki*. (Tym niemniej żadne z tych słów nie przechodzi przez cenzurę ani nie jest odnotowane w *Słowniku Języka Polskiego*.) Pomimo bardziej powściągliwego podejścia reżim Gomułki kończy się coraz bardziej otwartą konfrontacją między społeczeństwem a „siłami prawa i porządku".

1970—1980. Okres Gierka zaczyna się łagodnie, lecz kiedy wybuchają rozruchy robotnicze w 1976 roku, reżim ucieka się do jawnej przemocy mundurowej policji, a potem do nieustannego nękania opornych przez siły bezpieczeństwa. Być może ze względu na to przejście od początkowo bardziej „legalnego" i łagodnego podejścia do jawnej przemocy, najbardziej powszechnym sposobem nazywania policji w tym kontekście jest użycie jej oficjalnych nazw: *milicja*, *milicjanci*, *MO*.

W miarę wzrostu ruchu dysydenckiego i jawnego podnoszenia przez jego uczestników kwestii praw ludzkich i praworządności, narasta wśród dysydentów (ciągle nękanych przez tajną policję) tendencja do

użycia oficjalnej nazwy „sił bezpieczeństwa" („Służba Bezpieczeństwa") w języku niecenzurowanym. W mowie potocznej jednak słowo *ubecy* jest nadal w normalnym użyciu.

1980—1981. Okres „Solidarności" w Polsce zaznacza się, jak często to podkreślano, „erozją strachu" (por. Kisiel 1980 a, 11:117). Językowo erozja strachu przejawia się powstawaniem słów humorystycznych, takich jak *komuchy* („polscy tzw. komuniści, tj. ci u władzy"; por. np. Kisiel 1980b, 12:116), *pezetpeeria* („partyjni chuligani", tj. polska partia komunistyczna) i *czerwony* (satyryczna personifikacja reżimu komunistycznego).

Powtarzające się w tym czasie prowokacje policyjne (połączone z coraz silniej dochodzącym do głosu pragnieniem wolności słowa) wpływają na częste wspominanie policji w mowie potocznej. W rezultacie akronim *SB* staje się częścią języka potocznego. Brzmi bezceremonialnie, ale jest także rzeczowy i niekoniecznie pejoratywny. Jako przykład przytoczę charakterystyczną wypowiedź jednego z członków KOR-u, datującą się z tego okresu: „Jak to dobrze, że mnie SB przymknęło w sierpniu, kiedy się wybierałem na Wybrzeże tłumaczyć robotnikom, że na tak wielką manifestację jest jeszcze za wcześnie!" (Olsztyński 1981, 78:86).

Czasownik *przymknąć* jest wysoce potoczny i użyty tu został w rodzaju nijakim, a nie w rodzaju żeńskim, który towarzyszyłby bardziej oficjalnemu użyciu skrótu *SB*. Kiedy jednak chodzi bardziej o to, żeby fakty naświetlić niż żeby o nich po prostu wspomnieć, słowo *UB* jest również często używane (nie tylko w odniesieniu do okresu bierutowskiego, ale także w stosunku do wydarzeń bieżących). Na przykład: „I tak nie zostaną ukarani funkcjonariusze policji i UB winni brutalnego łamania prawa." (Lipiec 1981, 7/8:103); „Bezprawie w PRL to (...) także (...) dyspozycyjni wobec UB prokuratorzy." (Lipiec 1981, 7/8:97).

Wreszcie okres „Solidarności" wywołał, lub wyzwolił w ludziach, wielką chęć nazywania rzeczy po imieniu, głośno, bez eufemizmów; i to prowadziło do ponownego pojawienia się słowa *policja* zamiast oficjalnej *milicji* (w języku cenzurowanym „policja" jest używana tylko w odniesieniu do policji w „krajach kapitalistycznych" lub do przedwojennej polskiej policji). „(...) są ścigani przez SB i policję" (Romaszewski i Romaszewska, 1981, 1:222); „bezpośrednio po Sierpniu krytykować można było niemal wszystko (...) Tylko o policji i jej działalności było całkiem cicho. 7 października fetowano święto MO i SB." (Lipiec 1981, 7/8:98).

Słowo *policja*, które przełamało długotrwałe tabu, brzmi w kontekście polskim poważnie i znacząco, i niesie swoisty ładunek pragmatyczny (w przybliżeniu „chcę powiedzieć coś, co jest prawdą, a nie to, co ktoś chce, abym powiedział").

1981—1989. Okres Jaruzelskiego. Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, które nastąpiło po 15 upajających miesiącach wolności i nadziei, miało efekt traumatyczny dla polskiej świadomości narodowej, a niezawodne zwierciadło języka odbija to również. W niezwykle krótkim czasie nowe pojęcia i nowe słowa szerzą się w kraju jak ogień. Wśród nich *esbecja* i *ubecja*, ze wspólną im obu konotacją parodii prawa i porządku, oraz *ZOMO* (jako rzeczownik rodzaju nijakiego) i *zomowcy*, z konotacjami bezmyślnej brutalnej siły, są szczególnie wymowne.

Temu mini-zarysowi historii politycznej odpowiada, z grubsza, następujący mini-zarys odzwierciedlonej w języku historii postaw:

UB, *ubowcy* — konotacje strachu, tajemnicy i terroru
bezpieka — konotacje gniewu, pogardy i szyderstwa
ubole — konotacje odrazy, pogardy i wyśmiewania
ubecy — konotacje pogardy i bagatelizowania
SB-cja, *esbecja* — konotacje lekceważenia z odcieniem humoru
ubecja — konotacje lekceważenia i pogardy plus wyraźny element humoru
smerfy — konotacje lekceważenia i wyzwanie, oraz przede wszystkim humor.

przeł. Maria Indyk

Od tłumacza: Artykuł niniejszy stanowi skróconą wersję artykułu, który ukazał się w języku angielskim w czasopiśmie „Language in Society" (1990, vol.19, no.1, 1-59). Artykuł angielski był pisany w roku 1988, a więc jeszcze przed przełomem, jaki nastąpił w Polsce w r. 1989. Tekst polski jest tylko skrótem tekstu angielskiego i, podobnie jak oryginał, zatrzymuje się w swej perspektywie na roku 1988.

Bibliografia

„Aneks", (1979), nr 21, *Język totalitarny*, London.
R. Barwicz, (1970), *UBE.a sowiecka służba bezpieczeństwa*, „Kultura" nr 6, s. 77—101.
„Dokumenty", (1969), nr 25, *Wydarzenia marcowe*, Paryż, Instytut Literacki.
M.K. Dziewanowski, (1977), *Poland in the twentieth century*, New York, Columbia University Press.
W. Giełżyński, (1988), *Strajk w stoczni*, „Kultura" nr 7/8, s. 135—143.
P. Guzy, (1968), *Stan wyjątkowy*, Paris, Instytut Literacki.
P. Guzy, (1982), *Wielkie nieszczęście*, „Kultura" nr 4, s. 45.
J. Karpiński, (1982), *Countdown: The Polish upheavals of 1956, 1968, 1970, 1976, 1980*, New York, Karz-Cohl.
J. Karpiński, (1984), *Mowa do ludu: Szkice o języku polityki*, London, „Puls".
Kisiel (Stefan Kisielewski), (1980a), *Pan chce naprawić błędy systemu?* „Kultura" nr 11, s. 113—119.
Kisiel (Stefan Kisielewski), (1980b), *Emocje, entuzjazmy, zagadki*, „Kultura" nr 12, s. 113—118.
V. Klemperer, (1946), *LTI Die unbewältigte Sprache*, Darmstadt, Joseph Melzer.
T. Konwicki, (1960 [1973]), Zaduszki, w jego: *Ostatni dzień lata: Scenariusze filmowe*, Warszawa, Iskry, s. 84—154.
K. Koscinskij, (1980), Slovar' russkoj nenormativnoj leksiki, „Russian Linguistics," vol. 5, s. 133—150.
„Kultura", (1979), nr 12, *Trójgłos o nowomowie*, Paris.
G.W. Leibniz, ([1709]1949), *New Essays concerning human understanding*, La Salle, Open Court.
A.M. Lipiec, (1981), *Praworządność i bezprawie*, „Kultura" nr 7/8, s. 96—107.
M. Łopiński, M. Moskit, M. Wilk, (1984), *Konspira. Rzecz o podziemnej „Solidarności"*, Paris, Spotkania.
W. Machejek, ([1957] 1969), *Czy podpalałem domy?* w: *A to Polska właśnie: wybór reportaży z lat 1944—1969*, Warszawa, Czytelnik, s. 222—239.
A. Michnik, (1985), *Takie czasy... Rzecz o kompromisie*, London, „Aneks".

M. Nowakowski, (1982), *Raport o stanie wojennym*. Paris, Instytut Literacki.
M. Nowakowski, (1983a), *Raport o stanie wojennym II*, Paris, Instytut Literacki.
M. Nowakowski, (1983b), *Notatki z codzienności*, Paris, Instytut Literacki.
Z. Olsztyński, (1981), *I co dalej ?* „Kultura" nr 7/8, s. 85—96.
G. Orwell, (1949), *Nineteen eighty-four*, London, Secker & Warburg.
Z. Romaszewski, Z. Romaszewska, (1981), *O pracy Biura Interwencyjnego KSS „KOR"*, „Kultura" nr 1/2, s. 216—223.
E. Sapir, ([1929] 1949), *The status of linguistics as a science*, w: *Selected writings of Edward Sapir in language, culture, and personality*, ed. by D. Mandelbaum, Berkeley, University of California Press, s. 160—166.
Słownik języka polskiego, (1958—1969), red. W. Doroszewski, t. 1—12, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
J. Szpotański, (1973), *Cisi i gęgacze*, Paris, Instytut Literacki.
TKN (Towarzystwo Kursów Naukowych), (1979), *O języku propagandy*. Warszawa, NOWA.
T. Torańska, (1985), *Oni*, London, „Aneks".
Université de Grenoble III, (1984), *Essais sur le discours sovietique*, vols. 3 & 4, Grenoble, CEDEX.
P. Woźniak, (1986), *Zapluty karzeł reakcji*, „Tu i tam". I (1), Melbourne.
V. Zaslavsky, M. Fabris, (1982), *Leksika neravenstwa — k probleme razvitija russkogo jazyka v sovetskij period*, „Revue des Etudes Slaves," Paris LIV/3, s. 387—401.
„Zeszyty Historyczne", (1983), Paris, Instytut Lieteracki.

Wokół Wierzbickiej

Zamieszczony wyżej szkic Anny Wierzbickiej jest skrótem pracy przeznaczonej dla adresata zachodniego. Ta oryginalna synteza lingwistycznej sztuki interpretacji i popularnego kursu z historii politycznej PRL powinna zaciekawić także czytelnika miejscowego. Z prośbą o komentarz zwróciliśmy się do naszych znawców przedmiotu. Dzięki uprzejmości i determinacji autorki, która umiała pokonać na czas korespondencyjną odległość dzielącą nas od Canberry, możemy również opublikować jej odpowiedź na glosy w dyskusji.

Michał Głowiński: Trzy glosy

Do fascynujących rozważań Anny Wierzbickiej o polskim języku antytotalitarnym (języku samoobrony społecznej) chciałbym dorzucić trzy glosy — o różnym zasięgu i różnym charakterze.

1. A więc najpierw kilka uzupełnień do uwag o głównym przykładzie — a mianowicie rodzinie słów związanych z *ubecją*. Autorka zapomniała o znanym twierdzeniu poety, że policje bywają nie tylko jawne i tajne, ale także dwupłciowe. A więc jak się określa damy będące pracownicami wiadomego resortu (tak właśnie instytucję tę przez lata zwykła nazywać w swych audycjach Wolna Europa), bądź wykonujące dlań donosicielskie usługi? Od *ubowca* trudno utworzyć formę żeńską, z *ubolką* nigdy się nie spotkałem,

pozostała więc *ubeczka* (podobno Janusz Minkiewicz na początku lat pięćdziesiątych nazwał *ubeczką śmiechu* pewną autorkę tekstów satyrycznych, której mąż był wysoko postawionym towarzyszem z bezpieczeństwa). Ale natrafiłem kiedyś na *ubicę*, co brzmi tak, jakby słowo odnosiło się do bohaterki dramatu Alfreda Jarry. Nawiasem mówiąc podobieństwo brzmieniowe między *UB* a Królem Ubu wykorzystał niedawno ks. Józef Życiński w tytule swego zbioru esejów, opublikowanego w serii firmowanej przez kwartalnik „Krytyka".

Słowa utworzone od *UB* odnoszą się do różnych sfer rzeczywistości. Także do przestrzeni. *Ubowo* stosuje się bowiem do dzielnic, czy raczej ich wydzielonych rejonów, zamieszkałych wyłącznie czy niemal wyłącznie przez funkcjonariuszy. Na Mokotowie określa się tak co najmniej dwa miejsca. Jest to słowo doskonale osadzone w potocznej polszczyźnie (przypomnijmy, że Białoszewski część Saskiej Kępy świeżej daty, nie mającej dawnych tradycji, zwykł nazywać Chamowem).

Warto chyba zwrócić uwagę, że w różnych czasach zyskiwały popularność — przygodnie zresztą — rozmaite nazwy okolicznościowe funkcjonariuszy UB (czy SB). Wzniesiony w stanie wojennym przed pałacem Lubomirskich w Warszawie pomnik ubeka nazywany bywa często *pomnikiem utrwalacza*. A to z tej racji, że oficjalnie określono ten osobliwy monument jako pomnik ku czci bohaterów poległych w walce o utrwalenie Polski Ludowej. Smak nazwy w pełni oceni się wtedy dopiero, gdy ma się w pamięci, że słowo *utrwalacz* funkcjonuje w polszczyźnie pijackiej w specyficznym znaczeniu.

I jeszcze jedno: cenzura konsekwentnie tępiła wszelkie nieoficjalne nazwy pracowników aparatu terroru. Kiedy w artykule o utworze Andrzejewskiego *Wojna skuteczna z Zadufkami* napisałem, że znajduje się w nim apologia ubeków, cenzor zażądał, by formułę tę zmienić na „apologia funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa". Słowo *ubek* uznał za obraźliwe i niegrzeczne, a więc „niecenzuralne" w specyficznym znaczeniu tego przymiotnika (przykład z połowy lat osiemdziesiątych).

2. Sprawa relacji między oficjalnym językiem komunizmu a zwykłym potocznym mówieniem Polaków wydaje mi się kwestią podstawową nie tylko dla określenia sytuacji językowej, ale w ogóle dla stanu świadomości społecznej sądzę, że działały tu jednocześnie dwa czynniki przeciwstawne. Z jednej strony trudno

było nie ulegać wpływom języka oficjalnego, gdyż atakował on człowieka nieustannie, agresywnie, z różnych stron. Ten atak nie mógł nie dosięgnąć celów, nie można było przejść obok niego mimo. Wiele elementów mowy komunistycznej zostało przyswojonych, weszło w obieg, zadomowiło się w naszym wysłowieniu codziennym, tak że nawet nie zdajemy sobie już sprawy z ich proweniencji. I fakt ten widoczny jest teraz może wyraźniej niż przedtem, teraz, kiedy kierownicza siła narodu zeszła ze sceny a ataki propagandowe kontynuujące jej styl stały się zjawiskami ze sfery folkloru politycznego. Ale — z drugiej strony — potoczne mówienie wydzielało nieustannie antytoksyny, tak że ów język oficjalny nigdy nie stał się językiem jedynym czy też dominującym. Zderzenie się tych dwu języków zasługiwałoby na gruntowny opis; nie wątpię, że byłby on cennym przyczynkiem do analizy polskiej świadomości społecznej i polskiego stylu bycia w ostatnich dziesięcioleciach.

Wydaje mi się, że sprawą podstawową jest to, że wartością stało się inne mówienie, mówienie wyróżniające się na tle tego języka, który oficjalnie obowiązywał. Ten, kto nim mówił, świadomie bądź nieświadomie składał polityczną czy ideologiczną deklarację, określał się, wskazywał, po której jest stronie. To ten właśnie język, tak w mowie jak w piśmie, był językiem nacechowanym, stawał się czymś w rodzaju oznaki. W pewien sposób mogli nim operować tylko ludzie aparatu (partyjnego, administracyjnego, ubeckiego), bo wzory takiej mowy mieli w PZPR-owskich *mass-mediach*, czy w zebraniowej retoryce; nowomowa stała się mową środowiskową. Gdy po kilku dziesięcioleciach niewidzenia spotkałem kolegę z czasów studiów, z samego sposobu mówienia wywnioskowałem, że jest on aktywistą partyjnym; niczego o jego losach nie wiedziałem, rozmowa miała charakter konwencjonalny, ale to wystarczyło (po chwili przekonałem się, że moje przypuszczenie jest słuszne). A więc ta mowa — powtarzam — stała się oznaką.

Zasada innego mówienia, programowo różniącego się od oficjalnego języka komunizmu, ma podstawowe znaczenie społeczne, myślowe, moralne i pozwala rozumieć język antytotalitarny szeroko. Chodzi o coś więcej niż o parodystyczne odniesienia, o obniżanie tonu czy karnawalizowanie oficjalszczyzny. Chodzi tu o odrzucenie wzorca oficjalnego, nie ograniczającego się do tego rodzaju przejawów, o budowanie języka, który przy każdej okazji manifestował swoją niezależność. Owo inne mówienie przybierać może rozmaite postacie

— od wulgarnego ględzenia po estetyczne wyrafinowanie, od stylu bieżącej kroniki politycznej do stylu skomplikowanego eseju filozoficznego. Toteż jestem przekonany, że samoobroną przed językiem totalitarnym i jego nieustannymi agresjami była wszelka nieoficjalność, to wszystko, co w mowie wyzbyte było koniunkturalizmu i cechowało się autentycznością.

3. Jedna jest dziedzina, której roli w kształtowaniu języka antytotalitarnego i w jego przechowywaniu przecenić nie można. Myślę o literaturze. Właściwie — jeśli pominąć epizod socrealistyczny — tylko niewielu pisarzy wysłowieniu oficjalnemu uległo, prawie wszyscy zaś — świadomie lub nieświadomie — mu się przeciwstawiali. Od czasów październikowych polemika z nowomową, prowadzona rozmaitymi sposobami i na różnym poziomie, to osobny nurt w literaturze polskiej. Obrona języka przed totalitarnymi uzurpacjami stała się — być może — jedną z głównych jej funkcji społecznych. Tutaj jedynie tę sprawę sygnalizuję, mówiłem bowiem o niej i pisałem wielokrotnie. Nie chcę się powtarzać.

23 lipca 1990

Elżbieta Tabakowska: Język — niezawodne zwierciadło

Język jest dla Wierzbickiej, podobnie jak dla Sapira, odbiciem kultury i kluczem do rzeczywistości społecznej; w konsekwencji zaś — zwierciadłem dziejów danej społeczności. Przykładem a zarazem argumentem na potwierdzenie tej tezy jest zamykająca pracę najkrótsza „historia postaw": lista rzeczowników, którymi w kolejnych etapach historii najnowszej Polski polskie społeczeństwo określało Urząd Bezpieczeństwa i jego pracowników. O tym, że język jest niezawodnym zwierciadłem rzeczywistości nigdy nie zapominali badacze literatury; natomiast dla językoznawców epoki strukturalizmu badanie owej rzeczywistości — jeśli tylko ośmielało się wykroczyć poza rygorystyczne ramy semantyki formalnej — było czymś poniżej godności prawdziwego naukowca, którego celem najwyższym miała być najpierw ścisła taksonomia, potem zaś — równie ścisła formalizacja. Prace Anny Wierzbickiej od dawna

przeciwstawiały się tym zasadom, stając się w coraz większym stopniu odbiciem nurtu wchodzącego do współczesnego językoznawstwa pod nazwą „językoznawstwa kognitywnego", którego głównym założeniem jest zniesienie ściśle określonej granicy między semantyką (która wyklucza „pierwiastek ludzki" — *the human factor*) i pragmatyką (dla której ów pierwiastek ludzki ma pierwszorzędne znaczenie).

„Język antytotalitarny" przynosi kolejne studium z serii, którą reprezentuje szereg wcześniejszych prac autorki: *(Cups and Mugs...* 1984, *'Apples' are not a 'Kind of Fruit'...* (1984), *Dats and Wheat...* (1985) *The meaning of a case* (1986), wychodzących z tego samego podstawowego założenia: z a s a d ą języka naturalnego jest nieregularność, która wypływa z subiektywności widzenia, pojmowania i opisu świata. Zasada ta działa także na płaszczyźnie semantyki leksykalnej, słowotwórstwa i morfologii: powstawanie nowych elementów jest uwarunkowane pierwiastkiem ludzkim; zależy od tego, kto patrzy na świat i kto o nim mówi.

Jest to aspekt niezwykle istotny dla językoznawcy, któremu przychodzi zajmować się językiem z tego właśnie punktu widzenia w czasach, gdy okres 12 miesięcy (dosłownie, zważywszy, że piszę niniejszy tekst 4 czerwca 1990 roku) może całkowicie zmienić tę perspektywę (co zresztą Anna Wierzbicka podkreśla w posłowiu do swojego artykułu); gdy w okresie zaledwie roku może się dokonać trzęsienie ziemi, w wyniku którego totalitaryzm stanie sie post-totalitaryzmem, a podziemie zmiesza z „nadziemiem". Przywykło się przecież myśleć, że to co językoznawca mówi o języku winno trwać — aż do narodzin nowej teorii, nowego aparatu badawczego, nowej metodologii.

Rewolucja „kognitywistyczna" w językoznawstwie zawiera kuszącą obietnicę dotarcia w rejony, które dotąd z pogardą lub ze strachem omijano, ale niesie ze sobą także szereg niebezpieczeństw. Artykuł Anny Wierzbickiej o języku antytotalitarnym w PRL jasno ukazuje oba te aspekty.

Kwestią zasadniczą staje się pytanie, jak ustrzec się subiektywizmu, który na wskroś przenika język naturalny, w samej tego języka analizie? Jak na przykład, uniknąć niepokojąco impresjonistycznych sformułowań w rodzaju „w pewien sposób sugeruje" (*somehow suggests*). Bo co to znaczy „w jakiś sposób"? I kto jest podmiotem a kto przedmiotem owej „sugestii"? Uznając (jak przekonywująco

pisze Wierzbicka w *Lingua Mentalis*, 1980), że wszelkie znaczenie w języku naturalnym da się wyrazić za pośrednictwem intuicyjnie zrozumiałej i intuicyjnie sprawdzalnej parafrazy, to w metajęzyku semantycznym stworzonym w oparciu o język naturalny, musimy przecież przyjąć jakieś kryteria owej intuicji. Gdyby akronim *PRL* (czy też może raczej pominięty w dyskusji *Peerel*, która to forma, nawiasem mówiąc, pod żadnym pozorem nie mogłaby się pojawić w tekstach oficjalnych) istotnie nie niósł ze sobą żadnego „inherentnie wbudowanego elementu oceny", jak pisze Wierzbicka, nie walczono by tak usilnie o jego wyrugowanie z języka (a w konsekwencji również z życia). Czy nie jest to zatem przypadek, w którym językowa intuicja badacza nie zgadza się z tzw. odczuciem społecznym? Podobnie, proponowana przez Wierzbicką interpretacja rzeczowników z końcówką *-owiec*, jako określających „członków organizacji, stowarzyszeń, partii, etc., czyli „ludzi, którzy c h c ą robić coś wspólnie" [podkreślenie moje — E.T.], nie zawsze zgadza się w swojej modalności z odczuciem tych, którzy — będąc z nazwy na przykład *zetempowcami* czy *zomowcami* — wprawdzie robili rzeczy wspólnie, lecz pod takim lub innym przymusem?

Wreszcie, dlaczego *komuna* miałaby określać kolektyw ludzki (*human collective*), a *bezpieka*, przeciwnie, miałaby mieć znaczenie kolektywne lecz „odczłowieczające" (*collective dehumanizing*)? Intuicja podpowiada mi, że w obu przypadkach właśnie ta kolektywizacja jest elementem najważniejszym, i że to właśnie za jej przyczyną zarówno *komuna*, jak i *bezpieka* zostają „odhumanizowane". Rzecz w tym, że te same zjawiska mogą być odbierane czasem jako „złe", czasem zaś — jako „dobre".

Nasuwają się dwa wnioski. Po pierwsze, intuicję należałoby mierzyć — w omawianej pracy Wierzbickiej wspomniana jest jedna tylko tego rodzaju próba: określenie dystrybucji form *ubowcy* i *ubecy* w tekście pamiętników Piotra Woźniaka, publikowanych w australijskim „Tu i tam". Badania językoznawcze oparte na założeniach pragmatyki muszą mieć za cel formułowanie prawidłowości i zasad raczej, niż praw i reguł. Prawidłowości i zasady powstają natomiast w oparciu o statystykę, a nie o introspekcję. I statystyka właśnie może usankcjonować użycie form biernych (czy też raczej bezosobowych, w kontekście języka polskiego) typu „rozumie się jako", czy „uznaje się za" (por. *is perceived, is considered,* etc.).

Po drugie, analiza elementów języka antytotalitarnego w omawianej pracy Anny Wierzbickiej jest ilustracją doniosłej roli, jaką w języku naturalnym pełni pierwiastek aksjologiczny. Jest to zresztą oczywista konsekwencja uznania pierwiastka ludzkiego: subiektywizm poznawczy nieuchronnie pociąga za sobą subiektywizm ocen. Język antytotalitarny jest z samej swojej natury tą dziedziną języka, w której pierwiastek aksjologiczny będzie się uwidoczniał ze szczególną wyrazistością. Nie chcę przez to oczywiście powiedzieć, że element ten został w omawianej pracy pominięty. Wierzę jedynie, iż jego uwypuklenie przydałoby jasności analizie materiałowej. I tak na przykład *zetempowiec* jest przecież — podobnie jak *szeregowiec* czy *drogowiec* — aksjologicznie ambiwalentny, dopóki ktoś go za coś nie znielubi. Innymi słowy, ktoś musi dojść do przekonania, że to, co zetempowcy chcą (?) wspólnie robić jest ZŁE, i wtedy dla tego kogoś wyraz ten zaczyna być „aksjologicznie obciążony". Jeśli takich osób będzie zbyt dużo — ci, którym zależy na pozytywnym — lub przynajmniej neutralnym *image* zetempowca, zaczną lansować jakąś inną, nieskażoną jeszcze wersję: np. „członek ZMP". I taki jest zapewne mechanizm rozwoju nowomowy.

Na tej samej zasadzie, choć *czekistów* i *enkawudzistów* nie lubi nikt, ponieważ powszechnie uznaje się, że to, co oni chcą robić wspólnie, jest złe, nikt nie ma chyba zbyt wiele przeciwko, na przykład, *planistom*. Podobnie ci, którzy akronim *OKP* traktują jak rzeczownik rodzaju nijakiego („OKP skierowało...") wcale nie muszą uważać Klubu za jakąś groźną, potencjalnie destruktywną, nieokreśloną siłę. Być może raczej uznaliby za taki twór ów *Peerel*, który zgodnie z logiką gramatyki jest jednak rodzaju męskiego.

Cytowany przez Wierzbicką *ubol* jest w swej aksjologicznej wymowie jednoznaczny i niewątpliwy. Natomiast inaczej jest z *robolem*; jak słusznie zauważa autorka, rzeczowniki z tym przyrostkiem zawierają w sobie szczególne znaczenie: sugerują czyjąś ujemną ocenę własnych desygnatów. Rzecz jednak w tym, k t o tej oceny dokonuje. *Robol* to robotnik, ale jednocześnie ktoś uważany za tępaka niezdolnego do samodzielnego myślenia i samostanowienia, ktoś, kto „nie jest w pełni człowiekiem". Sprawa aksjologii jest jednak bardziej skomplikowana: dopiero w ustach tych, którzy byli przez totalitarny aparat władzy uważani za *roboli*, słowo to nabiera ironicznej wymowy: staje się słowem-cytatem, słowem-bronią. A więc także jako narzędzie politycznej walki i środek oporu język jest zmienny

i kapryśny — jak sapirowska rzeczywistość, która się w nim przegląda. I często bardzo wyrafinowany.
Rozważmy dla przykładu kluczową dla artykułu parę słów, których zestawienie w pewnym sensie „ustawia" omawiany przez Wierzbicką problem: *komuna* i *ekstrema*. Oba zawierają „zbiorowy" i „odczłowieczający" (*collective and de-humanizing*) przyrostek *-a*, któremu autorka przypisuje interpretację: „myślę, że oni są jak jeden wielki organizm, który robi ZŁE rzeczy" [podkr.E.T.].
Przyznając, że owo pejoratywne zabarwienie nie jest jednakowo intensywne w obu przypadkach, autorka wydaje się nie zauważać, że decydujące znaczenie ma to, k t o stawia owe minusy. W przypadku *komuny i ekstremy* sędziami ewidentnie nie są ci sami ludzie, czy też te same grupy ludzi. I stąd potencjał znaczeniowy *ekstremy*: w ustach ekstremisty lub zwolennika ekstremy jest to przecież wyraz o ładunku aksjologicznym zdecydowanie dodatnim, dzięki działającemu tu mechanizmowi ironii. Bo *ekstrema* jest DOBRA, mimo że słowo — zgodnie z wszelkimi regułami gry — prawdopodobnie stworzyli ci, dla których jest ZŁA.
Językoznawstwo kognitywne to „językoznawstwo z ludzką twarzą". Takie są też prace Wierzbickiej, dla której — podobnie jak dla klasyka tej szkoły, George'a Lakoffa — jest ono czymś więcej niż tylko „chłodnym rozsądkiem" (*More than Cool Reason*, 1989), czymś, do zbadania czego nie wystarczy „mędrca szkiełko i oko". Jednak skoro ów mędrzec musi, z oczywistych względów, zachować swoją pozycję, musi też pilnie baczyć, aby nie zacząć — może niepostrzeżnie dla samego siebie — sprawować władzy totalitarnej nad kapryśnym i rozwichrzonym przedmiotem, który przez swoje szkiełko ogląda. Z drugiej jednak strony, musi on także uważać, aby silniej niż szkiełko i oko nie zaczęły przemawiać do niego jego własne czucie i wiara. Bo wtedy subiektywna natura przedmiotu zatraci się w subiektywizmie podmiotu.

P.S. Swoją fascynującą leksykalną „historię postaw" doprowadza Wierzbicka do końca stanu wojennego, zamykając swoją „ubecką" listę rzeczownikiem *ubecja*, w którym element lekceważenia i pogardy już zupełnie wyraźnie miesza się z elementem humoru. Jako przyczynek do kolejnego etapu tych dziejów, cytat z *Wiary i winy* Jacka Kuronia (1989): „zaraz zaczepił mnie u b e c z e k, ustawiony do zagrywy" (str.13).

Ubeczek to *ubek* całkiem maluśki — żałosne stworzonko, którego nikt się nie boi. *Ubeczek* już nie śmieszy: budzi politowanie.

Bibliografia:

G. Lakoff, M. Turner, 1987, *More than Cool Reason*, Chicago, University Press.
A. Wierzbicka, 1980, *Lingua Mentalis*, Sydney, Academic Press.
A. Wierzbicka, 1984, *Cups and Mugs: Lexicography and Conceptual Analysis*, „Australian Journal of Linguistics", 4, s. 205—255.
A. Wierzbicka, 1984, *'Apples' Are Not a 'Kind of Fruit': the Semantics of Human Categorization*, „American Ethnologist", 11, s. 313—328.
A. Wierzbicka, 1985, *Oats and Wheat: The Fallacy of Arbitrariness*, w: J. Haiman, *Iconicity in Syntax*, Amsterdam, Benjamins, s. 311—342.
A. Wierzbicka, 1986, *The Meaning of a Case: A Study of the Polish Dative*, w: R. D. Brecht, J. S. Levine, *Case in Slavic*, Columbus, Slavica, s. 386—426.

Sergiusz Kowalski: Język ideologiczny

Nie wiem, czy będzie to polemika z Anną Wierzbicką, czy tylko parę uwag w sposób komplementarny traktujących o zjawiskach przez nią pominiętych. Ale, zdaje mi się, raczej to pierwsze. Powiem dlaczego.

O języku antytotalitarnym pisze Wierzbicka ciepło, z wyraźną sympatią; widzi w nim, w samym akcie słowotwórstwa, mechanizm samoobrony przed totalitarnym zniewolniem, formę wolnej autoekspresji społeczeństwa, któremu, mówiąc obrazowo, chcą zatkać twarz, które jednak czuje, że musi wypowiedzieć swoją prawdę — że nie ma innego ratunku przed strasznym światem Aldousa Huxleya, Orwella i Zamiatina, budzącą grozę otchłanią szaleństwa. Społeczeństwo poddane presji totalitaryzmu buduje więc — powiada Wierzbicka — własny, inny od oficjalnego język, w którym w subtelny sposób rzeczy nazywane są po imieniu; niuanse tej słowotwórczej działalności, odpowiednio zbadane ujawniają całość „tych emocji, postaw i myśli,

które w kraju zdominowanym przez dotkliwą kontrolę polityczną nie mogą być wyrażone wprost". Tak powstaje zjawisko dyglosji, będące językowym korelatem dualności samego świata podzielonego na Dobro i Zło, światło i ciemność, na n a s i na n i c h.
Wolę przyglądać się rozmaitym wadom tego, co mi bliskie, a więc zjawiskom, które Wierzbicka metodycznie pomija, patrzeć na to, na co ona właśnie nie patrzy. Nie chodzi mi tylko o oczywisty skądinąd fakt, że społeczeństwo od dziesiątków lat zmuszone obcować z komunistycznym para-totalitaryzmem[1] padło (w jakimś stopniu) ofiarą infekującego wpływu propagandy i bezwiednie przyswoiło część narzucanych odgórnie wzorów myślenia. Rzecz również w tym, że różne rozpowszechnione (i przez nikogo nie promowane intencjonalnie) style interakcji k s z t a ł t o w a ł y s i ę w r a m a c h s y s t e m u, że system ów nie istniał gdzieś poza społeczeństwem, lecz stanowił codzienny kontekst wszystkich działań zbiorowych. Nawet formy oporu w znacznej mierze określone zostały przez kształt tego, przeciw czemu opór ten był zwrócony. A wszystko to miało i ma swoje językowe odpowiedniki, nader interesujące i godne badania. Przytoczę w tym miejscu mój ulubiony cytat ze św. Augustyna:

Lecz ponieważ dusza moja nie śmiała powiedzieć, że się jej nie podoba Bóg mój, nie chciała tego, by to, co się jej nie podobało, uznać za dzieło rąk Twoich. Stąd też doszło do mniemania, że istnieją dwie substancje i nie zaznając odpoczynku mówiła niedorzeczności (*Wyznania*, Ks. siódma, XIV, 20).

Podział na absolutne dobro i absolutne zło — możliwy w abstrakcyjnym królestwie wartości (i kontrwartości, będących rzucanym przez nie cieniem) — nie daje się łatwo przeprowadzić w świecie ludzi żyjących. Oczywista to uwaga, ale warto wyciągać z niej wnioski.
Wierzbicka analizuje odzwierciedlony w języku stosunek do milicji. Zakłada, że jest on negatywny. Zawsze i wszędzie. Cytuje odpowiednie wypowiedzi, sama też używa ostrych słów: stwierdza np. w kontekście rozważań o *smurfach*, że określenie to odnosi się do:

członków zmotoryzowanych[2] sił policyjnych, oficjalnie nazywanych ZOMO, używanych w czasie stanu wojennego i potem dla sterroryzowania ludności w Polsce

[1] Przedrostek, *para-* jest wielce istotny: Wierzbicka używa go, ale jakby pod przymusem: wolałaby światu, który poprzez język opisuje, dawać jego prawdziwe imię.

[2] Brzmi to jak hasło z encyklopedii. Ale dlaczego pisze Wierzbicka *zmotoryzowane*? Czy to ważne, że oni *jeżdżą*, a nie *chodzą*? Przymiotnik *zmotoryzowane* jest częścią oficjalnej nazwy, i niczym więcej.

— brutalnych, zwykle pod wpływem narkotyków, wyposażonych w chełmy, tarcze, pałki gumowe i broń gazową.

Otóż, jak wiedzą dzieci, smurfy są niebieskie, tak jak mundury wszystkich milicjantów, narkotyków zaś używają rzadko.
Spotykałem funkcjonariuszy milicji (tych z „drogówki", i tych z SB) mówiących o sobie *my*, *smurfy*. Fakt ten otwiera pole dla wielorakich interpretacji: 1) reprezentanci wrogiego obozu starają się zdyskredytować język antytotalitarny, używając go osobiście[3]; 2) milicjanci, cierpiący wskutek powszechnego identyfikowania ich z komunistyczną władzą, usiłują przezwyciężyć psychologiczny dramat odrzucenia, używają — w kwestii dla nich samych kluczowej, dotyczącej grupowego samookreślenia — terminu funkcjonującego w społeczeństwie, do którego pragną pełnoprawnie przynależeć („władzy służą", bo „jest to władza" lub „jak wszyscy inni"); 3) milicjanci mają poczucie grupowej przynależności, która nie jest w ich rozumieniu tym samym, co przynależność do grona sług systemu: jest identyfikacją czysto zawodową; szukają tedy określenia, które będzie, zarazem, inne od oficjalnego i odda ducha grupowości — w tym rozumieniu określenie *smurfy* jest eufemizmem określenia *policja*: jesteśmy prawdziwi — czym lepsi są od nas jacyś tam szeryfowie w USA, oni też pracują dla władzy — my nie jesteśmy komunistami, robimy to samo co inni w całej Polsce; jesteśmy po prostu policjantami; jeśli nie wolno nam tak się nazywać, nazwijmy się jakkolwiek, byle nie tak, jak nam kazano; 4) milicjanci też mają poczucie humoru.
Według Wierzbickiej chodzi o to, że milicja lub, lepiej, zomowcy, są w ten sposób „językowo redukowani do rozmiaru śmiesznych małych zabawek". Skoro sami to czynią, może więc 5) czują się instrumentem systemu, transcendentnej siły, która ich przerasta, czyni bezwolnym narzędziem obcej woli; w odruchu ucieczki szukają schronienia; jako małe *smurfy* kryją się za symboliczną osłoną nazwy — mali, niewidoczni. Mam wrażenie, że wywód Wierzbickiej można badać według tych reguł, które ona sama stosuje do badania społecznie funkcjonujących terminów[4] i ich spektrów znaczeniowych.

---

[3] Odległa analogia: w drugiej połowie lat siedemdziesiątych komunistyczna propaganda próbowała dyskredytować działaczy demokratycznej opozycji wskazując na komunistyczne koneksje ich samych, bądź ich rodziców.

[4] przyp. 1,2.

Milicja nazywa się dziś inaczej, nadto masowo przejawia zainteresowania religijne. Rzecz ciekawa: ci, którzy nie lubią aktualnego rządu używają wobec stróżów prawa nazwy odwrotnej do tej obowiązującej. Chłopi, demonstrujący ostatnio przed Ministerstwem Rolnictwa, na rozpędzającą ich policję wołali *milicja*, manifestując zapewne w ten sposób swój pogląd, iż nic się w kraju nie zmieniło. Podobnie, w latach siedemdziesiątych, w kręgach KOR-owskiej opozycji mówiło się chętnie na milicję *policja*, dla podkreślenia jej ideologicznej roli *instrumentum regni* systemu.

Mówiąc o języku rysuje Wierzbicka wizerunek społecznej sytuacji komunikacyjnej. Daje przykłady z różnych okresów historii PRL, jednak paradygmatem pozostaje dla niej stalinizm — czas, kiedy system najpełniej pokazał, czym w istocie jest, zawsze i wszędzie, kiedy jego „esencja" wcieliła się w rzeczywistość. Zdawałoby się, że paradygmat ów pasuje również do czasów „Solidarności" między sierpniem i grudniem, kiedy polaryzacja układu władza — społeczeństwo stała się jeszcze wyraźniejsza wskutek instytucjonalizacji strony społecznej. Jednak bliższe przyjrzenie się typowym zachowaniom członków związku w sytuacjach publicznych ujawnia ich złożony, niejednoznaczny stosunek do osób czy isntytucji pozornie dających się łatwo i jednoznacznie zaliczyć do sił *ancien regime'u*. Przykład milicji jest szczególnie wyrazisty. Zanim zajmę się nim bardziej szczegółowo, kilka uwag ogólniejszych.

„Solidarność" powstała jako fragment wydzielony z dawnego układu polityczno-społecznego i zarazem jako zapowiedź całości przyszłego demokratycznego porządku. Na kanwie kompromisowej, pozornie apolitycznej formuły syndykalistycznej stworzono organizm będący w istocie nie tyle związkiem zawodowym, co państwem w państwie, nową, p r a w d z i w ą Polską, alternatywną wobec tej istniejącej, zawłaszczonej przez urzędujący komunizm. Związek „Solidarność" starał się ogarnąć całokształt myśli, aspiracji, sentymentów, wartości i działań dotąd zepchniętych na margines życia publicznego; chciał dać miejsce i szansę wszystkim grupom autentycznie społecznym, niezależnym od państwa, jego doktryny i organizacji.

„Solidarność" była dla jej członków tą prawdziwą Rzeczpospolitą; chcieli, by stanowiła ona możliwie p e ł n ą realizację idei własnego państwa Polaków. Dążeniem do takiej „kompletności" wytłumaczyć można powszechne w związku zakładanie tzw. Ośrodków Badań Społecznych, a także osobliwą karierę instytucji „eksperta". Było to,

jak sądzę, wyrazem chęci wykazania się posiadaniem własnych „uniwersytetów" i własnej elity intelektualnej, której istnienie wzbogaca wspólnotę o jeszcze jedną funkcjonalną część.
Podobną postawę zaobserwować można było wobec milicji. Szanujący się związkowiec na co dzień posługiwał się całym zestawem negatywnych stereotypów tej instytucji będącej symboliczną wręcz kwintesencją reżymu i jego deprawacji. Ale w pewnych, określonych sytuacjach to, co nazwałem dążeniem do pełni, postawę tę zmieniało radykalnie. W uchwale I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność" *W sprawie pracowników cywilnych MON i MSW* czytamy:

Zjazd zobowiązuje władze krajowe Związku do użycia wszystkich dostępnych Związkowi środków obrony naszych członków dla zabezpieczenia prawa swobodnego, zgodnego z konwencjami międzynarodowymi, działania NSZZ „Solidarność" w obu resortach i w organach adminstracji.

Na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność" byli obecni i wygłosili przemówienia przedstawiciele bezskutecznie zabiegającego o legalizację niezależnego „Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej". Delegaci przyjęli niemal jednogłośnie uchwałę udzielającą stanowczego poparcia ich staraniom. Nie jest to odosobniony przykład postawy tego rodzaju; przeciwnie, raczej typowy[5]. Zastanawia tak zdecydowana chęć bronienia ludzi związanych ze skądinąd raczej nie szanowanym resortem.
Oto możliwe wyjaśnienie. Rola milicjanta jest potencjalnie społeczna. Jest godna potępienia jako *instrumentum regni* systemu, ale może zostać wyzwolona; w przyszłym, prawdziwym państwie dzisiejszy milicjant przeobrazi się w stróża prawa, prawu podległego (w państwie tym nie będzie natomiast policji politycznej: funkcjonariusze

[5] Milicjantów z Otwocka uratowały w zasadzie elementy antysocjalistyczne. Oficer MO podszedł do Michnika i zapytał, czy poda mu rękę. Po czym wyprężył się, walnął obcasami i powiedział mniej więcej tak: „wiem, że może mnie to drogo kosztować, ale dziękuję Panu" („Solidarność Ziemi Łódzkiej" 19/32:4); 17 VI w Zambrowie funkcjonariusze MO, nie mogąc opanować tłumu żądającego sprzedaży chleba prosto z piekarni, zwrócili się do zarządu oddziału „Solidarności" o pomoc, dzięki której udało się uspokoić ludzi i zorganizować sprzedaż pieczywa w lokalu nieczynnego sklepu. Z kolei 22 VI przedstawiciele MO poparli działaczy „Solidarności" domagających się, na zebraniu Komitetu Kontroli Społecznej w Zambrowie, wprowadzenia kontroli sklepów wykluczającej możliwość uprzedzenia zainteresowanych przed podjęciem akcji („Biuletyn AS" 21:205).

Służby Bezpieczeństwa będą nieodwołalnie potępieni, do raju nie wejdą).
Wspomniani niezależni milicjanci przyszły stan wolności odważnie antycypują.
Myśl o jedności społeczeństwa, tak wówczas popularna, sugerowała konieczność przeprowadzenia podziału wśród milicjantów:

Brutalna, bandycka akcja specjalnej grupy MO i SB w Bydgoszczy wstrząsnęła całym społeczeństwem. Jesteśmy przekonani, że wśród funkcjonariuszy MO są ludzie uczciwi, gotowi potępić tego typu niegodne człowieka akty bestialstwa. APELUJEMY — NIE BĄDŹCIE NARZĘDZIEM BEZPRAWIA I TERRORU. Stanowimy jeden naród i nikt nie będzie nas dzielił.[6].

W powszechnym odczuciu milicja jest silnie kojarzona z ustrojem, państwem i jego aparatem (kolokwialne *panie władzo*), dla wielu najdobitniej uosabia zło i deprawację systemu. Ale właśnie dlatego uczciwy milicjant może stać się równie dobitnym symbolem przyszłego, żyjącego u siebie społeczeństwa obywatelskiego, wizytówką demokratyczngo i praworządnego państwa, gdzie stróż porządku nie budzi lęku przyzwoitego obywatela, bowiem jest jednym z nas, czymś swojskim, moralnie neutralnym elementem krajobrazu, jak londyński *bobby* zdobiący turystyczne foldery.
Zważmy: nie wszystkie przedsięwzięcia zmierzające wówczas do zmiany od wewnątrz dawnego porządku kryły w sobie taki symboliczny potencjał. Przykładowo, socjaldemokratyzujący ruch „struktur poziomych" w PZPR traktowany byl często jako rzecz obca — obojętnie lub z nieufnością. Jeżeli Niezależny Funkcjonariusz realizował archetyp Mateusza, nawróconego celnika, partyjny reformator mógł być tylko Judaszem lub Azefem.
Entuzjazm wywołany pojawieniem się pierwszych wkraczających na uczciwą drogę milicjantów jest funkcją szczególnej łatwości, z jaką wizerunek Niezależnego Funkcjonariusza zdolny jest wchłonąć i reprezentować treść mitu solidarnej jedności. Zewnętrzne znaczenie sytuacji jest rzeczywiste i prawdziwe: delegaci Zjazdu, powstawszy, oklaskują stojącego na trybunie milicjanta. Nad tym jednak nadbudowany jest wtórny system znaczeń niosący treść mitu jedności. Przedmiot aplauzu jest tyleż prawdziwy, co dowolny i niekonieczny; tym, co konieczne, co jest prawdziwym źródłem emocji, okazuje się

[6] „Biuletyn Informacyjny Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność" w Hucie im. Bieruta w Częstochowie" nr 8, s. 5.

większość społeczeństwa, idealne my i przeciwstawiona staremu porządkowi nowa wspólnota wszystkiego, co niezależne i samorządne. Morał: raz jest tak, a raz inaczej; zachowania, również werbalne, a stąd i znaczenia wyrazów i całych konstrukji językowych, mają charakter sytuacyjny. I morał drugi: świat jest skomplikowany; dobro i zło są w nim przemieszane, i przez to trudno nieraz uchwytne. Mówiąc coś lub czyniąc, warto rozważyć, czy czasem nie skorzysta na tym Książę Ciemności. Ale kierując się tą głównie dyrektywą łatwo przeoczyć wiele ciekawych spraw.

Jerzy Bralczyk: Antytotalitarny metajęzyk

Tytuł tekstu Anny Wierzbickiej zapowiada niemal tak dużo, jak nazwisko jego Autorki: będziemy czytali o jakimś JĘZYKU, o jakichś MECHANIZMACH. Przyznam, że lektura nie zaspokoiła mojego apetytu. Sądzę, że nie było w Polsce języka antytotalitarnego, a „mechanizmy samoobrony językowej" kojarzą mi się chyba z czymś nieco innym niż Wierzbickiej.

Reakcje na język totalitarny bywały różne: przejmowanie go nawet przez jego ofiary i przeciwników (używanie LTI przez Żydów pokazuje Klemperer); tworzenie poczwarnych i zabawnych, lecz funkcjonalnych melanży (patrz Babel, Zoszczenko, Jerofiejew, przede wszystkim chyba Zinowiew); rzeczywiste odrzucenie, kiedy to język w niektórych swoich odmianach (najczęściej kolokwialnej, czasem naukowej, czasem innej jeszcze), broni się przed totalitaryzmem nic z niego nie przejmując.

Ta właśnie trzecia sytuacja wystąpiła u nas. Za język obronny uznałbym niewymuszony, choć miejscami wulgarny do plugawości, język ulicy, w którym (inaczej chyba niż w rosyjskiej *prostorieczi*) mało było śladów oficjalnego języka propagandy komunistycznej. Takim językiem byłby język pewnego typu eseistyki humanistycznej, któremu często (i czasem słusznie) zarzucano „iblowską" bełkotliwość i mętniactwo, ale nie można było przypisać mu uległości wobec publicznej sztampy. Taki był język Kościoła, a przynajmniej znacznej części tekstów tam powstających.

Ale to była, nie zawsze zresztą programowo uświadamiana, obrona przez odrzucenie. Wykład Anny Wierzbickiej traktuje o czymś innym: o hipotetycznym antytotalitarnym systemie językowym. Nie

dowodzi Autorka istnienia takiego systemu. Z kilku wyrazów i kilku zastosowań powszechnie i od dawna funkcjonujących reguł morfologicznych języka stworzyć się nie da. Ma to tyle z językiem wspólnego, co wymyślenie przez kilku uczniów dla nielubianych nauczycieli przezwisk, których używanie tak wspaniale pozwala na odreagowanie napięć, a głośne publiczne użycie daje efekt wyzwalający.

Nie przesadzajmy z językami — i tak mamy ich zbyt wiele.

Wykład nie spełnia zapowiedzi, lecz wciąga. Wspaniała jego emocjonalność, tak naturalna dla anglojęzycznego i dawniejszego tekstu-matki, może nie być w należyty sposób odebrana przez przyszłego czytelnika „Tekstów" — zawsze jednak tekst uatrakcyjni. Odejście od suchych filologicznych pomruków na rzecz uroczych kwalifikacji typu: „coś w rodzaju", „jak gdyby", „że tak powiem", „mówiąc z grubsza" itp., skojarzenia *muchy* z *komuchem*, przypisywanie *bezpiece* krzykliwości i łączenie jej z *draką* i *meliną*, interpretownie nazwy *ubecy* przez formułę „bezimienne, godne pogardy i nie w pełni ludzkie stwory" — wszystkie te cechy sprawiają, że tekst Wierzbickiej czyta się dobrze i ze zdenerwowaniem.

Dowiadujemy się z niego wielu rzeczy. Co to jest *maluch* (rzecz jasna dla skojarzenia z *komuchem*), że ZMP było w stylu Hitlerjugend, że Konwicki w 1960 roku był oddany reżimowi, że *robol* to słowo „używane przez aparatczyków 'Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej' ". Ale te uproszczenia, nie tylko polityczne i obyczajowe, lecz również merytoryczne (nie zdaje mi się np., by w wyrazie *bezpieka* funkcjonował sufiks *-a*, chodzi tu raczej o zupełnie inny typ derywacji, a *-a* jest końcówką mianownika — jeśli to w ogóle nie jest zapożyczenie z ukraińskiego), ułatwiają przecież śledzenie wątku głównego, tego, o co w tekście istotnie chodzi: Polacy przez cały czas dawali słowny odpór.

Wierzbicka, pisząca kiedyś o intersubiektywności intuicji daje tu takie właśnie intuicyjne i intuicyjnie trafne interpretacje *uboli*, *ubeków*, *ubowców*, *ubecji*. Czy potrzebny jest do tego aparat językoznawczy? Niewątpliwie pozwala on na zobiektywizowanie intuicji. Tak się dzieje w wypadku opisu funkcji sufiksu *-uch*, przy bardzo ciekawym wywodzie na temat sufiksu *-ol* jako wspólnej podstawy dźwiękowej dla grupy czasowników. Ale też na dobrą sprawę na tym koniec. Reszta — to pełen wdzięku i emocji, subtelny i brutalny zarazem esej wrażeniowy.

Wyrazy analizowane w tym eseju zasługują na uwagę jako dokumenty walki z terrorem i inwigilacją. Ich analiza treściowa jest wysoce przekonująca, a prowadzona *sine ira* byłaby przekonująca jeszcze bardziej. Czy odniosły one zwycięstwo nad swymi denotatami, jak efektownie pisze Wierzbicka? W pewnym sensie tak — nie sposób pisać teraz o komunie nie używając nacechowanego przecież wyrazu *komuna*. Ale czy wyraz *nowomowa* nie jest homogeniczny, czy nie należy do nowomowy? Mówił kiedyś o tym Walery Pisarek, przed zaraźliwością komunistycznego języka propagandy ostrzegał Seweryn Blumsztajn. Być może najgroźniejsze byłoby zwycięstwo komunistycznego języka teraz — nie przez jego pojęcia czy frazeologizmy, ale przez utrwalone w nim, a przez to i w nas skłonności do używania w publicznym mówieniu wyraźnie wymaganej dwuwartościowej oceny, nonsensownych sylogizmów, patetycznych metafor, do przypisywania prymatu wierności leksykonowi raczej niż składni, do abstrakcyjności i dyrektywności i wielu jeszcze innych cech. Miejmy nadzieję, że nie będzie to zwycięstwo pełne.

Stanisław Balbus: Słowa i desygnaty czy akty i gatunki mowy?

Nie zdołałem, niestety, dotrzeć do pełnej angielskiej wersji pracy Anny Wierzbickiej, której tłumaczone tu fragmenty (choćby po numeracji paragrafów i treści sumarycznego rozdziału ostatniego sądząc) stanowią tylko stosunkowo nikłą część; mam jednak wrażenie, że reprezentatywną i miarodajną. Przedmiotowo, tematycznie rzecz biorąc, jest to, wedle końcowych słów Autorki, „opowieść o polskich nazwach policji politycznej", czy gdzie indziej: „analiza określeń używanych w języku potocznym dla nazwania policji politycznej". Aliści problem, już w tytule, oznaczony został niepomiernie szerzej: „mechanizmy samoobrony językowej" przed językowym totalitaryzmem. A więc spenetrowany faktycznie zakres przedmiotowy okazuje się synekdochą całego problemu. Na wybranych przykładach z wybranego wąskiego zakresu obszarów języka pragnie Autorka w istocie dojść do konkluzji pozajęzykowych: socjalnych, kulturowych, politycznych, bo dotyczących centralnej w rzeczywistości peerelowskiej kwestii „władzy wewnątrz władzy, nigdy nie uznawanej przez ludność za

zgodną z prawem". Stąd tytułowa „samoobrona" oznacza zarazem protest wobec pewnego s y m p t o m u faktycznej władzy politycznej (partyjnej), symptomu najdotkliwiej odczuwanego w praktycznym życiu politycznym, niewolącego wprost, brutalnie, jawnie i dokuczliwie. A zatem znów myślenie synekdochalne Autorki: policja polityczna jako praktyczne narzędzie terroru i zniewolenia duchowego przez monopartyjną władzę. Notabene siły policyjne określało się wszak u nas potocznie i bardzo powszechnie (na wpół żartobliwie, na wpół szyderczo), jako *władzę* (stąd nawet spersonifikowany zwrot *panie władzo*), czego akurat Autorka, nie wiedzieć czemu, nie bierze pod uwagę.

Cechy semantyczne kilku analizowanych tu słów, ze względu na ich aspekt referencjalny, określa Wierzbicka globalnie (w diachronicznym stopniowaniu): terror, przemoc, tortury, bestialstwo, anonimowość, tajność, nieokreśloność, mafijność, gangsterstwo, klikowość, bezprawie i tylko *quasi*-legalność, bezkarność. Zaś emocjonalne aspekty ekspresywne dotyczące stosunku do tych znaczeń — również skalarnie i zasadniczo w porządku chronologicznym — jako: strach, groza, gniew, lekceważenie, pogarda, odraza, intencja obelgi, szyderstwo, przekora i generalnie — negacja.

Jako metodologiczny punkt wyjścia stawia Autorka hipotezę, że metody totalitarnego zniewolenia językowego (tj. mechanizmy oficjalnej, mocą aparatu władzy ustanowionej nowomowy) na Newtonowskiej niemal zasadzie: *reactio est aequalis actioni*, wywołują swoje językowe przeciwieństwo: język antytotalitarny, „mowę podziemną". W ten sposób w systemach totalitarnych pojawia się nieuchronnie zjawisko społecznej dwujęzyczności, d y g l o s j i: autentyczny język społeczeństwa o mocy pozaorganizacyjnej samointegracji oraz język władzy, która przy pomocy owej nowomowy stara się społeczeństwo duchowo spustoszyć, uprzedmiotowić, wyprodukować jako bezkształtne zbiorowisko zniewolonych umysłów, czy bez-umysłów. Do owej dyglosji sprowadzają się właśnie mechanizmy społeczno-językowej (a więc duchowej) smoobrony, polegającej „na znajdywaniu sposobów wyrażania emocji, postaw i myśli, które wskutek kontroli politycznej słowa oficjalnego (a więc publicznego) nie mogą być w y r a ż o n e w p r o s t". I tu pierwsza niejasność i, drobne na razie, zastrzeżenie. W PRL przed powstaniem „obiegu nieoficjalnego" (czyli przed 1976 rokiem) „słowo oficjalne" był to w zasadzie j ę z y k p i s a n y i formy publicznej komunikacji,

wystąpień jeśli ustnych, to z reguły czytanych, kontrolowanych zatem przez cenzurę („dyskusje" radiowe i telewizyjne, odczyty zebraniowe, wiecowe itp). Język autentycznej, antytotalitarnej, komunikacji był natomiast językiem mówionym, potocznym, „prywatnym", niemal familiarnym, funkcjonującym zatem w sferach (z wyjątkiem obawy „podsłuchu", donosicielstwa, inwigilacji) nie objętych żadną kontrolą totalitarnych instytucji politycznych. Pojawia się zatem pytanie, którego Wierzbicka nie stawia: dlaczego to w owej „względnie bezpiecznej", pozaoficjalnej sferze miałyby pojawiać się znaki, czy ich konfiguracje, „szyfrowe", niejako kamuflujące, „nie wyrażające autentycznych emocji, myśli i postaw wprost"? Logicznie wszystko wskazywałoby na to, że takie wyrażenia powinny pojawiać się raczej w języku pisanym (oficjalnym, kontrolowanym, języku „na podsłuchu", publicznym). I to istotnie (acz Autorka fakt ów zignorowała) miało miejsce w literaturze artystycznej, w prozie po 56 roku, w poezji po 68, w eseistyce, które to formy rozwinęły całą sztukę aluzji, kamuflażu, alegorii. Aluzji nieraz wielopiętrowych, często intertekstualnych, apelujących zatem do „elitarnej" świadomości społecznej, prowadzące zaś grę z aparatem kontroli; często były to po prostu peryfrazy, eufemizmy, przemilczenia. Rzecz zaś szczególnie ciekawa i ważna w tym kontekście (czego Wierzbicka również nie przyjmuje do wiadomości), że takie kamuflujące określenia pojawiały się nagminnie również w potocznej komunikacji kolokwialnej (Autorka przytacza jeden przykład: *smerfy* na określenie ZOMO), ale funkcjonował przecież od stanu wojennego niezmiernie popularny znak zomowców: *marsjanie*; zamiast KC partii mówiło się *Biały Dom*, zamiast ZSRR — *starszy brat*, Gomułkę (dzięki Szpotańskiemu, ale na ogół bez świadomości źródła) nazywano *Gnomem*, dysydentów i rewizjonistów — *komandosami* lub *taternikami*, Jaruzelskiego — *generałem Zomozą*, o uwięzieniach — *załatwieniem miejsca w internacie*; o Wałęsie — *mężczyzna z wąsami* (za sprawą podpisu pod rysunkiem Fedorowicza), o cenzurze — *doraźna pomoc literacka*, o przymusowych manifestacjach — *spędy* lub *zbiorowy entuzjazm mas*, o ubeckich bojówkarzach — *nieznani sprawcy*, o zorganizowanym biciu więźniów i aresztantów — *bieg przez ścieżkę zdrowia* itd., itd. Tego rodzaju aluzje, peryfrazy, eufemizmy były próbą jawnego ominięcia lub oszukania oficjalności w obrębie tejże oficjalności, a niekiedy jawnym szyderstwem z oficjalności i jej języka. A więc tym samym bardzo istotnym środkiem językowej samoobrony.

Z generalnego założenia — analizy i dociekania Wierzbickiej dotyczą wyłącznie warstwy leksykalnej języka, tj. wybranych, izolowanych haseł leksykalnych. Tymczasem istota totalitarnej nowomowy (nie omijając, rzecz jasna, leksykonu) spoczywa jednak przede wszystkim w konstrukcjach języka, w składni, a ściślej frazeologii, a to dlatego, że jest to język tak zunifikowany (przemówienia, dekrety, deklaracje, oficjalne komunikaty PAP-u, oficjalne sprawozdania, krytyki i „głosy w dyskusji"), że składnia przestaje być generatorem zdań indywidualnych, a staje się zbiorem gotowych sztanc wyrażeniowych, wobec których swoboda mówiącego jest minimalna, a wariabilność zależna raczej od zewnętrznej sytuacyjności, niż woli mówiącego; co zdanie to frazeologizm. I'tej to sfery dotyczą przede wszystkim „mechanizmy samoobrony językowej" wytwarzające „język podziemny", co prowadzi do mniej lub bardziej jawnych parodii języka oficjalnego (demaskujących jego bezsensy, pozorności semantyczne, tautologie, absurdy), albo do „omijania z daleka" z jaskrawą ostentacją tego typu konstrukcji (ortodoksyjna dbałość, by nie zbliżyć się do „języka telewizji", nawet za cenę kolokwializmów czy wręcz wulgaryzmów, nonszalancji mowy itp). Znakomitych przykładów pierwszego dostarcza poezja „pokolenia 68", zwłaszcza Barańczaka, Lipskiej, wczesnego Krynickiego, a także teksty piosenek kabaretowych Osieckiej, Pietrzaka, Młynarskiego.

Nie dezawuując w najmniejszym stopniu precyzji i wnikliwości konkretnych analiz semantycznych Wierzbickiej, trzeba wszakże wprost powiedzieć, że jako bezpośredni przedmiot mający otworzyć problem mechanizmów antytotalitarnej samoobrony językowej wybrała ona bardzo powierzchniową kategorię zjawisk językowych. Elementy leksykalne mogą służyć za prowizoryczny punkt wyjścia, ale nie jako fundament metody uchwycenia sedna problemu. Zagadnienie takie jak nowomowa i anty-nowomowa trzeba by badać wychodząc nie od pojedynczych znaków, lecz od formacji mownych, od form wypowiedzi, stylów, gatunków mowy, aktów mowy — i charakterystycznych dla nich konstrukcji znakowych.

Między językiem totalitarnym (nowomową) a antytotalitarnym istnieje w rzeczywistości „realnego socjalizmu" (i komunistycznego jak również faszystowskiego totalitaryzmu) różnica fundamentalna, którą Autorka zdaje się co najmniej bagatelizować. Autentyczność „życia" języka sprowadza się, co oczywiste, do mowy, do komunikacji, tj. interakcji międzypodmiotowej, czyli konwer-

s a c j i społecznej — międzygatunkowej itd. Dlatego to — powiadają dziś niektórzy badacze tekstów i filozofowie języka (np. Bachtin, Barthes, amerykańscy dekonstruktywiści, niektórzy hermeneutycy) — każda a u t e n t y c z n a wypowiedź (nie „martwa inskrypcja") jest z natury rzeczy intertekstualna (a więc wielostronnie interakcyjna). Każda też posiada jawnie wmontowaną funkcję fatyczną skorelowaną z konatywną i emotywną. Język totalitarny natomiast (nawet „mówiony") jest „inskrypcją", nie jest przeznaczony do wzajemnej w y m i a n y informacji, czyli do m ó w i e n i a. Uzurpowaną i jedyną uznawaną przez niego funkcją jest p r z e m a w i a n i e, przekaz informacji w jedną stronę. Uprzedmiatawia on swego odbiorcę, a nadawcy odbiera aspekt personalny, czyni go bezosobowym przekazicielem opinii „niczyjej", stanowiska instytucji politycznej. Jest to język akonwersacyjny, język monologu, nawet jeśli ów „monolog" przybiera zewnętrzne, formalne pozory „dialogu" (zdania dyskutanów są „uzgodnione", „skonsultowane"). Jakby rzekł Bachtin, jest to język autorytarny, gdyż w swoim mniemaniu wyraża zawsze „jedynie słuszną i niepodważalną rację" („Na temat pluralizmu nie może być dwóch zdań", jak mawiał Stalin), rację bezosobową, bezwzględnie zobowiązującą odbiorcę (zmistyfikowanego i sfikcjonalizowanego, oczywiście) do jej „bezdyskusyjnego przyjęcia do wiadomości".

Autorytarnie monologiczny język totalitarny musi „udawać" zatem, że „nie dostrzega" pozaoficjalnych (a „żyjących na wolności") sposobów istnienia języka jako rozmaitych odmian konwersacyjnej („poza zasięgiem cenzury") mowy kolokwialnej. Nie przyjmuje jej do wiadomości. Dekretuje jej oficjalny niebyt. Toteż nie jest w stanie i „nie chce" mowy tej „zaczepiać", wdawać się w polemiki. Stara się ją jedynie — zawsze skrycie i nieoficjalnie — ograniczyć i unicestwić.

Każdy natomiast język żywy, kolokwialny, nie tylko wchodzi w konwersacyjne kontakty i interakcje z innymi językami (stylami) tego samego rzędu, ale przede wszystkim nieustannie zdobywa się na „zaczepki", prowokacje, parodie, karykatury, demaskacje i demistyfikacje wobec oficjalnego języka autorytarnego, usiłując podważyć jego „niepodważalne racje". Dzieje się to w mowie kolokwialnej, ale także w konwersacyjnych stylach literackich (próbowałem szerzej zanalizować to zjawisko w artykule *Dywersja w nowomowie*, „brulion" 1987, nr 2—3).

Stosunki między obydwoma członami nazwanej przez Wierzbicką dyglosji są zatem nieproporcjonalne. „Mowa podziemna" stanowi wprawdzie reakcję na mowę oficjalną, „urzędową", ale to ona jest aktywna, ona dostrzega i atakuje tę ostatnią, gdy ta jawnie ją ignorując, potajemnie próbuje ją zlikwidować, usunąć, nie jest jednak w stanie w nią ingerować, gdyż to by oznaczało uznanie partnerstwa. Wierzbicka na analizach paru przykładów jednostek leksykalnych świetnie nieraz pokazuje istotę tego rodzaju konfrontacji, ale czyni to w oderwaniu, poza formami wypowiedzi, których owe pojedyncze znaki są elementami strukturalnymi, poza odpowiednimi gatunkami mowy i aktami mowy, od czego przecież jest skądinąd świetną specjalistką. Tymczasem pojedynczy znak reprezentuje wszak system czy jakiś mikrosystem, i zarazem określony akt komunikacji, określony, stosowny do typu tego aktu, gatunek mowy. Tutaj dopiero zaczyna się istota problemu owej „samoobrony". Bronią się gatunki mowy i akty mowy, nie słowa, one są tylko partykularnymi narzędziami w granicach swoich ram całościowych.

Zawężenie owego problemu w rozprawie Wierzbickiej polega zwłaszcza na swoistym prezentyzmie. Tak jakby problem językowej „samoobrony" pojawił się dopiero wraz z językami totalitarnymi, a więc w komunizmie i faszyzmie czy „realnym socjalizmie". Tymczasem jest to tylko swoiste spotęgowanie i swoista modyfikacja zjawiska (i problemu) znacznie szerszego i znacznie starszego. Od wieków działo się tak, że każdy język oficjalny, zyskujący sobie autorytet jakiejś władzy czy instytucji (czyli autorytarny lub do autorytarności zmierzający), powodował pojawienie się swego przeciwieństwa. Tak działo się w średniowieczu i później z językiem sakralnym (liturgicznym, paraliturgicznym, językiem katechezy i homiletyki), który wyzwolił język swoich wulgaryzujących parodii (nikt nie zanalizował tego lepiej i pełniej, niż Bachtin); tak z klasycystycznym językiem literatury pięknej i traktatów, który sprowokował gwałtowny rozwój literatury plebejskiej; tym jest bodaj dziś gwara studencka wobec oficjalnego języka akademickiego. Ujęcie całej tej problematyki w nadrzędnych ramach gatunków mowy, form i stylów społecznych — pozwoliłoby Autorce postawić zasadnicze i kluczowe pytanie: czym mianowicie dzisiejszy język antytotalitarny r ó ż n i s i ę gruntownie i generalnie od innych językowych sposobów samoobrony przed zakusami innych języków autorytarnych.

Powstaje jeszcze jeden problem, bodaj najważniejszy, a na pewno najtrudniejszy; problem natury w istocie lingwistyczno-metodologicznej. Rozprawa Wierzbickiej dotyczy semantyki leksykalnej z uwzględnieniem kontekstów wypowiedzeniowych. Przy czym Autorce zdecydowanie bliższe jest podejście pragmalingwistyczne, niż logiczno-strukturalne. Bada ona zawartość znaczeniową „słów podziemnych", nowopowstałych jako reakcję żywych kontaktów mownych na zmistyfikowane odpowiedniki w obrębie zunifikowanej nowomowy. Pojawia się zatem automatycznie — nigdzie atoli przez Autorkę *explicite* nie sformułowany — problem, na jakich zasadach konstytuują się owe, powszechnie przecież przez społeczeństwo zrozumiałe, znaczenia polemicznych, buntowniczych, demaskatorskich, szyderczych „słów podziemnych". Problem stary i mający w historii lingwistyki wiele, nie zawsze dających się uzgodnić, rozwiązań czy hipotez. Wierzbicka — z reguły wprost tego nie określając — zdaje się na równych prawach uwzględniać metody i hipotezy nader rozmaite i trudno sprowadzalne do wspólnego mianownika, wyraźnie wedle chwilowej przydatności do powziętych założeń na temat „powinności znaczeniowej" danego słowa czy po prostu własnej intuicji, co ono znaczy. A zatem:

a. Bierze pod uwagę prostą funkcję referencjalną (desygnatywną); sens słowa jest taki, jak w społecznym świecie lub intuicyjnym odczuciu „sens" (i „aura") jego realnych desygnatów (faktów, rzeczy, zjawisk), tak jak one funkcjonują w realnym życiu społeczno-politycznym, zgoła poza językiem, jego systemem i stylami. Słowo „nasyca się": 1° jakością rzeczową swego desygnatu, 2° zabarwia ekspresywnie i wartościująco tymi emocjami społecznymi, które ów desygnat na ogół w danym momencie historycznym wywołuje. Np. UB — tortury, lochy, anonimowość, tajność, przemoc, bezprawie, bezkarność, a zatem — gniew, nienawiść, pogarda.

b. Bierze pod uwagę modyfikacje w stabilizujących się w danych okolicznościach historycznych kontekstach wypowiedzeniowych, tj. typ łączliwości syntagmatycznej danych haseł z wyrażeniami z odpowiednich pól znaczeniowych, np. *ubowski oprawca*, *parszywy ubek*.

c. Uwzględnia relacje wewnątrzsystemowe danych słów, ich powiązania, antynomie, konotacje w odpowiednich polach semantycznych, np. donosicielstwo, inwigilacja, tortury.

d. Uwzględnia pragmatyczne aspekty komunikacyjne, tj. typ sytuacji nadawczo-odbiorczych, okoliczności społeczne i konteksty komunikacyjne, w których dane słowo może lub nie może się pojawić.

e. Snuje (bardzo na ogół wnikliwe) dociekania morfologiczno-semantyczne i bada efekty modyfikacji derywacyjnej słów.

f. Stawia na pierwszym planie — domniemywane na podstawie własnych intuicji czy empatii — subiektywne asocjacje, głównie emocjonalne, użytkowników danego słowa w danym momencie.

g. Wspiera się na konstatacji społecznego charakteru, pozycji, poglądów użytkowników słowa, biorąc zwłaszcza pod uwagę ich polityczny, wartościujący stosunek do oficjalności (kto danego słowa używa, w jakich okolicznościach, z jaką intencją, w jakim celu).

h. Przywołuje w sukurs — na nader dowolnej zasadzie — subiektywne i w znacznej mierze arbitralne, niedowodliwe skojarzenia dotyczące nie tyle „przeżyć słów", co przeżyć faktów i zdarzeń, do których słowa te się odnoszą lub z którymi się kojarzą, ustalając tym samym charakter rzeczywistości pozajęzykowej jako semantyczną podstawę.

i. Powołuje się na własne, subiektywne, i nieraz dość odległe, poetyckie zgoła, skojarzenia słowne, tak semantyczne, jak często tylko brzmieniowe (*phonaestheme*), np. *komuch* kojarzy się z *muchą* i *kocmoluchem*, *ubol* — z *pierdolić* i *partolić*, *robol* (w pogardliwym znaczeniu robotnik) z *robakiem*; *komuna*, *bezpieka* — na zasadzie morfologiczno-semantycznej — z hasłami *zgraja*, *klika*, ale także: *afera*, *draka* itp.

Oczywiście, w samym artykule brak jakichkolwiek prób takiego uporządkowania, czy choćby wyodrębnienia i nazwania metod. W ogóle panuje tu powszechnie (wdzięczny skądinąd literacko, ale nieco podejrzany metodologicznie) subiektywny domysł, przypuszczenie. Wyrażenia w rodzaju: „w jakiś sposób sugeruje to...", „intuicyjnie wydaje się jakoś związane z...", „przypomina to...", „kojarzy się z czymś...", „wydaje się, że nieprawdopodobne byłoby skojarzenie...", „przypuszczam, że słowo to zachowało aurę..." itd. itd. — należą do „formuł-kluczy" tej lingwistycznej rozprawy, którą Autorka zresztą nazywa w końcu z wdziękiem „opowieścią".
Jeśli powiedziałem wyżej o preferowaniu przez Wierzbicką, mimo wszystko, postawy pragmalingwistycznej, to wymagałoby to uściślenia. A mianowicie, Autorka preferuje w o g ó l e nastawienie

pragmatyczne, przez co rozumiem w tym miejscu, że interesuje ją nie tyle komunikacyjne funkcjonowanie m o w y (i jej konkretnych znaków), ile społeczne funkcjonowanie pozajęzykowej rzeczywistości, której ta mowa i te znaki dotyczą, a także psychologiczne reakcje na ową rzeczywistość ludzi, którzy znakami tymi się w danych okolicznościach polityczno-historycznych posługują. Słowo *ubowiec* budzi grozę, poczucie tajemnicy i irracjonalnego terroru, ponieważ funkcjonowało zwłaszcza w czasach stalinowskich, gdy takie uczucia budziło UB i jego funkcjonariusze; słowo *ubek* wywołuje pogardę i lekceważenie, gdyż pojawia się i ulega ekspansji w czasach popaździernikowych, kiedy to policja spełniała głównie rolę podsłuchiwaczy i inwigilatorów, a terror zelżał, itp.

W efekcie Wierzbicka bardzo często, niemal z zasady — acz prawie niezauważalnie i bynajmniej nie metodycznie — przechodzi od opisu języka (struktury morfologiczno-semantycznej, semantycznej struktury kontekstu syntagmatycznego, struktury sytuacji komunikacyjnej, struktury pól semantycznych) w p r o s t do opisu charakteru i pragmatyki faktycznej rzeczywistości, w której elementy językowe funkcjonują i wobec której istnieją. Dokonuje niejako swoistej substytucji systemu znaków na system nie tyle już ich signifiés, co po prostu układu realnych, faktycznych desygnatów społeczno-politycznych.

Przypuszczam, że u podstaw tego (nie wiem, na ile zamierzonego) postępowania tkwi w ukryciu metodologiczne zaplecze neohumboldtowskiego paralelizmu językowo (semantyczno)-psychologicznego oraz językowo-kulturowego, zwłaszcza zaś wyjaskrawiona „hipoteza Sapira-Whorfa" i pewne akcenty stanowiące modyfikację przesłanek „pierwszego" Wittgensteina. I jeśli w zakończeniu rozprawy Autorka, odwołując się do Leibniza i Sapira, powiada, że „język jest zwierciadłem umysłu, kultury i historii", to zaczynam podejrzewać, że to metaforyczne zwierciadło traktuje ona zbyt dosłownie, jakby obraz ze zwierciadła był prawomocnym substytutem tego, co się w nim odbija. Czyżby do Leibniza i Sapira miał dołączyć się Lenin ze swoją „teorią odbicia"?

Na koniec jeszcze jedno zastrzeżenie. Otóż przebieg walki z semantyką (czy pseudo-semantyką) totalitarnej nowomowy jest ściśle skorelowany z autorytarnym i zmistyfikowanym charakterem tej semantyki. A charakter ów doskonale niegdyś określił Aleksander Wat w eseju o języku propagandy stalinowskiej (na którego Wierzbicka, a szkoda,

się nie powołuje) oraz w wiele lat później Andrzej Drawicz analizujący współczesną nowomowę sowiecką na tle tradycji języka polemicznego lewicy rosyjskiej (na ten esej Wierzbicka także się zresztą nie powołuje, choć ukazał się w fundamentalnej książce o nowomowie). Otóż, pomagając sobie trafnym sformułowaniem Jastruna, powiada Drawicz tak: perfidia nowomowy „polega na odwróceniu znaczeń słów przy (restrykcyjnym) przymusie powszechnego uznania tych słów w ich sensie pierwotnym", co znaczy np., że niewola jest nazywana wolnością i za wolność, wedle urzędowego dekretu, ma być bezapelacyjnie uważana w każdej oficjalnej wypowiedzi.
Otóż „antytotalitarna samoobrona językowa" polegałaby w tym kontekście na „wróceniu słowom ich wygłosu pierwszego", czy to przez morfologiczne lub kontekstualne zabiegi i inowacje, czy to przez parodię i szyderstwo. Z artykułu Wierzbickiej dość wyraźnie płynie taki wniosek, ale nie zostaje on wprost sformułowany, jako generalna zasada i cel „samoobrony".

Odpowiedzi autorki

Michałowi Głowińskiemu dziękuję za cenne uzupełnienia do mojego artykułu, a w szczególności za zwrócenie uwagi na *ubeczkę* i *ubicę*. *Ubeczka* jest oczywiście pozycją bardzo ważną, w omawianej strefie języka. *Ubica* jest sporadyczna i żartobliwa, ale bardzo przekonująca i niewątpliwie warta odnotowania. Skojarzenia z Królem Ubu są, jak sądzę, bardziej wąskośrodowiskowe, ale wykorzystanie ich przez Józefa Życińskiego dobrze ilustruje wyjątkowy potencjał ekspresywny związany z podstawą *ub-*.
Szczególnie cenna i wymowna jest anegdota o cenzorze usuwającym z tekstu słowo *ubecy* jako „obraźliwe", i żądającym zastąpienia go „funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa".

Elżbieta Tabakowska słusznie zwraca uwagę na obecny rozwój „językoznawstwa kognitywnego" i na charaterystyczne dla niego zarzucenie podziałów między semantyką a pragmatyką.
Uwaga co do neutralności akronimu *PRL* jest jednak nieporozumieniem. W pełnej wersji mojego artykułu sporo uwagi poświęciłam pejoratywnemu nacechowaniu słów takich jak *Peerel* (rodzaj męski)

czy *peerelowski* i podkreśliłam różnice między tymi formami a oficjalnym akronimem *PRL* (rodzaj żeński).
Nieporozumieniem jest też twierdzenie, że formy takie jak *robol* czy *ekstrema* są „aksjologicznie ambiwalentne", ponieważ tracą one swoją pejoratywność w użyciu ironicznym. Ironia jest z natury rzeczy mechanizmem odwracającym znaki wartościowania. Fakt, że w użyciu ironicznym wyrażenia takie jak *Kraj Rad* nabierają charakteru negatywnego, podkreśla tylko pozytywny znak wartości wpisany w ich (propagandowe) użycie dosłowne. Podobnie słowo *robole* używane jako ironiczny cytat pozwala mówiącemu zdystansować się i odciąć od wpisanej w nie oceny negatywnej, ale jej nie niweluje.
Niebezpieczeństwo subiektywizmu w analizie semantyczno-pragmatycznej niewątpliwie istnieje, nie jest jednak prawdą, że prace takie jak mój *Język anty-totalitarny* opierają się w swych sądach po prostu na intuicji badacza. Przeciwnie, rozwijają one właśnie aparat językoznawczy wiodący do ustaleń obiektywnie sprawdzalnych. Statystyka ma tu swoje miejsce, i osobiście nieraz się nią posługuję, większe jednak znaczenie mają dowody strukturalne, takie jak przesunięcia w rodzaju gramatycznym (ta *PRL* → ten *Peerel*), obserwacje o gniazdach morfologicznych, takich jak *ubol*, *ramol*, *robol*, *glupol*, czy *zezol*, obserwacje na temat utartych kollokacji (np. *oprawcy z UB* vs. *bandziory z Bezpieki*), itp.
Zgadzam się całkowicie, że spory z odwoływaniem się wyłącznie do subiektywnej intuicji są mało celowe, i nigdy bym się w nie nie wdawała. Gruntowność dokumentacji „obiektywnej" możliwa w tym czy innym artykule zależy po prostu od tego, ile stron ma się w danym wypadku do dyspozycji.
Na dużą wdzięczność zasługuje natomiast przytoczony przez panią Tabakowską cytat z *ubeczkiem* z *Wiary i winy* Jacka Kuronia — bezcenny wprost przyczynek do omawianego przeze mnie tematu.

Sergiusz Kowalski przypomina, że „świat jest skomplikowany" i że „dobro i zło są w nim przemieszane". Obserwacja, z którą trudno się nie zgodzić. Natomiast teza, że „raz jest tak, a raz inaczej" i że „zachowania, również werbalne, a stąd i znaczenia wyrazów i całych konstrukcji językowych, mają charakter sytuacyjny", jest moim zdaniem mylna. Słowa takie jak *ubowiec*, *ubol*, czy *ubecja* nie mają charakteru „sytuacyjnego". Przeciwnie, zawierają one w sobie inherentną wartość pejoratywną (w każdym wypadku nieco inną)

i inwariantne znaczenie, które można precyzyjnie opisać bez odwoływania się do kontekstu. Są też bezcennym świadectwem swoich czasów.
Fakt, że milicjanci mogą o sobie mówić, z gorzką autoironią, „my smurfy", nie zmienia wartości inherentnej słowa *smurfy*. Ironia, sarkazm, humor, itp., to odrębne zjawiska językowe, mające swoją własną semantykę, która nakłada się na semantyką niosących je słów, ale jej bynajmniej nie przekreśla. (Argument, że o słowach takich jak *ubecja* lub *ubol* nie należy pisać, bo jakimś „dobrym milicjantom" mogłoby być z tego powodu przykro, nie wymaga moim zdaniem odpowiedzi.)

Jerzy Bralczyk zarzuca mi użycie słowa *język* („język antytotalitarny") trochę na wyrost. Jest to sprawa, którą omawiam szczegółowo w angielskiej wersji mojego artykułu, a której brak miejsca nie pozwala mi szerzej omawiać w wersji obecnej.
Jedna uwaga szczegółowa. W słowie *bezpieka -a* jest, powiada pan Bralczyk, końcówką mianownika, a całe słowo jest być może zapożyczeniem z ukraińskiego. Ale stwierdzenie, że jakieś słowo jest zapożyczeniem, nie może zastąpić analizy tego, jak funkcjonuje ono na gruncie języka pożyczającego. Dla współczesnej polskiej świadomości językowej ewentualnie ukraińskie pochodzenie *bezpieki* nie ma żadnego znaczenia. Końcówka *-a* tego słowa jest oczywiście także końcówką mianownika, ale to ma jeszcze mniej do rzeczy jeśli chodzi o semantykę tego słowa. To, co tu jest istotne, to nie końcówka *-a*, ani nawet nie współistniejący z nią sufiks *-a*, ale kategoria morfologiczna oparta na „odcięciu" sufiksu prymarnego i zastąpieniu go przez owo *-a* (jak w *komunizm*, *komuniści* → *komuna*, *ekstremizm*, *ekstremiści* → *ekstrema*). Istotna jest także alternacja *-cz(k)* → *-k*, związana w języku polskim z kategorią augmentatywu (*beczka* → *beka*), a także „współgranie" *bezpieki* z kategorią leksykalną *draka*, *klika*, *zgraja*, itd. W moim artykule nie chodzi po prostu o to, że, jak pisze pan Bralczyk: „Polacy przez cały czas stawiali słowny opór"; ale także o to, żeby ogólne stwierdzenia tego rodzaju poprzeć precyzyjną analizą językoznawczą, pozwalającą zobiektywizować intuicje i udokumentować historię postaw w sposób ścisły i wiarygodny.

Stanisław Balbus wymienia w swoim głosie dyskusyjnym liczne problemy, które jego zdaniem zostały w moim artykule pominięte. Ma niewątpliwie rację; do jego listy problemów „pominię-

tych" mogłabym z łatwością dopisać dziesiątki innych — ale przecież jeden artykuł to jest tylko jeden artykuł. Niektóre zresztą z tych spraw „pominiętych" są omawiane, lub wspomniane,w pełnej wersji mojego artykułu (np. jest tam odnotowane wyrażenie *general Zomoza*, odnoszące się do generała Jaruzelskiego).
Zgadzam się również z panem Balbusem w wysokiej ocenie poświęconych językowi propagandy prac Aleksandra Wata i Andrzeja Drawicza, i jeśli ich nie wymieniłam, to nie dlatego, żeby je „zignorować", czy „zbagatelizować", ale dlatego, że nie było moim celem wyczerpujące omówienie literatury przedmiotu.
Jak zawsze, tak i w tej wypowiedzi, najciekawsze są konkrety, takie jak odnotowanie kollokacji *parszywy ubek*, kontrastującej w charakterystyczny sposób z kollokacją *oprawcy z UB*.

Jerzy Bralczyk

O języku Wałęsy

1. Człowiek istnieje w znacznej mierze przez język. Człowiek publiczny istnieje przez swój język publiczny. Lech Wałęsa jest człowiekiem publicznym.

Jego wypowiedzi są poddawane analizom i interpretacjom, są przeinaczane i wyrywane z kontekstu, są cytowane i używane jako hasła. Wypowiedzi człowieka publicznego uniezależniają się od niego i tworzą jego obraz. Nie można nawet powiedzieć, czy jest to obraz prawdziwy, czy fałszywy. To z obrazem, nie z człowiekiem, obcujemy.

Wałęsa protestuje czasem przeciw wypaczaniu jego intencji przez tendencyjne cytowanie jego słów w prasie i tendencyjne pokazywanie go, kiedy mówi, w telewizji. Te protesty to też publiczne wypowiedzi. I one też składają się na publiczny obraz. On tak właśnie mówi i tak protestuje. W *Telefonicznej opinii publicznej*„Gazety Wyborczej" znajdujemy taki sąd:

> Manipulacją jest pisanie, jak on mówi. Trzeba ładnie spisywać jego myśli tak, jak robi to „Tygodnik Solidarność". Czy robiąc wywiad z Michnikiem będziecie zaznaczać kropkami jego jąkanie się?

Manipulacją jest właściwie wszystko, także „ładne spisywanie myśli". A właśnie Wałęsie zaznaczano nawet w piśmie jąkanie się (magazyn „Pogląd" tak przytoczył nagranie jego wystąpienia na II Zjeździe „Solidarności").

Nie widziałem i nie słyszałem nigdy Wałęsy „na żywo". Pisząc o jego języku mam świadomość, że piszę o języku „zmanipulowanym". Ale piszę o tym języku Wałęsy, z którym styka się ogromna większość z nas, o języku, który tworzy jego publiczny obraz. Obraz złożony. Nie piszę o języku jego oświadczeń. To język bardziej suchy i dyplomatyczny, mniej indywidualny. Rzadziej sięgam po wyraźnie „uładnione" wywiady i po odczytywane przemówienia. Ale korzystam z krótkich cytowań prasowych, z manipulujących (przez autentyczność) i tendencyjnie przedstawiających Wałęsę wywiadów, np. w „Gazecie Wyborczej" i z nagrań telewizyjnych, przeciw którym protestował. Chcę pisać o języku Wałęsy publicznego.

Język Wałęsy się zmieniał. On sam o tym wie, także w potocznej świadomości Wałęsa się „językowo wyrobił", jak chcą niektórzy — lub „zepsuł", jak chcą inni. Tu jednak nie będę dzielił jego wypowiedzi na teksty „młodego" i „starego Wałęsy". Wydaje się, że ten językowy fenomen, który pojawił się dziesięć lat temu, więcej cech utrzymuje, niż zmienia. Znaczna większość cytatów pochodzi zresztą z wypowiedzi późniejszych.

2. Koncepcji mam dziesięć, a jak to napiszę — nie podoba mi się. Mogę razem z myśleniem mówić, ale pisać razem z myśleniem nie. Język mnie pędzi, a głowa nie zdąży naprawić (wywiad z 23 numeru „Bez Dekretu"); W Wilanowie dyrektor prosił nas o wpisanie się do księgi. Mnie w takich wypadkach brały zawsze dreszcze, Lech napisał. Zajrzałam tam później: Piękna Polsko — Lech Wałęsa. I nic więcej. Powiedziałam mu w samochodzie: — Leszek, bardzo ładnie napisałeś! — Odpowiedział: — Miałem napisać: Piękna Polska, ale mi „a" nie wyszło — i chyba lepiej (Anna Kowalczykowa, w: Lech Wałęsa, *Droga nadziei*, Kraków 1989).

Przez lata przyzwyczajaliśmy się do zafałszowanego mówienia publicznego. Publiczne teksty pisane — polityczne, ideologiczne, propagandowe — były formułowane w coraz bardziej spetryfikowanym, ustabilizowanym języku. W języku, gdzie prymat koherencyjnej koncepcji prawdy nad korespondencyjną był wyraźny. Obcowaliśmy z publicznymi wypowiedziami, gdzie obowiązywała przede wszystkim wierność leksykonowi i frazeologii, którym podporządkowywała się składnia. Ważniejsze było czerpanie z ideologicznie i politycznie ustabilizowanego zbioru słów i frazesów niż nadawanie zdaniom treści. Nastąpiła rytualizacja publicznego przekazu, sytuacja, w której akceptację istniejącego stanu rzeczy można było wywoływać przez podporządkowywanie wszelkich publicznych wystąpień

ścisłym normom. Ale nastąpiła też alienacja takiego języka — rozpoznawanego jako negatywnie nacechowany, bo nie przystający do rzeczywistości, eskapistyczny i samofundujący się. Język zaczął sam mówić.

Ten język stał się niewiarygodny, a tę niewiarygodność można było wiązać z pewnymi jego cechami: z nadmierną koherencją, abstrakcyjnością, definicyjnością, statycznością — a zwłaszcza z szablonizacją. Język, którym posługuje się, posługiwał się od początku Lech Wałęsa, jeśli nie jest podstawą jego wiarygodności, to w każdym razie dobrze jej służy.

Jest to język spontaniczny, pełen zewnętrznych znaków spontaniczności, takich jak liczne elementy deiktyczne, czyli wskazujące na sytuację mówienia; jak solecyzmy, tak nieraz oryginalne, że wielu retorów wiele by za nie dało; jak niespójności i samozaprzeczenia, oddalające od razu wszelkie podejrzenia o nieautentyczność; jak karkołomne połączenia frazeologiczne i dziwaczne metafory, nigdy do tej pory nie spotykane. Wszystkie te cechy czynią niemożliwym zarzut manipulacji. A dodać do tego należy jeszcze dwie cechy: konkretność i werbalność. Przyzwyczajeni do publicznego języka pełnego abstraktów i ciągów nominalnych, otrzymujemy tu tekst pełen rzeczowników konkretnych i przede wszystkim czasowników. Ten język zda się nie kłamać głosowi.

Taki język publiczny to oczywiście wspaniałe narzędzie porywania publiczności. To język wiarygodnego trybuna ludowego. Ale ma on dwie niebezpieczne wady. Tym niebezpieczniejsze, że te wypowiedzi mają z konieczności wielką społeczną doniosłość.

Pierwsza, to możliwość manipulacji. Przy obcowaniu z takimi emocjonalnie nacechowanymi i sytuacyjnie konkretyzowanymi wypowiedziami można nie mieć wątpliwości co do intencji nadawcy, ale po wyjęciu z kontekstu ich fragmenty mogą mieć łatwo przypisane intencje zgoła odmienne. Można zatem stosunkowo łatwo nadawcę takich tekstów ośmieszyć, ukazać jako człowieka naiwnego, złej woli czy nierozsądnych zamiarów. „Targanie po szczękach" jest tu dobrym przykładem. Łatwo też można uznać takie teksty za niezrozumiałe. Czasem jest to oczywiście szczere (te teksty, zwłaszcza poza sytuacją wygłoszenia, istotnie bywają niejasne), czasem — jest to wyraźny chwyt dezawuujący. Tytuły dwóch nie najżyczliwszych tekstów prasowych jawnie sugerują niejasność: *Zrozumieć Wałęsę* i *Tłumaczył Wałęsa Wałęsę* („Trybuna").

Druga, to możliwość dyskwalifikacji w pewnych rolach społecznych. Sąd, że norma publiczna nie dopuszcza wypowiedzi niespójnych, niekonsekwentnych, niepoprawnych językowo, wygłaszanych z nienajlepszą dykcją i z wyraźnymi cechami dialektalnymi — jest dość rozpowszechniony i, trzeba przyznać, dość dobrze uzasadniony. Tak mówiący Wałęsa może być działaczem robotniczym, może być przewodniczącym związku zawodowego — nie może być np. prezydentem. Sam Wałęsa jakby z tym się godzi. „Mam zły język" — mówi. Ale też ma świadomość związku języka z rolą społeczną. Myśląc o sobie jako o przyszłym prezydencie mówi: „Z tamtego miejsca moja dykcja byłaby inna, moje teksty też będą inne".

3. Konsekwentne i częste używanie kilku podstawowych pojęć może determinować obraz człowieka publicznego. Ta determinacja może dawać efekty negatywne — posądzenie o pewne ubóstwo językowe czy brak smaku (wszak częste powtarzanie słów nie jest powszechnie uznawane za właściwe). Wałęsa nie zwraca na to uwagi. Powtarzanie pojęć tak nawet charakterystycznych jak *pluralizm* czy *demokracja* jest jedną z cech charakterystycznych jego wypowiedzi, tak dalece, że kuszące wydają się niektórym ich parodie. Kiedy zacznie używać słowa *przyśpieszenie*, któremu przypisze się od razu znaczną nośność polityczną, będzie stosował je bez umiaru. Podobnie często może używać wyświechtanego i zdawałoby się trudnego do odświeżenia wyrazu *reformy*. Występując przeciw monopolom, słowa *monopol* wyraźnie nadużywa. Mało tego, te same słowa występują często w podobnych kontekstach, co wzmacnia wrażenie powtarzania się. Na koniec — wypowiedzi Wałęsy stanowią często dowód na słuszność prawa Zipfa: wyraz użyty raz, zwłaszcza wyraz znaczący, nacechowany, ma u niego dużą szansę ponownego pojawienia się w tym samym tekście, najczęściej w bliskim sąsiedztwie. Uproszczeniem byłoby wszystkie te cechy uznać za niezamierzone uchybienia językowe, osłabiające skuteczność wypowiedzi. Uproszczeniem, a nawet błędem. Z punktu widzenia retoryki wyraźna identyfikacja nadawcy, której takie powtórzenia dobrze służą, u większości odbiorców daje efekt pozytywny — jeśli Wałęsa wie o tym, świadczy to o jego umiejętności stosowania reguł, jeśli nie, o jego intuicji.

O ile już powtórzenia ułatwiają odbiór, to zdecydowanie werbalny styl Wałęsy (proste, krótkie zdania, mnogość czasowników) ułatwia go jeszcze bardziej. Poziomu zrozumiałości nie obniża właściwie nawet to, że wiele użyć czasowników ma charakter metaforyczny.

Są to zresztą czasowniki najprostsze: *iść*, *wchodzić*, *wychodzić*, *brać*, *dawać*, *prowadzić*, *grać*, *wygrać*, *jechać*, *kierować*, dynamiczne i dynamizujące wypowiedź (podobnie ulubionymi jego rzeczownikami są *ruch* i *skok*). Krótkie, jakby rąbane zdania działają w swoistej poetyce — nie wymaga się od nich precyzji, nie muszą opisywać świata. Są znamienne dla języka związanego z działaniem, są najczęściej „na chwilę", robocze.

Wyciąganie ich z kontekstu i posługiwanie się nimi w celu dezawuowania nadawcy jest pewnym nadużyciem. Nadużyciem, którego czasem można się spodziewać.

Metaforyka Wałęsy jet obfita, często zaskakująca, ale w gruncie rzeczy niezbyt bogata. Ma w sobie coś z metafizycznego przeświadczenia o pełnej adekwatności zestawionych zjawisk: Wałęsa ulega często jakże silnej pokusie rozwlekania metafory i doprowadzenia jej do granic możliwości. Jego metafory bywają często długie, ciągną się, i wyczerpują niemal uniwersa zjawisk związanych z wyjściowym pojęciem. Przy spotykanych dziwnościach najwięcej jest metafor najprostszych. Lubi sportowe: stąd też pojawiają się *kolarze* i *piłkarze*, tu najczęściej odnieść można jego ulubioną *grę*; tradycyjnie architektoniczne i drogowe: *budowla, droga*; często występuje automobilizm: *samochód, kierowca*. Sam mówi, że jest dobrym kierowcą: „ja pojadę panu i syrenką, i mercedesem. I nawet traktorem". Czasem metafora automobilistyczna jest posunięta nieco za daleko — słynne „ładowanie akumulatorów" u Papieża.

Oryginalnym wkładem Wałęsy jest *siekiera*, z którą, wg niektórych wypowiedzi Wałęsy, powinien biegać (a nawet *latać*) prezydent, a która ściągnęła na niego wiele oburzonych głosów, dopatrujących się w takiej metaforyce przejawów agresywności. Konotacje powinny tu być, zdaniem Wałęsy, odmienne — mówi on: „Lech Wałęsa (...) nie wymachuje siekierą, ale ona jest czasem potrzebna, żeby przebić się przez gęsty las — a my jesteśmy w buszu pokomunistycznym" (w Lęborku 27 VI 90).

Ten typ obrazowania wiązać się może zresztą z innymi elementami charakterystyki osoby nadającej się na ten urząd („zdecydowany,

ostry, prosty, nie certolący się, szybki, wyczuwający, węszący" — wywiad dla „Gazety Wyborczej" 20 VI 90). Co interesujące, ponieważ sam Wałęsa w tych wypowiedziach niemal zupełnie jawnie aspiruje do tego stanowiska, ostry język tej charakterystyki naturalnie powinien zgadzać się z podawanymi cechami.

Najbardziej znamienne metafory Wałęsy zdają się układać w eskalującą triadę: *gra* — *walka* — *wojna*. Dwa jej człony ostatnie w swoim metaforycznym użyciu są już zleksykalizowane, ale u Wałęsy o tyle świeże, że można im przydać wartości pozytywne. Sam przyznaje się do prowadzenia walki i wojny, solidaryzuje się z walkami i wojnami innych, wreszcie próbuje je proklamować.

Na spotkaniu z załogą Zakładów Mechanicznych w Pucku 10 V 90 mówił: „popieram waszą walką (...). Musicie walczyć i w tej walce możecie liczyć na mnie".

O ile *walka* jest dawnym i częstym wyrazem używanym w podobnych okolicznościach, *wojna* może już szokować, wywoływać wrażenie wyjątkowej determinacji, prowokowania lub nieodpowiedzialności. Użyta przez Wałęsę także wywołała sprzeciw. W Pucku powiedział: „Dla mnie demokracja parlamentarna to pokojowa wojna wszystkich ze wszystkimi", w wywiadzie dla „Washington Post": „proponuję koncepcję permanentnej wojny politycznej", a w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" 20 VI 90: „teraz wywołam (...) wojnę na szczycie. Jest to wojna, którą chcę wygrać".

Potem zresztą wyjaśniał: „powiedziałem, że potrzebna jest wojna na górnych warstwach, żeby przyniosła łup społeczeństwu, żeby społeczeństwo nie musiało walczyć" (posiedzenie Komitetu Obywatelskiego 13 V 90).

Najczęstszą bodaj metaforą Wałęsy jest metafora gry. Mówi „Gazecie Wyborczej": „Mówią, żebym nie grał. Ja będę grał i jestem w tej grze, czy im się to podoba, czy nie" (20 VI 90).

Ta metaforyka także wywołuje znaczące obiekcje. Andrzej Siciński powiedział na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie:

Gra może być prowadzona fair lub być zdominowana przez faule. Przede wszystkim zaś gra może być toczona o taką czy inną stawkę. Gdy spór idzie o Polskę, o jej przyszłość, niebezpieczne jest przedstawianie problemu w kategoriach gry, rozgrywek. Bardzo może to być mylące dla społeczeństwa, kiedy prezentuje się walkę pomiędzy koncepcjami, ideami jako analogię do mniej lub bardziej skutecznego kopania po kostkach (gdy idzie o piłkę nożną) lub granie fałszywymi kartami. Lech Wałęsa nie

może być postrzegany przez społeczeństwo polskie jako gracz — ani na boisku sportowym, ani przy karcianym stoliku.

Ta opinia zasługuje na uwagę.
U Wałęsy chodzi oczywiście o grę polityczną. Mówi o niej wprost jako o grze, ale także jako o grze w piłkę (z charakterystycznym rozbudowaniem metafory: podawaniem, strzelaniem główką itd.), z grą w karty i w szachy. Sam mówi, że prowadzi grę polityczną. Ale często dodaje, że gra uczciwie. Mówi np.: „Ja nie zdradzam, nie oszukuję. Staram się zachować czystą grę".
Gra polityczna jest (wg niego) „korzystna, bo może doprowadzić do zmiany koncepcji". Uznaje tę grę u innych. Zwraca się do Frasyniuka: „dla ludzi musi być czytelne, w co ty i twoi przyjaciele grają" (wywiad dla „Tygodnika Gdańskiego" z 19 VIII 90). Ale gra nie zawsze jest czysta. W wywiadzie dla Polskiego Radia 25 V 90 mówi o OPZZ, że: „dzisiaj chce wykorzystać słuszny protest do nędznej swojej gry".
Postrzeganie polityki w kategoriach gry nie jest oczywiście naganne, co najwyżej może się wydać mało funkcjonalne takie prezentowanie tej wizji. Ale czy nie sugestywnie przemawia do odbiorcy?
Metaforyka siekiery, wojny, walki i gry — stanowi już przesłanki do rekonstrukcji pewnych przynajmniej aspektów widzenia (i, co ważniejsze, prezentowania) świata przez Lecha Wałęsę. Zajmijmy się innymi aspektami tego świata.

4. Przyglądając się językowi człowieka poznajemy jego świat. Z preferencji leksykalnych, z kształtu zdań, ze sposobu obrazowania wyłania się wizja świata — można sądzić, że prawdziwsza nieraz od deklarowanej. Jaki świat Wałęsy wyłania się z jego wypowiedzi?
W gruncie rzeczy świat ten jest prosty. Można działać prosto:

Jak będzie trzeba to prezydentów będziemy wybierać na każdym Sejmie (konferencja prasowa 1 VII 90); A ta podległość premiera prezydentowi, to w czym miałaby się wyrazić? — Nie pomyślałem jeszcze o tym, ale tak na gorąco, to myślę, że powinno być tak: jeśli w jakimś kierunku źle się dzieje, nie ma efektów lub ludzie się burzą, wołam premiera i mówię — słuchaj, spowoduj dyskusję w parlamencie, niech zbada sprawę komisja („Tygodnik Gdański" z 19 VIII 90).

Takich wypowiedzi, ukazujących wiarę w możliwość prostych rozwiązań, znaleźć można u Wałęsy wiele. Dobrze trafić mogą w nastroje społeczne — dość mamy skomplikowań i zawiłości, trzeba

po prostu efektywnie działać, a zawsze bardziej skuteczne jest działanie proste.
Tu dodać wypada, że kategoria skuteczności właśnie przez Wałęsę została tak wyraźnie wprowadzona. W bardziej chyba rozpowszechnionym u nas przekonaniu nie tyle „po owocach", ile po dobrych chęciach poznaje się ludzi. Wałęsa przed Kongresem USA 15 XI 89 mówił m.in.:

wielki ruch polskiej „Solidarności". Ruch skuteczny. (...) Amerykanie (...) wolą skuteczną pracę od wygłaszania przemówień. Bardzo dobrze ich rozumiem. Ja też nie kocham się w przemówieniach, wolę fakty i pracę, cenię skuteczność. Zrodzony przez naród polski ruch społeczny o pięknej nazwie „Solidarność" jest ruchem skutecznym.

Kiedy indziej wzywa, powtarzając: „robić, panowie, robić, panowie!". Takich wezwań oczywiście było wiele — przyznać jednak trzeba, że u Wałęsy brzmią wiarygodnie: są spójne dla nas z jego obrazem.
Ze słów przewodniczącego „Solidarności" zdaje się także wynikać wiara w poznawalność i w możliwość oswojenia świata, który ma swoje reguły — można zatem orzekać, że coś jest „prawidłowo".
Świat postrzegany jest w znacznej mierze strukturalnie. Słowo *system* pojawia się nie tylko jako oznaczenie sposobu rządzenia — jest też czymś, co „trzeba wypełnić nową treścią" (TV 15 VIII 90) i co ma charakter względnie autonomiczny — „Wierzę w system, a nie w ludzi" (na konferencji prasowej w Gdańskiej AM 7 VI 90).
W świecie funkcjonuje szereg opozycji, umożliwiających nam jego percepcję i opisywanie. Wiele z nich — to opozycje proste i uniwersalne, jak treść i forma, jak lewica i prawica. Odpowiada to naturalnemu układowi rzeczy — np. lewica i prawica muszą być tak, jak muszą być dwie nogi: lewa i prawa.
Ponieważ te opozycje właśnie w znacznej mierze fundują świat, a przynajmniej jego obraz, nie można tolerować ich zamazywania. W wypowiedziach Wałęsy znajdujemy wiele takich apeli: trzeba ujednoznaczniać. Czyścić. Nie wolno zamazywać, tuszować, nie powinno się pojawić nic pozornego. Ma być jasno i czytelnie. „Każdy, który tuszuje, jest przeciwko mnie" — mówi w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" 20 VI 90.
Tuszowanie najczęściej dotyczy samookreślenia, identyfikacji i, co za tym idzie, artykulacji elementów opozycyjnych wobec innych, czyli konfliktu — natomiast przed złymi skutkami może ratować artykułowanie konfliktów (takie dążenie do jasności i jednoznaczności

ma zresztą pewne aspekty dialektyczne, wg Wałęsy „wojna na górze to spokój na dole").
Generalnie rzecz biorąc coraz częściej pojawiają się zdania uświadamiające potrzebę istnienia języka konfliktów — to właśnie w sytuacji jego braku, wypowiedzi Wałęsy mogą być odbierane jako agresywne i prowokacyjne. Według niego „demokracja parlamentarna to pokojowa wojna wszystkich ze wszystkimi", ale z drugiej strony „stały niepokój polityczny" to tyle, co „nieustanne publiczne rozwiązywanie konfliktów". Nawet oglądane w TV i tak powszechnie potępiane „wywoływanie Turowicza" może być przez życzliwszych przewodniczącemu interpretowane jako wyraz działań ujednoznaczniających raczej niż agresywnych i manifestujących przewagę — działa tu przy tym wiecowy i chyba jednak niekontrolowany brak kontroli. Pojęciami najczęściej chyba identyfikowanymi z Lechem Wałęsą są *pluralizm* i *demokracja*. Jest to koherentne z wizją świata jako terenu ścierania się konfliktów, artykułowania i rozwiązywania ich. Daje to także heurystyczną receptę na społeczne działania. Przyznać należy, że sam Wałęsa coraz rzadziej sytuuje się jako jeden z podmiotów działań pluralistycznych, a coraz częściej jako mediator lub wręcz czynnik nadrzędny, co może dla niektórych powodować niespójność jego wypowiedzi.
W świecie działają reguły, które da się wyraźnie określić. Nasze działanie jest podporządkowane logice, choć umiejętność świadomego podporządkowania się jej może nosić pewne znamiona wyjątkowości. To o sobie mówi Wałęsa: „Robię to, co mi dyktuje logika".
Ale tak czy inaczej, zasady logiki w świecie działają. Działają także zasady matematyki: „niech ludzie się kłócą i niech wybiorą właśnie matematycznie najlepsze rozwiązanie" (wywiad dla „Gazety Wyborczej"). Niekiedy pojawia się także zbyt już optymistyczna wiara w możliwość komputerowego rozstrzygania spraw (telewizyjna rozmowa z Miodowiczem listopad '88). „Matematyczną skłonność" widać w częstym posługiwaniu się procentami, np. dla zobrazowania podziałów społecznych.
Ta racjonalność oświeceniowej w gruncie rzeczy proweniencji, optymizm poznawczy i wiara w sprawczość naszego działania nie kłóci się u przewodniczącego, podobnie jak u wielu z nas, z poczuciem determinizmu. Coś było, bo musiało być. Coś musiało być i było.

Więcej wypowiedzi dotyczy teraźniejszości i przyszłości, i tu mamy także wiele wykładników modalności deontycznej: musi być, potrzebne jest, trzeba. „Trzeba to nadrobić, powinniśmy to nadrobić i mam nadzieję, że to nadrobimy" — mówi w wywiadzie telewizyjnym z 15 VIII 90. Świat postrzegany jest zatem także w kategoriach teleologicznych, a sama kategoria celu pojawia się dosyć wyraźnie.

Stąd też bierze się mnogość wezwań: wytrzymaliśmy — wytrzymajmy. Jest szansa. Trzeba. Musimy. Inaczej będzie źle. Ja też muszę (musiałem). „Musimy dokończyć to, cośmy zaczęli, nasze dzieło" („Tygodnik Gdański" z 19 VIII 90).

Wiara w poznawalność świata łączy się z wiarą w porządek sprawiedliwy. Można uznać, że sprawiedliwość jest dla Wałęsy (podobnie jak chyba dla wielu z nas) kategorią nadrzędną, której podporządkowana jest nawet kategoria wolności. Jednym z najważniejszych zdań wygłoszonych przed Kongresem USA było: „Polska sięga po wolność, która jej się sprawiedliwie należy", a więc to dzięki sprawiedliwości możemy uzasadnić nasze prawo do wolności, nie odwrotnie! W deklaracjach wolność stawiać możemy najwyżej, ale taki układ zdania więcej mówi o naszym rzeczywistym widzeniu hierarchii wartości.

W świecie działa wyraźnie czynnik czasu. Wpływa na nasz ogląd zjawisk, wpływa na nasze decyzje. Rozpoznawanie uwarunkowań sytuacyjnych jest trudne, ale możliwe. Nie powinniśmy uważać zatem pewnych stanów rzeczy za trwałe, gdy nimi nie są. Ktoś dobry w pewnej sytuacji, w pewnym momencie, dla pewnych zadań — w zmienionej sytuacji już nie będzie odpowiedni. Przekonanie o niezmienności może także wywołać konflikty. Ludzie często nie zdają sobie sprawy z tego, że to, co dobre na dziś, nie musi być dobre na jutro.

Nie może to jednak oznaczać zdania się na czas i osłabienia przez to aktywności. To tylko umiejętność odczytania sytuacji umożliwia nam mądre działanie. Aktywność zresztą jest właściwym naszym funkcjonowaniem w świecie. Poza tym nasza podmiotowość pozwala nam na dyktowanie tempa wydarzeń — jednym ze słów kluczy u Wałęsy jest przecież *przyśpieszenie:*

Teraz już wszyscy mówią o rozmaitych „przyśpieszeniach". To się zrobiło modne słowo. Kiedy ja pierwszy o tym powiedziałem, to powstał krzyk, że chcę destabilizować. Ale dla mnie przyśpieszenie to jest umocnienie, utrwalenie

tego, cośmy już osiągnęli, i przybliżenie tego, do czego wspólnie idziemy. Czasami trzeba właśnie przyśpieszyć, żeby było pewniej i bezpieczniej. Jak się bardzo wolno jedzie na rowerze, to się łatwo wywrócić. Ja chciałem, żebyśmy nacisnęli na pedały

— czyta Wałęsa z kartki w Wejherowie, na spotkaniu z pracownikami PKS 21 VI 90. Pewnym paradoksem jest, że Wałęsa, tak konsekwentnie dążący do jednoznaczności, jest posądzany powszechnie (i nie bez powodów) o niejednoznaczność, chaotyczność, niekonsekwencje, niespójność, przeczenie sobie.

5. Wśród wszystkich przemówień inaugurujących obrady przy okrągłym stole przemówienie Wałęsy miało najniższy stopień egotyczności, mierzonej stosunkiem form pierwszej osoby liczby pojedyńczej do form pierwszej osoby liczby mnogiej — było zatem najbardziej kolektywistyczne (por. W. Pisarek: *Inauguracja okrągłego stołu jako akt medialnej komunikacji politycznej*, „Zeszyty Prasoznawcze" 1989, z.4). Wałęsa stosował tam zresztą cztery różne *my*: obradujący przy okrągłym stole, ogół robotników, ogół Polaków oraz ruch „Solidarności". Obecnie postrzeganie Wałęsy jest odmienne.

Jawi się on odbiorcom jako ten, który szczególnie często, częściej niż inni, posługuje się formą pierwszej osoby liczby pojedyńczej. *My* u Wałęsy jest ciągle obecne, wydaje się on sobie jednak na tyle indywidualnym podmiotem politycznym, że częstość *ja* jest zupełnie jasno umotywowana.

Ludzie publiczni nie mają łatwego wyboru zaimków. Kiedy zbyt często mówią *my*, mogą być posądzeni o uzurpacyjne, manipulacyjne podłączenie odbiorcy do zbioru tych, którzy są z nimi i ich popierają. Gdy częściej pojawia się *ja*, są posądzeni o egotyzm. Przejście Wałęsy od *my* do *ja* było dość wczesne, by ubiec posądzenie o *my* manipulacyjne, lecz nie dość późne, by *my* w takim natężeniu, wszystkim wydało się naturalnie usprawiedliwione.

Charakterystyczne są dla Wałęsy także dodatkowe wskaźniki egotyczności: rozpoczynanie zdania od *my*, łączenie z *ja* takich wyrazów, jak „sam" czy „osobiście", postpozycja zaimka dzierżawczego („i drugi człon przysięgi mojej" — „Tygodnik Gdański"; „odpowiedź moja była..." 20 IV 90, II Zjazd „Solidarności"), wkładanie do zdań o sytuacji ogólnej celownika *mi*: „czekam na trzeci

nurt polskiej sceny (...) wiem, że potrzebne mi coś trzeciego i ono powinno wyskoczyć i wyskoczy" — wywiad dla RWE 9 VIII 90. Bardzo wyraźnie wskazuje na tę cechę obecność przy *ja* superlatywu czy wielkiego kwantyfikatora, nawet przy świadomości retorycznej przesady („Ja ze wszystkich ludzi w Polsce najlepiej pamiętam" — wywiad dla „Tygodnika Gdańskiego"; „Jestem najbardziej demokratycznym człowiekiem w kraju" — wywiad dla „Konfrontacji" 3, 25 III—24 IV 90; „Nikt w sprawie wyborów nie zrobił tyle, co ja" — na Komisji Krajowej „Solidarności" 16 V 90; „jeśli dojdzie do powstania setek partii, które nie będą mogły dojść do porozumienia, to będą słuchały mnie, ponieważ to ja mam największe doświadczenie" — dla „Dagens Nyheter" 21 V 90). Silniej jeszcze niż *ja* wskazuje na egotyczność określanie siebie nazwiskiem — i jest to cecha charakterystyczna dla Lecha Wałęsy. Wyraźnie lubi on posługiwać się tym chwytem, używa go w wielu publicznych wystąpieniach, rekonstruując domniemane zdania słuchaczy na swój temat lub formułując zdania o wyższej wartości: „Lech Wałęsa krytykuje po to, żeby pomóc, nie żeby przewracać" (w Lęborku 27 VI 90); „Jeśli do piątku sprawy nie zostaną rozstrzygnięte w sposób satysfakcjonujący rolników, Wałęsa stawia swoją osobę do ich dyspozycji" (28 VI, z Wiednia, do Romana Bartoszcze).

Przy całym poczuciu determinizmu historii („Nie lubię roboty, którą wykonuję, a wykonuję ją, ponieważ nie mam innego wyboru" — „Konfrontacje"3), przy świadomym podporządkowaniu się logice działania, ludzka, a zwłaszcza własna podmiotowość i sprawczość jest tym, co Wałęsę określa najbardziej. W wywiadzie dla Radia Wolna Europa mówi: „Robię to, co mi dyktuje logika". Logika dyktuje, zgoda, ale to on działa. Między innymi dlatego, że potrafi odczytać podpowiedzi logiki. Wałęsa przyznaje sobie nie tylko tę umiejętność, lecz także intuicję polityczną. Potrafi powiedzieć: „Ja wszystko przewiduję i muszę wiedzieć wcześniej, bo gra idzie o Polskę demokratyczną, pluralistyczną" (wywiad dla „Gazety Wyborczej" z 13 X 89), albo: „Ja tylko z nosa politycznego wiem, że potrzebne mi coś trzeciego i ono powinno wyskoczyć i wyskoczy, bo logika tak mi to podpowiada" (wywiad dla RWE); „Wszystko co robiłem w różnych momentach musiało odpowiadać na wyzwanie czasu" (wywiad dla „Tygodnika Gdańskiego"); „Kiedy ja sterowałem całością, wykorzystywałem każdy moment" (11 VI, Gdańsk, spotkanie z delegatami Porozumienia Centrum).

Przyznawanie się do tego, że ma się politycznego nosa i potrafi się przewidywać, ciągle jeszcze może uchodzić u nas za przejaw złego tonu. Wałęsa się tym nie przejmuje. On nie musi być dobrze wychowany, tym bardziej, że kryteria takiego „dobrego wychowania" nie są niepodważalne. Manifestacja przewagi, jeśli rzeczywiście u Wałęsy istnieje, ma zresztą postać nie tyle przewagi wiedzy („ja może głupi jestem" to nie tylko kokieteria), ale raczej większej umiejętności wnioskowania, wyczuwania sytuacji.
Sprawczość Wałęsy manifestowana bywa zresztą czasem dość drastycznie:

Sam pojedynczo rozegrałem tę partię i sam dla was załatwiłem premiera. Wy weszliście na moim i jego grzbiecie do parlamentu. Tego oczekuję i tego żądam. Dokonałem wyboru za nas, za to, że wy nie potraficie. Nie miejcie do mnie pretensji, że mnie w pojedynkę udało się to, co nie udało się wam dwustu sześćdziesięciu. Rzeczywiście, sam zagrałem te partię, widząc, że wy nie jesteście w stanie (do OKP 20 VIII 89).

W zasadzie nie zakłada nieomylności. To historia przyznaje później słuszność. Wprawdzie widzi u siebie umiejętność przewidywania i właściwego reagowania, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę z możliwości omyłki. Często mówi o „błędach, które popełniliśmy" (rzadziej o błędach, które popełnił). Potrafi ulegać obawom: „boję się totalitaryzmu, boję się dyktatury, nawet tego, co mógłbym sam zrobić" (dla „Gazety Gdańskiej" 21 VIII 90). Kiedy indziej mówi: „dałbym strasznie dużo, żeby wiedzieć, czy moje dycyzje są trafne i słuszne" (na konferencji 1 VII 90). Brak działania częściej jednak może się okazać błędem, niż działanie. Przy (licznych zresztą) wyliczeniach błędów najczęściej pojawia się grzech zaniechania.
„Nie kocham się w przemówieniach, wolę fakty i pracę". Ale praca człowieka publicznego, polityka, to przede wszystkim mówienie. Mówienie jest bardziej działaniem wtedy, gdy jest sprawcze — u Wałęsy wiara w sprawczość własnego słowa jest znaczna. Widać ją w jego „aktach proklamacyjnych", kiedy proklamuje „powszechną wojnę wszystkich ze wszystkimi" lub „spowiedź powszechną". Można uznać, że wypowiedzi Wałęsy są silnie performatywne — tak formalnie, przez obecność wielu czasowników performatywnych, typu „apeluję", „ogłaszam", „wzywam", lub przez jawne stwarzanie słownej rzeczywistości (głośne „Czuj się odwołany"), jak przez samopoczucie sprawczości — świadomość, że z wypowiedzi ma wynikać pewien stan realny.
Własne działania Wałęsa często przedstawia jako przemyślane, choć mogły się innym wydawać niewłaściwe. Czasem robi to wrażenie

uzasadniania *ex post*. Znamienna jest dla tych sytuacji dialogowa stylistyka i swoiste *reductio ad absurdum*, kiedy w trybie warunkowym ukazuje niewłaściwe interpretacje czy nie dokonane działania:

Prezydentem mogłem być już rok temu (...) I dziś również, gdybym na to gral. Czy ja, proszę pana, gdybym stawiał sobie za cel Belweder, wszczynałbym wojnę z takimi ludźmi jak Geremek czy Michnik, którzy mają układy w całej Europie i w całym świecie, gdzie rządzi lewica? Czy ja o tym nie wiem? I dlatego, gdybym grał o ten fotel, nie ruszałbym tych panów ani innych, a oni na rękach by mnie zanieśli i posadzili, żebym się nie pokłuł po drodze (wywiad dla „Tygodnika Gdańskiego").

Czy moja sprzeczka jest mi na rękę? Przecież podcinam sobie drabinę, po której się wchodzi na prezydenta. Biorąc się za Adama, biorąc się za okapy, biorąc się za Wujca, to jest to największa głupota, gdybym to chciał osiągnąć. A biorę się dlatego, że Polska musi dyskutować, Polska musi być... wybierać, Polska musi być pluralistyczna, niezależnie od tego, czy to się kolegom podoba, czy nie (konferencja prasowa na Akademii Medycznej w Gdańsku).

Te długie cytaty obrazują dość dobrze częsty tok myślenia — operowanie w gruncie rzeczy sylogizmami, podawanie dwóch interpretacji: właściwej i błędnej, działania wyjaśniające. Podkreśla to dodatkowo umiejętność głębszego patrzenia i bardziej umiejętnego wnioskowania. Poczucie podmiotowości jest w ten sposób cały czas zachowane. Nic się nie stało (nie mogło się stać), czego by się nie dało przewidzieć, sytuacja zawsze może być opanowana. Teraz też jest opanowana:

ja sam wybrałem sobie to miejsce, w którym jestem, ale (...) wybrałem nie po to, żeby (...), tylko po to, żeby (...) („Tygodnik Gdański"); Ja nie zrezygnowałem z gry. Ja tylko oddałem pozycje: 10 Lubańskiego — Mazowieckiemu, 11 Gadochy — Geremkowi („Gazeta Wyborcza" 20 VI 90).

Podmiotowość wymaga określenia miejsca, działań identyfikacyjnych. Identyfikacja z „Solidarnością", nawet jako związkiem zawodowym, nie jest już wystarczająca — nawet gdy mówi: „Jestem tylko przewodniczącym związku, staram się jedynie wyrażać opinie ludzi, których zrzeszam" („Konfrontacje" 3), pojawia się w ostatnim czasowniku pierwsza osoba liczby pojedyńczej. Oczywiście, że nie można się identyfikować ze strukturami władzy. Zaprzecza użytemu kiedyś przez kogoś określeniu, że jest *superrządem*, choć lubi do niego wracać: „Nie jestem superrządem (...) Pełnię jedynie rolę naganiacza" — („Konfrontacje" 3); „A wy się tu skarżycie na rząd, i do mnie. A ja nie jestem superrządem" (27 VI 90 Ląbork).
Ale ma świadomość trudnego uczestnictwa w sprawowaniu władzy:

Moja rola jest trudna. Muszę pomagać rządowi w trudnych procesach, lecz muszę pamiętać, że nie mogę spaść z konia, który mnie wiezie i podskakuje. Aby nie spaść z konia, muszę go rozumieć. Sam sobie nie zazdroszczę. Wiele razy byłem już prawie na ziemi, ale dotąd mi się raczej jakoś udawało (na międzynarodowej konferencji w Wiedniu 28 IV 90).

Wyraźnie dokonuje się samookreślenie Wałęsy jako Wałęsy: „Lech Wałęsa jest Lechem Wałęsą, jedynym laureatem Nagrody Nobla. I może się pokusić o służenie Polsce" („Gazeta Wyborcza" 20 VI 90). Polska jawi się tu jako odniesienie ostateczne, sam Wałęsa nieraz mówi w jej imieniu: „Apeluję do was w imieniu Polski", choć zaraz dodaje: „Nikt nie ma patentu na Polskę, żaden Wałęsa, żaden Mazowiecki" (Konferencja KO 1 VII 90). Kiedy indziej jego zachowanie jest prostym odbiciem sytuacji Polski: „Ja państwa denerwuję i będę denerwował, bo Polska jest zdenerwowana " — na spotkaniu szefów „Solidarności" z Trójmiasta z senatorami i posłami OKP 8 VII 90.
Wałęsa jako Wałęsa może stanowić element układu: „rząd, społeczeństwo, on", przy czym sytuuje się bliżej społeczeństwa:

Będę starał się w porę pomagać, wspierać decyzje rządu, natomiast nigdy nie odejdę od społeczeństwa. Jeśli ten rząd zapomni o społeczeństwie, albo przeliczy się z tym, co można ze społeczeństwem zrobić, zapomni, że ma mandat tego społeczeństwa — będzie konflikt i ja będę po stronie społeczeństwa („Gazeta Wyborcza" 13 X 89).

Jest naturalnie po stronie mas: „Nie mogę się cieszyć, jeśli masy się smucą" (na konferencji w Wiedniu). Ma do tego większe prawo niż inni:

Ja nie boję się ludu. Oni — tak. Nawet jeśli należą do najlepszych synów narodu. Chcę im pomóc, chcę ich uratować. Nie rozumieją tego i oskarżają mnie, że mam do nich pretensję. Ręce mi opadają (wywiad dla GLOBE w lipcu 90).

Takie umiejscowienie się umożliwia pełnienie funkcji nadrzędnych, rozstrzygających, stymulujących. Przy apelach o wyraźne określenie, o niezamazywanie różnic, Wałęsa deklaruje się nader często jako człowiek równowagi („jestem człowiekiem równowagi"), człowiek centrum („od urodzenia jestem centrystą"), człowiek środka. Ale nie tylko sam umieszcza się w środku: jest także tym, który dba o stabilność i równowagę układu. Kryterium oceny, której stronie należy pomóc, stanowi poczucie sprawiedliwości. W pluralizmie, w demokracji, należy pomagać słabszym, którzy mają takie same prawa, a mniejsze możliwości. Pojawia się tu często metafora

rodziny, w której sam Wałęsa przypisuje sobie rolę rodzica (ojca lub matki), który wszystkich rozumie (często „oni mają rację"), wszystkich jednakowo kocha, ale pomaga raczej słabszemu.

Jesteśmy wszyscy dziećmi tego systemu. A ten system, przez to, że była jedna przewaga, zrobił nam piekło. Musi być równowaga lewo — prawo. Jak jedno będzie za silne, to poprę drugie. Dopóki ja będę, nie pozwolę na żadne zagrożenia. A słabym będę pomagał, (Gazeta Wyborcza" 13 X 89); Jeśli mam pomagać, a muszę, to nie mogę przechylać szali na żadną ze stron (...) Ale nie dlatego im pomogłem, tylko dlatego, że są słabi. Matka zawsze pomoże słabszemu dziecku („Tygodnik Gdański").

Metafora ojca pojawia się w bardzo wielu wystąpieniach Wałęsy — ojca, który dzieci samych nie zostawi: „Poczekam z wyjazdem do krajów skandynawskich. W tak trudnej sytuacji nie zostawię was samych" (24 V 90 w Gniewie).
Wszystkie cechy, treściowe i językowe, wskazujące na egotyczność, paternalistyczność i mentorstwo Wałęsy, bywają drażniące i prowokujące dla odbiorcy, przypisującego Wałęsie na stałe rolę przywódcy robotniczego, a także dla odbiorcy bardziej wykształconego, przyzwyczajonego do skonwencjonalizowanych zachowań publicznych, eliminujących możliwość zbyt wyraźnych pozytywnych autoprezentacji. Wałęsa, jawnie odrzucający te konwencje i manifestujący świadomość swej roli, jest jednak dzięki temu wyraźny i oryginalny. Czynnik autokreacji pojawia się tu nie tylko przez to, co się sobie przypisuje, ale także przez to, że się to sobie w taki właśnie sposób przypisuje.

6. Kiedy się kłócę ze strajkującymi, prowadzę wiec, ma to swoje prawa. A potem przenoszą mój język kłótni strajkowej na język dyplomatyczny. Moje fajne słowa, tam pasujące, wyciąga mi się, wstawia w inną sytuację i udowadnia, że ja się do niej nie nadaję. Wiec, konferencje prasowe, to co innego niż występy dyplomatyczne prezydenta („Gazeta Wyborcza" 20 VI 90).

Wałęsa ma świadomość wielości języków i ich względnej aktywności. Przenoszenie języka wiecu do w pełni autoprezentacyjnej sytuacji wywiadu przynosi jednak także korzyści — choćby w postaci manifestacji spontaniczności. Pełna kontrola i dyskretny umiar mogą być oceniane wysoko, ale naturalna reaktywność i wynikające z niej skróty myślowe i niedopracowania formalne, nawet niepoprawności językowe, mają wysoki walor perswazyjny — przede wszystkim przez łatwiej kojarzoną z nimi wiarygodność.

Wypowiedzi Wałęsy są silnie zdialogizowane. Jego krótkie zdania nawet w dłuższym tekście przypominają czasami riposty, częste wprowadzenie „cudzego słowa", pytań retorycznych, a zwłaszcza zwrotów fatycznych. W trakcie wywiadu często zwraca się bezpośrednio do interlokutora („Proszę Pani, niech Pani spojrzy..."), potrafi nagle zmienić role i odwrócić pytanie („a jak Pani sądzi?"). Często w formie apostrofy (czasem ironicznej) kieruje się do innych odbiorców, mniej określonych („ludzie! przecież są sprawdzone wzory...", „no jak tak można, ludzie" — wywiad dla „Tygodnika Gdańskiego") lub konkretnych („panie Geremku, Panie Michniku" — tamże).

Ten typ użycia wołacza w nazwisku nosi pewne znamiona protekcjonalności, podobnie jak użycie liczby mnogiej od nazwiska („ci z lewa — Bujaki i inni", tamże). „Dzisiaj narażam się Miodowiczom, wałęsającym się po Wybrzeżu i Jurczykom" (Gniew 24 V).

Ulubionym zwrotem publicznym Wałęsy, rozpoczynającym jego wystąpienia i powtarzanym w ich trakcie, jest „Mili Państwo!". Zwrot ten, obecnie rzadko raczej spotykany, konotujący zwykle dobroduszną familiarność, u Wałęsy zdaje się pełnić funkcje zabezpieczające. Wywoływać on może pewne wrażenie przewagi nad odbiorcą, wynikające również z (tym razem cieplejszej) protekcjonalności.

Słynne są wałęsowskie *zwischenrufy* („stłucz pan termometr, nie będziesz pan miał gorączki" — do Wielowieyskiego, gdy ten powoływał się na sondaże opinii społecznej, na posiedzeniu KO 24 IV 90), jego błyskawiczne odpowiedzi na zarzuty, czy jego żarty. Wszystko to świadczy o wyjątkowej reaktywności, nastawieniu na dialog — co zresztą prowadzi do przekształcania sytuacji monologowych w dialogowe.

Jest to oczywiście wtedy skuteczne, gdy można założyć wyjściową przewagę aprobaty przez audytorium nad dezaprobatą. Jednym z podstawowych chwytów Wałęsy, chwytem, który ściągnął na niego zarzut demagogiczności, jest kończenie publicznych spotkań prowokowaniem wyrażenia poparcia przez podniesienie rąk (a częściej przez niepodniesienie: „kto jest przeciwko?"). Podobny efekt może też dawać wprowadzenie półretorycznego pytania typu: „A może ja się mylę?". Przy założeniu dobrej woli u odbiorcy (bezpośredniego lub pośredniego właściwego) można istotnie zachowywać się spontanicznie, wykorzystywać chwyty fatyczne, stosować daleko idące skróty

myślowe, nie dbać o poprawność i dobór słów. Mogłoby się nawet wydawać, że Wałęsa często bierze i łączy ze sobą pierwsze lepsze słowa, będąc przekonanym, że i tak zostanie właściwie zrozumiany.

Tak więc może operować językiem nie tylko niewyszukanym, ale nawet rubasznie prostym. To już nie tylko „rzucanie na rybkę prezydentury" (na II Zjeździe „Solidarności"). Wałęsa może np. mówić o pewnych grupach, „którym szpilkę pod tyłek podkładałem, by szły do przodu, by reformowały" (program III PR 24 VIII). Może nie cofać się przed obrażaniem („durniów z nas robicie", „gamonie", „barany", „bzdety" — 8 VII Stocznia Gdańska, spotkanie z posłami i senatorami OKP — cyt. za „Życiem Gospodarczym" z 15 VII 90), nie mówiąc już o wypowiedziach złośliwie ironicznych: „Miss Polski ogłasza, że Wałęsa wypowiedział wojnę rządowi" (o Niezabitowskiej, na posiedzeniu Komisji Krajowej „Solidarności" 16 V 90).

Pojawia się także u Wałęsy dziwna, abstrakcyjno-konkretna frazeologia. Zacząć wypada od tego, że może on używać słów i frazesów najbardziej urzędowych i skompromitowanych, wiążących się z propagandą komunistyczną — zresztą bez negatywnych reperkusji. Takie wyrażenia jak „klasa robotnicza", „szerokie warstwy społeczne", „wola ludu", „zgodnie z wolą ludu", „świat pracy", „interes świata pracy" są na porządku dziennym, podobnie częste wplatanie takich abstraktów jak „rozwiązanie", „sprawa", „rzecz", „kierunki", „koncepcje", „podejście do zagadnienia", „decyzja" („jest decyzja"), „temat" („w tym temacie") — w dziwnych zresztą połączeniach: „oddźwięk na moją przesłankę", „Stan wojenny wprowadził marazm i obecna koncepcja robi to samo" (13 V 90, posiedzenie KO).

Bywa i tak, że wbrew wszelkim regułom stylistycznym język wypracowany, abstrakcyjny, łączy się w tym samym tekście z językiem najprostszym:

Obecna koncepcja za mało angażuje społeczeństwo, młodzież. Myślę, że to wynika z realizowanej filozofii demokracji. Drugi sposób widzenia demokracji, za którym ja optuję — to dopuszczenie możliwości spontanicznego działania (...) Nie po to, żeby ludzi straszyć, ale żeby ludziom się chciało. Dzisiaj schodzę z urlopu (...) Przepraszam, że mój głos, robotniczy, jest ostry (posiedzenie KO 13 V 90).

Charakterystyczne dla Wałęsy i często cytowane później połącznia, w których słowa istotnie zdają dziwić się sobie, biorą się przede wszystkim z operowania rzeczywiście bardzo dużym i tylko czasem sytuacyjnie usprawiedliwionym skrótem myślowym.

Demokracja — tak. Parlament — tak. Prawo — tak. Ale kierunek — kierunek skuteczny. Dziś wszystko co robimy jest puste (posiedzenie KO 30 III 90); Trzeba było podać i niekorzystne tendencje (...) Centrum podało wybory w tym układzie rozwiązań parlamentarnych (wywiad dla RWE); Podoba mi się to, co się w Polsce dzieje pod kątem politycznym (tamże); Określmy to tak: centrołew, centro do przodu, centro do tyłu, (...) określmy się i pod hasłami gromadźmy. Ja się zgromadzę po drugiej stronie („Gazeta Wyborcza" 20 VI 90).

Wszystkie te skróty, podobnie jak zaskakujące powiedzenia typu „sytuacja jest niechętna", „zrobię ruch na podział", „stanąłem na przewodzenie" i wiele innych mogą być oczywiście sytuacyjnie zrozumiałe, wprowadzają jednak element już nie tylko naturalnej i uwiarygodniającej spontaniczności, ale wręcz niedbałości i zbytniego zaufania do dobrej woli odbiorców.
Osobliwości frazeologiczne są widoczne także w metaforyce. Niekiedy jest to tylko prostota i niewyszukanie, np.: „Parę rzeczy trzeba będzie uściślić, parę rzeczy już teraz podczyścić" (dla RWE), ale czasem rodzi się dziwactwo:

Mnie chodziło o to, żeby rzeczywiście Polska stała na dwóch nogach, żeby rzeczywiście te nogi były czytelne, nie zamazane (dla RWE); Prezydentem mógłbym być (...) dziś również, gdybym na to grał (dla „Tygodnika Gdańskiego").

Przykłady można mnożyć.
W ostatnim z cytatów widać też inną cechę charakterystyczną: zupełne nieliczenie się Wałęsy z regułami rządzącymi konstrukcjami przyimkowymi. Używa on takich sformułowań jak „pokusić się na coś", „nie ugiąć się od czegoś", a nawet, odczytując tekst swojego wystąpienia przed Kongresem USA, mówi: „mam prawo się nimi (zamiast 'na nie') powoływać". To już nie tylko niedbałość, ale naruszanie zasad gramatyki, rażące podobnie jak dialektyzmy fonetyczne.
Wałęsa zdaje się raczej być niedbały gramatycznie, frazeologicznie i stylistycznie — niż rzeczywiście niepoprawny. Nie można powiedzieć o nim (tak jak o nikim), że jest ponad poprawnością — tym bardziej, że sam sobie uświadamia swoje językowe niedostatki. Ale można chyba uznać, że wierzy w usługowy charakter języka. Mógłby powiedzieć, jak Humpty Dumpty: *The question is, which is to be master*. Słowa mają służyć jemu, nie odwrotnie.
I w gruncie rzeczy służą.

7. Wałęsie zarzuca się często niejasność, niespójność i przeczenie samemu sobie. Do niedawna niejasność publicznych wystąpień różnych przywódców brała się głównie ze swobodnego i nieumiarkowanego stosowania zręcznych ogólników, dających teksty zawsze prawdziwe, choć z małymi możliwościami odniesienia, tłumaczenia na język doznań. Zdarza się to czasem i Wałęsie, zwłaszcza w tekstach dyrektywnych, kiedy mówi, że „trzeba wypełnić nowy system nową treścią", że „trzeba doprowadzić Polskę do normalności" czy „zbudować Polskę pasującą do Europy", ale nie jest to jego cechą charakterystyczną. Częściej nieco pojawia się równie mało informatywny patriotyczny patos.

Ale najczęściej zarzuca się Wałęsie niejasność wynikającą z niekonsekwencji i sprzeczności. Jest ich w istocie sporo, choć czasami mają charakter zamierzonych paradoksów — typowo konwersacyjnych, takich jak „tak, to znaczy nie", „słuchałem i nie słuchałem" lub retorycznych, jak „zrobię porządek, czyli burzę", a nawet anakolutów, jak „ pokojowa wojna".

Nieco inaczej jest z dłuższymi wypowiedziami, gdzie niespójności, czy nawet sprzeczności, nie zawsze mogą być odczytywane jako zamierzone chwyty, ukazujące mimo wszystko sądy koherentne. Takie teksty jak: „Nie będę walczył o żadne stanowiska, ale jednocześnie nie ugnę się nigdy od odpowiedzialności" (na II Zjeździe „Solidarności") są jeszcze sytuacyjnie zrozumiałe i nawet zasadne, ale kiedy Wałęsa mówi:

Ja popieram Balcerowicza wicepremiera. Mazowieckiego premiera — ale się z nimi nie zgadzam, myślę, że ta droga nie jest dobra (podczas prezentacji kandydatów na przewodniczącego „Solidarności", na II Zjeździe); Apeluję do was w imieniu Polski. Nikt nie ma patentu na Polskę, żaden Wałęsa, żaden Mazowiecki (konferencja KO 1 VII 90); Wszystko zrobię, by komitety utrzymać przy mnie (...). Nikomu nie wolno przejąć na własność KO, niedobrze byłoby, gdyby stały się one albo wyłącznie prorządowe, albo prowałęsowskie (27 VI 90 posiedzenie KK „Solidarności" w Gdańsku),

to jest to już trudne do jednoznacznego zinterpretowania.

Najbardziej widoczna jest niekonsekwencja Wałęsy w jego wypowiedziach na temat prezydentury. Kiedy mówi dla „Le Monde":

Wcale nie chcę być prezydentem, jednakże los zgotuje mi cholerną przyszłość. Będzie tyle rozbieżności, tyle konfliktów, że będę do tego zmuszony. Nikt nie będzie tak mocny, aby mnie powstrzymać (10/11 VI 90)

to jest w tym pewna chyba niezamierzona, ale spotykana w naszych wypowiedziach niespójność, kiedy mówi „Gazecie Wyborczej": „Nie chcę być prezydentem, będę musiał być prezydentem" (20 VI 90) to może to być dobry chwyt retoryczny, ale kiedy w tej samej rozmowie mówi: „jeszcze nie walczę o prezydenturę" i „wiem, że wygram" („Życie Warszawy" 25–26 VIII 90), to niespójność sięga tak daleko, że może się wydać, iż w postaci Wałęsy mamy dwie osoby o przeciwstawnych motywacjach.

Skąd się to bierze? Najprościej odpowiedzieć, że czasem z zapału retorycznego, czasem z niedostatecznego przemyślenia i z małej identyfikacji z wygłaszanymi sądami, czasem wreszcie z naturalnego przejęzyczenia. Rzecz może być jednak bardziej złożona. W sytuacji konfliktu odpowiedzialności i identyfikacji z jednej oraz odpowiedzialności i poczucia pewności z drugiej strony, mogą pojawić się nawet nie uświadomione tendencje do uniknięcia jednoznaczności.

Stąd też, kiedy Wałęsa np. używa tak gdzie indziej skonwencjonalizowanych szeregów czasowych typu: „nie chciałem, nie chcę i nie będę premierem" — to są one u niego bardziej uzasadnione, a mniej retoryczne.

Wałęsa bywa niejasny — czasem dlatego, że zawodzi go optymizm komunikacyjny (przypomina się Henryk ze *Ślubu* Gombrowicza, który mógł mówić głupio wierząc, że jest mądrze słuchany), czasem dlatego, że zawodzi go optymizm poznawczy, a świat wydaje mu się (jak profesorowi Mmaa) prosty i zrozumiały.

8. Wśród norm języka publicznego dwie zdają się najbardziej wyraźne. Pierwsza, to norma, którą można określić jako normę starej inteligencji, w swej najbardziej czystej formie spotykaną w eseistyce humanistycznej. Charakteryzuje się ona mniejszą pewnością poznawczą i mniejszą pewnością oswojenia języka: może nie wiemy, jaka jest naprawdę rzeczywistość, może nie wiemy, czy język ją adekwatnie opisuje, ale umiemy się nim swobodnie i oryginalnie posługiwać — do tego stopnia, że język czasem może tę rzeczywistość przyciemnić, a nawet, w jakiejś mierze, zastąpić. Druga, to norma (umownie tak nazwanej) nowej inteligencji, spotykana w urzędach i gazetach: nie mamy wątpliwości co do naszych możliwości poznawczych, ani co do tego, że język dobrze potrafi ten świat opisać, ale nie jesteśmy pewni własnego stosunku do

języka, stąd też uciekamy w szablon, unikamy oryginalności — do tego stopnia, że język zaczyna za nas mówić.
Językowa specyficzność Wałęsy polega na tym, że nie przystaje on do żadnego z tych wzorców. Jego optymizm poznawczy jest równie duży, jak optymizm językowy. Możemy dobrze postrzegać rzeczywistość, język może ją dobrze opisać, a my, używając języka jako posłusznego nam narzędzia, potrafimy zmusić słowa, by znaczyły to, co chcemy, by znaczyły. Wałęsa przeczy wszystkim trzem tezom Gorgiasza — ten świat istnieje, da się poznać i można się na jego temat porozumieć — a nawet przez to go zmieniać.

Od autora: Pani Annie Krakowskiej *dziękuję za poszerzenie mojego zbioru cytatów.*

Marek Czyżewski, Sergiusz Kowalski

Retoryka Wałęsy

Lech Wałęsa, przewodniczący Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność", laureat pokojowej nagrody Nobla i najpewniejszy kandydat na prezydenta[1] mówi po polsku. Znaczy to, że oprócz powszechnie stosowanych konstrukcji językowych, Wałęsa, jak każdy użytkownik języka, posługuje się sobie właściwymi zwrotami i figurami retorycznymi. Jest specyficzny, co nie znaczy niepowtarzalny; pewne cechy formalne jego sposobu mówienia i treści, jakie forma ta zawiera przywodzą na myśl zjawiska znane i opisane. Powody naszego zainteresowania tą problematyką wymieniliśmy na wstępie. W dalszym ciągu chcemy zrekonstruować te aspekty retoryki Lecha Wałęsy przy pomocy których komunikuje on swoją wizję samego siebie.

Jeśli skłonni jesteśmy przyjrzeć się tym właśnie wątkom jego wypowiedzi, to z tej racji, że jest on uważany i sam siebie uważa za najrzeczywistszy element rzeczywistości, promotora przemian, ojca-założyciela polskiej demokracji, postać ze wszech miar szczególną:

jestem największym demokratą w tym kraju (TSM * 29 IX 90); (...) ja, z tych wszystkich ludzi w Polsce, najwięcej razy przysięgałem na zwycięstwo sierpnia '80 (...) moralne

[1] Tekst ten został ukończony 5 października 1990 roku.

* Objaśnienia skrótów:
AS — „Agencja Solidarność"
CdS — „Corriere della Sera"
DzZ — „Dziennik Zachodni"

prawo wynikające z przysięgi upoważnia mnie do inscenizowania, do prowokowania, do rozwiązywania problemów, których rozwiązanie przysięgałem. Ja dokładnie to robię (...) wywiązanie się z przysięgi może mnie upoważniać, czy zmuszać, do zajmowania różnych miejsc (TS 17 VIII 90).

Mówi się często, że Lech Wałęsa jest przywódcą charyzmatycznym. Argumentem na rzecz tej tezy mogłyby być klasyczne rozważania Maxa Webera:

Najczystsze typy władzy charyzmatycznej to władza proroków, bohaterów wojennych, wielkich demagogów. Typem rozkazującego jest *przywódca* (...) Typem słuchającego jest *uczeń*, „zwolennik". Jest się posłusznym przywódcy ze względu na jego czysto osobiste, niecodzienne cechy (...) Doraźne objawienie lub doraźna twórczość, czyn i przykład, decydowanie od przypadku do przypadku (...) decyzje *irracjonalne* — oto cechy rządzenia charyzmatycznego. Nie krępuje go tradycja: „Napisane jest, ale powiadam wam" — oto, czym powodują się prorocy[2].

Przywódca charyzmatyczny wierzy w swoją gwiazdę, a wiara ta zaraża innych. Florian Znaniecki nie bez pesymizmu notował:

Kult bohaterów właściwy jest większości społeczeństw (...) W czasach najnowszych notujemy niespotykany dotąd wzrost kultu żyjących bohaterów narodowych, po części spontaniczny, ale najczęściej organizowany przez grupy zwolenników i rozpowszechniany za pomocą wszelkich form propagandy i ceremonii publicznych. Bohaterowie tacy łączą w sobie wszystkie cechy heroiczne: podobnie jak bohaterowie polityczni są prawodawcami; jak bohaterowie wojenni — dzielnymi obrońcami i wybrańcami; w swej nieskazitelności podobni są świętym, a jako herosi kultury są wielkimi przodownikami rozwoju kultury narodowej[3].

Ani Wałęsa, ani stosunek do niego nie jest więc czymś zaskakująco nowym. Pojęcia takie, jak charyzma, osobowość autorytarna, czy narcyzm — by odwołać się do myślicieli tak różnych jak Weber, Adorno i Freud — są znane, bo ich empiryczne egzemplifikacje pojawiały się dostatecznie często w historii.
Analizując wypowiedzi Wałęsy, można stawiać sobie następujące pytania: jak mówi, jakimi figurami retorycznymi się posługuje, jak

---

GW — „Gazeta Wyborcza"
RzP — „Rzeczpospolita"
TL — „Trybuna Ludu"
TSM — „Tygodnik Solidarność Małopolska"
TS — „Tygodnik Solidarność"
WW — „Wieczór Wybrzeża"
ŻW — „Życie Warszawy"

[2] M.Weber, *Trzy czyste typy prawomocnego panowania*, w: *Elementy teorii socjologicznych*, Warszawa 1975, s. 545.

[3] F.Znaniecki, *Współczesne narody*, Warszawa 1990, s. 124, 129.

konstruuje swoją wypowiedź. Zamiast tego, idąc tropem analizy strukturalnej, wolimy zapytać, jakimi „głosami" przemawia Lech Wałęsa i jakie są ich wzajemne powiązania. Tak więc nie interesuje nas psychologiczna charakterystyka mówiącego podmiotu, jego motywy i aspiracje, ale cechy strukturalne politycznego dyskursu, którego fizyczną emanacją są konkretne wypowiedzi Lecha Wałęsy. Zauważmy najpierw, że w wypowiedziach tych współistnieją dwa odmienne „głosy": metapolityczny i polityczny. „Głos" metapolityczny powiadamia nas, że Lech Wałęsa stoi ponad wszystkimi politycznymi podziałami, jest strażnikiem całej solidarnościowej tradycji, opiekunem wszystkich sił demokratycznych.

Ja nie reprezentuję programu, pełnię tylko rolę strażnika demokratyzacji (GW 2 III 1990); (...) zrobię wszystko, aby Polsce pomóc. Polsce — a nie żadnej grupie, nawet mojej osobistej (RzP 3 V 89); Mam dowody, że wszystko, co robię wynika z arytmetyki demokracji (TS 17 VIII 90).

„Głos polityczny" przeciwnie, odrzucając bezstronność, opowiada się w politycznych sporach za konkretnymi rozwiązaniami, a przeciwko innym; za konkretnymi osobami, a przeciwko innym (Wałęsa krytykujący politykę rolną rządu Mazowieckiego, Wałęsa popierający Najdera przeciw Wujcowi). Przekaz „głosu" politycznego uzyskuje, zauważmy, dodatkową prawomocność poprzez współwystępowanie (w wypowiedziach tego samego człowieka) „głosu" metapolitycznego; w rezultacie można odnieść wrażenie, że Wałęsa wybierając określoną opcję, w istocie żadnej nie wybiera, nie jest stronniczy, zachowuje neutralną pozycję „ojca założyciela" polskiej demokracji.
Charakterystyczną formą retoryki Lecha Wałęsy jest obiektywizacja samego siebie. Oto próbki tego stylu:

Wciąż dowiaduję się z telewizji, że jest konflikt między Lechem Wałęsą a premierem (RzP 15 VI 90); Macie robić Polskę taką, jaka wam odpowiada i jeśli coś zepsujecie, to nie będziecie mogli powiedzieć, że Wałęsa spaprał — to wy będziecie winni (DzZ 13 III 90); (...) każdy, kto się nie mieści, albo nie życzy sobie być z Wałęsą, może powołać nowe organizacje, którym nie będziemy przeszkadzać, a raczej pomagać (RzP 20 IX 89); Wszystko co powstało za Wałęsy i bez Wałęsy ja będę realizował (GW 27 IV 90).

Obiektywizacja jest figurą retoryczną pozwlającą Lechowi Wałęsie wystąpić w roli nadawcy przekazu pochodzącego z symbolicznie nacechowanego źródła „Lech Wałęsa". Źródło przekazu „Lech Wałęsa" jest niekwestionowalne; Lech Wałęsa mówiąc, cytuje Lecha

Wałęsę — autorytet, posiadający takie cechy, jak nieomylność, jednoznaczność, brak wątpliwości. Kiedy natomiast przyznaje się do błędu, mówi tylko i wyłącznie we własnym imieniu: „Byłem uzurpatorem i osiągnąłem tylko tyle, na ile umiejętności i siły mi starczyło" (WW 23—25 III 90).
Warto jednak zauważyć, że w tego rodzaju sytuacjach przywoływany jest często podmiot zbiorowy ponoszący odpowiedzialność za ten błąd:

Jestem z was niezadowolony (...) źle jest w Polsce (...) Czuję się odpowiedzialny za ten bałagan, który jest w Polsce. Podpuściliście mnie, zrobiliśmy zmiany. Obciążanie mnie winą za niesprawne rządzenie jest nieporozumieniem. Posterowałem tym wszystkim. Odzyskaliśmy wolność, ale z tą wolnością trzeba coś zrobić (TS 30 III 90).

Tak więc podmiotem wątpliwości bądź osobą popełniającą błędy jest nie tyle symboliczne źródło przekazu „Lech Wałęsa", co empiryczny Lech Wałęsa — sam albo wraz z innymi osobami.
Ta sama jednostka, Lech Wałęsa, posługuje się zatem z jednej strony podmiotem prywatnym, z drugiej podmiotem zobiektywizowanym („Lech Wałęsa wam mówi"). Owe współistniejące, odmienne figury retoryczne („ja" i „Lech Wałęsa"), wskazujące — z psychologicznego punktu widzenia — na tę samą osobę, ulegać mogą w odbiorze swoistej kontaminacji. Do odbiorcy dociera pasmo przekazu, w którym oba wyróżnione składniki zlewają się w jedną całość; tym samym apodyktyczność zostaje zanegowana.
Obiektywizacja wypowiedzi ma jeszcze jedną ważną właściwość: wymiar ideologiczny. Odbiorca ma prawo sądzić, że Lech Wałęsa wypowiadając się na jakikolwiek temat mówi nie tyle od siebie, co w imieniu idei wyższego rzędu; słuchając Wałęsy, który mówi to akurat, co w danej chwili mówi, zostajemy poinformowani, że obcujemy w ten sposób z „Wałęsą", tj. „Solidarnością", jej historycznym dziedzictwem, przesłaniem ideowym czy etosem. Jak wskazaliśmy uprzednio, odmienne potraktowanie aktu wypowiedzi mogłoby polegać na podkreśleniu jej merytorycznego i osobistego charakteru za pomocą formuł „sądzę, że", „moim zdaniem"; przypominałyby oné, że z sądem tym można dyskutować, że można mieć inne zdanie. Nie można natomiast dyskutowć z przesłaniem ideowym. W grę wchodzi jedynie akceptacja lub odrzucenie. W przypadku zaś „Solidarności" decyzja moralna, a nie racjonalno-pragmatyczna. Obiektywizacja wzmacnia pozycję jednostki, umoż-

liwiając jej odwołanie się do ponadjednostkowej, ideologicznej sankcji. Działa tu wszakże mechanizm sprzężenia zwrotnego. Odkąd okaże się, że w danym przypadku możliwe jest zrównanie konkretnej jednostki z ideą, następuje zogniskowanie idei na dających się zaobserwować poczynaniach (i wypowiedziach) owej jednostki. Indywidualne akty ekspresji w jej wykonaniu — to, że Wałęsa wygląda właśnie tak, jak wygląda, łowi ryby, ma ośmioro dzieci, jest niepowtarzalny, a nawet to, że łamie uznawane reguły np. demokratyzmu — jawią się jako element dodający czystej idei solidarnościowej życia i kolorytu.

Poczyńmy tu pewne istotne rozróżnienia. „Urzędnik" „Solidarności", w weberowskiej typologii „biurokrata" — by mógł zostać zaakceptowany — spełnić musi szereg wymagań obiektywnych, np. przestrzegać uchwały związkowe. Charyzmatyczny przywódca związkowy cieszy się natomiast znaczną swobodą, może nawet pozwolić sobie na uwagi tak nieortodoksyjne, jak znane stwierdzenie Lecha Wałęsy na I Krajowym Zjeździe „Solidarności", że jej przewodniczący nie zamierza realizować właśnie uchwalonego, wspólnego programu, ale swój własny. Co do przywódcy, wiadomo, że jego dokonania są same przez się wielkie i że nie ma „nikogo, kto reprezentowałby społeczeństwo lepiej" (AS 40:204). Urzędnik jest rozliczany z zadań, które ma wykonać; jeżeli okaże się niekompetentny lub niesprawny, należy go wymienić. Działania przywódcy nie podlegają tego rodzaju ocenie. Jego indywidualna odpowiedzialność odnosząca się do realizacji konkretnych zadań przesłonięta jest autorytetem podmiotu zobiektywizowanego, który umiejscowiony jest poza namacalnym kontekstem sytuacyjnym. W warstwie retoryki obiektywizacją, jako narzędziem, może się zatem posługiwać tylko przywódca.

Kolejną cechę retoryki Wałęsy ilustruje dobitnie następujący cytat: „Mówią mi o francuskim, niemieckim, amerykańskim i innych modelach prezydenckich. Ja mam własną filozofię — wypływa ona z was" (GW 29 X 90). Lech Wałęsa uchyla się jednak od sprecyzowania owej filozofii. W tej sytuacji odbiorca ma prawo spodziewać się, że gwarantem pomyślnego rozwoju wydarzeń nie jest konkretny program działań, lecz osoba projektodawcy oraz związek tejże ze społeczeństwem: „Ha! Nie może być klęski, bo jestem z ludem!" (TSM 2 IX 90). Składa Wałęsa magiczną obietnicę: jego udział w procesie podejmowania decyzji i wcielania ich w życie doprowadzi w sposób automatyczny do pożądanego rezultatu; jego nieobecność,

można się domyślać, miałaby wyłącznie negatywne konsekwencje. Inne magiczne formuły pojawiające się w mowie Wałęsy to „przyśpieszenie" oraz idea „porządkowania spraw".Nie są one przekładalne na język konkretnych działań, mają oddziaływać według zasady *deus ex machina*.
To, co zapowiada przywódca jest dobre przez to tylko, że on właśnie, a nie kto inny to czyni.

Ja mojego programu jeszcze nie zgłaszałem, ale jak zgłoszę to wygram, bo mój program będzie skuteczny (TS 30 III 90); Swoją rolę spełniłem w 500 procentach. Reszta natomiast należy do rządu, do prezydenta (RzP 4 XII 89).

Motyw zawierzenia wydaje się tu wielce charakterystyczny. Nadto, przywódca nie tylko żąda wiary, ale i sam ufa sobie bezgranicznie, jest ostateczną instancją, ostatnią deską ratunku:

Jeżeli tak dalej pójdzie i Wy z żadnymi programami nie będziecie występować — to ja dam Wam w końcu swój własny program bardzo szeroki, w którym będzie wszystko (RzP 13 III 90).

Wałęsa nie zamierza pochopnie ujawniać, co ma do dyspozycji, inaczej bowiem musiałby pokazać w kategoriach działania celowo-racjonalnego, do czego jest w istocie zdolny. Motyw zagrożenia, odpowiednio wypunktowany — jeśli zacznie dziać się źle, będę musiał pokazać, co potrafię — podkreśla, przez kontrast, bezpieczeństwo, jakiego jest gwarantem. Uderzającą cechą języka Lecha Wałęsy jest aktywizm. Wspominając swoją młodość podkreśla, że zawsze był człowiekiem czynu:

Ja zawsze byłem taki, także wtedy, kiedy byłem biednym wiejskim chłopcem i kiedy chciałem zostać pilotem. Byłem zawsze przywódcą bandy, jak kozioł, który przewodzi gromadzie, jak byk, który kieruje stadem (CdS 7 III 81).

Tę samą cechę przypisuje sobie także w odniesieniu do teraźniejszości: „Ja kreuję demokrację nie w hasłach, lecz w praktyce" (TSM 2 IX 90). Wałęsa jest w ciągłym ruchu, szybko podejmuje niezbędne decyzje; jak łatwo też zauważyć sam jest źródłem, przyczyną owego ruchu, wprawia weń całą tę maszynerię: działa i przewodzi innym działającym. Jednocześnie cel tej aktywności jest określony nader ogólnie: „dobro Polski". Dobór środków mających służyć realizacji tego celu wyznaczony jest potrzebami chwili, wymogami aktualnego etapu walki („na tym etapie"). Decyzja zaś należy do Lecha Wałęsy. Jeśli cel jest ogólny, a środki dobierane instrumentalnie, *ad hoc*, wartością

nadrzędną staje się sama nieustanna aktywność, samo działanie. Działanie ma specyficzny koloryt, jest walką:

Jestem za stałym niepokojem politycznym, nieustannym publicznym rozładowywaniem konfliktów. Dla mnie demokracja parlamentarna to pokojowa wojna wszystkich ze wszystkimi (GW 11 V 90).

Tego rodzaju absolutyzacja działania jako walki przywodzi na myśl przeróżne wzorce, np. obecne w liryce D'Annunzia.
Zabsolutyzowane działanie rzutowane jest w przyszłość dwojako. Po pierwsze, Lech Wałęsa, gdyby został prezydentem, nigdy nie ograniczy się do urzędowania w Belwederze, będzie nieustannie zaskakiwał pojawiając się niespodziewanie, by osobiście dokonać niezbędnych interwencji, nie pozwoli na petryfikację jakichkolwiek struktur: „O prezydencie myślę, że może nawet z siekierą latać, kiedy rozkradają Polskę" (GW 11 V 90). Drugim wymiarem tej przyszłościowej projekcji jest zaproszenie ogółu społeczeństwa do wspólnego działania; mobilizacja ma być powszechna. Nikt nie powinien stać na uboczu. Aktywność mas stanowi u Lecha Wałęsy niezbędny element normatywnej wizji ładu społecznego. Tym samym zajmuje on stanowisko w starym sporze o to, czy człowiek jest z natury zwierzęciem politycznym i tylko złe urządzenia społeczne uniemożliwiają powszechną partycypację, czy też polityka winna być raczej domeną profesjonalnych elit. Co więcej, wybierając jednocześnie pierwszą z tych opcji, Wałęsa chciałby urzeczywistnić swoją wizję z dnia na dzień, „na skróty", jeśli trzeba, z użyciem przymusu:

Wiem, że wygram. Problem polega na czymś innym. Ja nie chcę zwycięstwa dla zwycięstwa. Ja chcę mieć silne poparcie. Tylko wtedy będę mógł wypełnić zadania, będę mógł się odwoływać, zachęcać, prosić, czy powiedzieć nie (...) Mało tego! Jeśli mam kandydować, to wybory prezydenckie muszą być przymusowe. Każdy Polak musi wybierać prezydenta, każdy musi się opowiedzieć (ŻW 25—26 VIII 90).

Z połączenia indywidualnego i zbiorowego wymiaru aktywizmu wyłania się jeszcze jedno przesłanie: jestem jednym z was, wy jesteście ze mnie; razem, lecz pod moim przewodnictwem, ruszymy z posad bryłę świata. Taki projekt zmian społecznych znajduje u Lecha Wałęsy dodatkowe uzasadnienie w postaci ogólnej formuły życia społecznego:

Trzeba kozła, trzeba byka, w przeciwnym wypadku stado kóz czy krów rozłazi się na wszystkie strony, gdzie tylko jest trochę trawy do gryzienia. I nikt nie wybiera słusznej

drogi. Stado bez przewodnika, to rzecz bez sensu, bez przyszłości. Jednakże nie wiem, czy jestem naprawdę przywódcą. Wiem jedynie, że przeczuwam rzeczy, że mam nosa, że kiedy tłum milczy, wiem co chciałbym powiedzieć. I wówczas mówię to znajdując właściwe słowa (CdS 7 III 81).

Na marginesie zwróćmy uwagę na to, że przytoczona ogólna formuła życia społecznego jest transpozycją relacjonowanych uprzednio doświadczeń biograficznych Lecha Wałęsy. Ta sama konstrukcja — przenoszenie indywidualnych doświadczeń biograficznych na szeroki plan życia społecznego — pojawia się także w innych kontekstach. Tak więc Lech Wałęsa jako podmiot refleksji o prawach rządzących życiem społecznym posługuje się jedną z podstawowych reguł myślenia zdroworozsądkowego, a mianowicie projekcją tego, co osobiste i partykularne na płaszczyznę uniwersalnych prawidłowości.

W powyższym cytacie można dostrzec jeszcze jedną cechę dyskursu Wałęsy. Podmiot przekazu domaga się zawierzenia; uzasadnieniem tego życzenia są dotychczasowe przykłady trafnych decyzji, słusznej linii postępowania. Co więcej, w każdym konkretnym przypadku nie jest konieczne wykazanie — na drodze rozumowania, analizy sytuacji — że to, co Wałęsa proponuje, jest właściwe; jak się dowiadujemy, odnajduje on słuszną drogę w sposób intuicyjny: „ma nosa".

Obraz świata społecznego, polityki, stosunków międzyludzkich, jaki wyłania się z rozmaitych wypowiedzi Lecha Wałęsy jest zasadniczo prosty, pozbawiony tajemniczości, czytelny; świat da się zrozumieć wedle oczywistych prawd. Jeśli wszakże okazuje się inaczej — tj., że świat jest skomplikowany, niejednoznaczny — to na skutek czyjejś manipulacji, złych intencji, błędów lub zaniedbań. Świat polityczny składa się ze „spraw", „tematów" i „problemów", które należy „aktualizować", „wyczyszczać", „porządkować" i „rozwiązywać". Kategorie te należą do stałego repertuaru Wałęsy. Dla ilustracji przytoczymy znaną wypowiedź o „Gazecie Wyborczej" i jej redaktorze:

Ja nikogo nie odwoływałem, natomiast chcę sprawy aktualizować. Adam Michnik był powołany, wtedy kiedy startowaliśmy do wyborów. Potem Michnik założył spółkę i właściwie jest samodzielny, a więc trzeba to wreszcie wyczyścić. Ja zadałem to jako lekcję domową Adamowi, natomiast prasa zrobiła z tego sensację. Trzeba rozwiązać problem, czy prywatna spółka ma prawo do „Solidarności" jako nazwy. I drugie: musi, powinna wyczyścić sprawę powołania, no bo ja już za krótki jestem (GW 7 VI 90).

Rzeczy powinny być nazwane po imieniu, wszyscy aktorzy publicznej sceny winni jasno określić, czym i kim są: lewica — lewicą, Żydzi — Żydami itp.; kiedy tak się stanie życie społeczne, proces polityczny ujawnią właściwą sobie wewnętrzną prostotę. Okaże się, że „sprawy" czy „tematy" pozornie skomplikowane nie różnią się w swojej istocie od tych oczywistych. Stąd możliwość przenoszenia wzorów z obszaru codziennej, zrozumiałej dla każdego rutyny do obszaru polityki, ekonomii, rozwiązań ustrojowych, np.:

dzisiejsza „Solidarność" to tylko podkład pod przyszłą robotę. To tak jak z (...) ziemniakami. Jak mamy pięknego, zdrowego to nie jemy go, tylko sadzimy, żeby mieć w przyszłości kilka nowych, nie gorszych (TSM 2 IX 90); Kolo polskiej historii przez 45 lat chodziło w lewo (...) My teraz chcemy je skierować w prawo (RzP 15 I 90); Zawsze potrzebne są dwie nogi. W każdym społeczeństwie potrzebna jest równowaga (TL 2 I 90); Mówiłem, że Polsce potrzebne są dwie nogi — lewa i prawa. Teraz powtarzam, że każda ma pięć palców. Więc dlaczego nie spróbować tych dziesięciu rozwiązań? (ŻW 25—26 VIII 90).

Wałęsa chętnie posługuje się tego rodzaju figurami retorycznymi, których funkcją jest wyjaśnienie rzeczy złożonych przez analogię do rzeczy prostych; struktura zjawisk nie ma być przy tym uproszczona, lecz jedynie wytłumaczona.
Kiedy, po usunięciu dymnej zasłony pozorów, ujawniona zostanie prawdziwa struktura świata, okaże się z całą oczywistością jakie jest naturalne miejsce poszczególnych elementów:

Mogę przegrać przez manipulację, jak mnie na wiec nie dopuszczą, od telewizji odłączą, wyeliminują (...) Po prostu nie wierzę w przegraną, jeśli będę miał równe szanse. Dlatego, że ja chcę dobrze! (TSM 2 IX 90).

Podobnie jak wizerunek „spraw", które z natury rzeczy są w zasięgu ręki, tak i obraz poszczególnych osób pojawiających się w kontekście tych „spraw" konstruowany jest przede wszystkim według kryteriów użyteczności i skuteczności: mając na uwadze „sprawę", Wałęsa dokonuje alokacji będących w jego dyspozycji zasobów ludzkich (znana retoryka „odwołań" i „powołań" w odniesieniu do Wujca, Michnika i Najdera, a także związane z tym wypowiedzi w rodzaju: „Henryk Wujec, mój kolega, był na inny okres przewidziany"; „Ja zadałem to jako lekcję domową Adamowi" (GW 7 VI 90).
Kończąc, odnotujmy jedną jeszcze cechę charakterystyczną języka Lecha Wałęsy: Wałęsa przeczy niekiedy sam sobie, w obrębie tej samej, bądź różnych, lecz pochodzących z tego samego okresu wypowiedzi. Słyszymy:

W Polsce potrzebne są dwa silne nurty polityczne. Musimy je budować. Będzie bowiem źle, jeśli pójdziemy za mocno — obojętnie w którą stronę — lewo czy prawo. Zawsze potrzebne są dwie nogi. W każdym społeczeństwie potrzebna jest równowaga. I powinniśmy już zacząć ją budować (TL 2 I 90).

Dwa tygodnie później mówi: „Koło polskiej historii przez 45 lat chodziło w lewo (...) My teraz chcemy je skierować w prawo" (RzP 15 I 90).

Niekiedy wprowadza sprzeczność świadomie, prowokacyjnie, np. na pytanie, w jaki sposób zostanie wyłoniony wiceprzewodniczący związku odpowiada: „Będę chciał zrobić to demokratycznie — ale oczywiście jednoosobowo" (TS 4 V 90).

Najczęściej jednak wypowiedzi Wałęsy są wieloznaczne, chciałoby się powiedzieć — dialektyczne. Oto przykład, po części już wykorzystywany:

Ha! Nie może być klęski, bo jestem z ludem! Mogę przegrać przez manipulację, jak mnie na wiec nie dopuszczą, od telewizji odłączą, wyeliminują. (...) Poza tym jeżeli rozwiążą nasze problemy lepiej ode mnie, to też będzie moje zwycięstwo! Przegrać w imię dobrej sprawy, też jest zwycięstwem. Chrystus przegrał, a przecież zwyciężył! (...) nie żebym się z Chrystusem porównywał! Po prostu nie wierzę w przegraną, jeśli będę miał równe szanse. Dlatego, że ja chcę dobrze! (TSM 2 X 90).

W obrębie tej samej wypowiedzi dopuszczone zostają dwie wykluczające się interpretacje — możliwość sukcesu i porażki wyborczej (sukces, co prawda, może być uwarunkowany dostępem do *mass-mediów*, ale jest też pewny: „bo jestem z ludem"). Pojawiająca się tu sprzeczność ma charakter logiczny. Z psychologicznego punktu widzenia wewnętrzną sprzeczność wypowiedzi można tłumaczyć niespójnością poglądów, zaś po stronie odbiorcy oczekiwać należałoby dysonansu poznawczego. Jednakże to, że w odbiorze społecznym nie przypisuje się Lechowi Wałęsie niespójności sądów, lecz przeciwnie, podkreśla się jego konsekwencję, skłania nas do rezygnacji z perspektywy psychologicznej i poszukiwania innych wyjaśnień tego fenomenu. Z punktu widzenia pragmatyki dyskursu politycznego komunikacja Lecha Wałęsy ze społeczeństwem okazuje się spójna, sprawna i skuteczna. Na tym poziomie sprzeczności logiczne tracą swoją ważność; sądy skądinąd wzajemnie wykluczające się operują na różnych poziomach, służą innym celom, wypowiadane są w odmiennych kontekstach. Kiedy trzeba dowiadujemy się, że Lech Wałęsa sprowadzi do Polski zagraniczny kapitał, co doprowadzi do powszechnej *prosperity*; kiedy indziej pada zapewnienie, że Lech Wałęsa

nie dopuści do wyprzedaży Polski. Rolnikom w Mławie złożona zostaje obietnica „załatwienia spraw", po kilku zaś dniach pada publiczne *dementi*. Sprzeczność logiczna występuje również wskutek współistnienia i zlania się w ramach jednej wypowiedzi poziomu opisowego i normatywnego. Jak w przytoczonym wyżej przykładzie: może zdarzyć się tak, że Lech Wałęsa nie zostanie prezydentem, oraz — Lech Wałęsa zostanie prezydentem, bo „chce dobrze"; to ostatnie stwierdzenie mające formalnie strukturę opisu jest w istocie moralnym apelem.

* * *

Zdajemy sobie dobrze sprawę z ograniczeń zastosowanej metody analizy. Lech Wałęsa jest przede wszystkim mówcą, a nie autorem tekstów pisanych. W naszych rozważaniach odwoływaliśmy się do uproszczonych z natury rzeczy zapisów wypowiedzi. Każdy taki zapis zawiera w sobie, jak wiadomo, pewną interpretację. Dodatkowa warstwa interpretacji pojawia się wówczas, gdy w grę wchodzi tłumaczenie na język obcy. Lech Wałęsa zarzuca niekiedy dziennikarzom — i polskim, i zagranicznym — „przekręcanie" tego, co mówi. Zarzut ten opiera się na przypuszczeniu, że możliwe jest wierne oddanie sensu żywej wypowiedzi w postaci tekstu pisanego. Ponadto zapis bądź tłumaczenie wypowiedzi Wałęsy bywa niekiedy utrudnione poprzez ich niejednoznaczność. W takich sytuacjach autor zapisu lub tłumaczenia konstruuje sens przekazu — w sposób nigdy nie adekwatny w stosunku do oryginału.

Roztrząsania i rozbiory

Człowiek Maria Rodziewiczówna

Podejrzewać Marię Rodziewiczównę o sympatie proanarchistyczne lub propagowanie anarchizmu — to zakrawa na żart. Zwalczana przez krytykę postępową (Feldman), ta niezwykle dawniej i dziś jeszcze popularna pisarka kojarzy się raczej z takimi wartościami, jak konserwatyzm, patriotyzm, katolicyzm. Bronisław Chlebowski pisał o Rodziewiczównie: gorąca patriotka, wierna tradycjom przeszłości[1]. Kazimierz Czachowski, autor obszernej monografii, podkreślał, że jej religijność nie nasuwa żadnych podejrzeń[2]. Zdaniem Anny Zahorskiej autorka *Dewajtis* była po Kraszewskim najbardziej religijną spośród polskich powieściopisarzy[3]. W dniu 2 maja 1938, z okazji święta ruchu synarchicznego (który był reakcją na anarchizm, wyrażającą się w kulcie ładu, pracy, tradycji i mocnego, bojowego człowieka) działaczka tego ruchu, Waleria Sokołowska za temat okolicznościowego przemówienia wybrała „Marię Rodziewiczówną w walce o nowego człowieka". Nie nazwała jej wprawdzie synarchistką, ale stwierdziła wielostronną zgodność głoszonych przez bohaterkę mowy przekonań z ideałami (efemerycznego, dodajmy) ruchu[4]. Po wojnie, z okazji ponownego pogrzebu sędziwej pisarki (zmarła jesienią 1944 pod Warszawą), „Tygodnik Powszechny" drukował pełne sympatii wspomnienia o tej działaczce Koła Zjednoczonych Ziemianek. Gdzie tu miejsce na anarchizm?

A jednak.

W roku 1889 ukazała się piąta powieść Rodziewiczówny, *Kwiat lotosu*. Główny jej bohater, Rafał Radwan, łączy w sobie duchowy anarchizm

---

[1] B. Chlebowski, *Literatura polska 1795—1905 jako główny wyraz życia narodu po utracie niepodległości*, Warszawa 1923.

[2] K. Czachowski, *Maria Rodziewiczówna na tle swoich powieści*, Poznań 1935, s. 126.

[3] Zob. A. Zahorska, *Maria Rodziewiczówna i jej dzieła*, Poznań 1931, s. 20.

[4] Zob. *Maria Rodziewiczówna w walce o nowego człowieka*. Przemówienie Walerii Sokołowskiej na Akademii 2 Maja 1938 r. [Warszawa] 1938. Nakład Stołecznego Klubu Synarchistek.

i nihilizm z demonizmem. Jego ojciec, osiadły w Monachium dr med. Karol Radwan, ateistyczny filozof pisujący „negacyjne traktaty"[5] wychowywał go oschle i racjonalistycznie. Na łożu śmierci polecał przyjaciołom:

Pamiętajcie nie tykać jego duchowej swobody i woli. Niech się sam kształci, sam uczy, sam wybiera, sam szuka prawdy. Dlatego nie dałem mu żadnej religii, bo wiara powinna być rzeczą wyrozumowaną, przekonaniem, a nie narzuconą niemowlęciu formułą. (...) Ja go znam i ufam; to już prawie człowiek; nie nakładajcie mu pęt i kajdan, bo zmarnieje, jak ludzkość cała marnieje, skrępowana wiekowymi fałszami![6]

Zatrzymajmy się na chwilę przy określeniu „prawie człowiek", ponieważ w języku Rodziewiczówny słowo „człowiek" odgrywa szczególną rolę. W powieściach z życia arystokracji wielokrotnie dochodzi do konfliktu między powinnościami rodu a „byciem człowiekiem" (książę Holszański z *Błękitnych*, 1890). W powieści *Czarny Bóg* (o której niżej) jeden z bohaterów, nihilista, prezentowany jest słowami: „Oto człowiek"[7], czyli wyraźną parafrazą formuły *Ecce homo*. Przypomnijmy wreszcie tytuł *Lato leśnych ludzi* i wywiedzioną we wstępnym rozdziale tej książki (wydanej w roku 1920 , ale dotyczącej roku 1912) „genealogię" wspólnoty ludzi kochających przyrodę a gardzących pozornym postępem, sensacjami prasy i pogonią za pieniądzem. „Człowiek" jest u Rodziewiczówny z reguły terminem nacechowanym pozytywnie. W tym kontekście użycie tego określenia wobec Rafała Radwana można rozumieć jako wyraz uznania dla jego dążeń do zrealizowania w pełni własnej osobowości, do ucieleśnienia ideału człowieka pełnego i wolnego. Jest to zresztą zarazem samookreślenie. Na pytanie zacofanego ziemianina: „Czy pan, broń Boże, nie nihilista, albo socjalista? Bo to paskudna kategoria". Radwan odpowiada, że ludzkość nie dojrzeje do reform, póki każdy jej przedstawiciel nie określi się tym właśnie mianem: „człowiek". Drugim koniecznym warunkiem reform ma być kompletne zniszczenie dotychczasowego porządku:

Toteż świat reform żąda, woła, wymaga gwałtem. Tylko, że ich mieć nigdy nie będzie, bo nie człowiek stanowi na ziemi prawa etyczne, ale tłuszcza ślepa, kierowana przez teorie zbutwiałe, zachowane, jak mumie, wbrew i mimo postępu wiedzy i wolnego rozumu. Ognie stare wpierw zgasić zupełnie trzeba, by nowe zapalić...[8].

Radwan głosi anarchistyczny program wyzwolenia się z więzów, narzucanych przez rodzinę i państwo:

Kto chce nauce się oddać, prawdę odkryć, badać bezstronnie siebie i ludzi, wpierw wolnym być musi. Nie powinny go pętać węzły rodzinne, bo i cóż one są? Ochroną w niemowlęctwie, niewolą w latach siły i myśli. Próżna forma, narzucona bez pytania o naszą zgodę! Powinien

---

[5] M. Rodziewiczówna, *Kwiat lotosu. Powieść*, Lwów 1900, s. 107.

[6] *Kwiat lotosu*, s. 108—109.

[7] Żmogas M. [Rodziewiczówna], *Czarny Bóg. Powieść na tle spółczesnego zamętu*, Warszawa [1916?], s. 21. Słowo *żmogas* znaczy po litewsku: człowiek.

[8] *Kwiat lotosu*, s. 84

też wyzwolić się spod ciasnej formułki narodowości i szczepu, bo i cóż może umysł wyższy obchodzić taki lub inny dialekt, takie i inne położenie geograficzne? (...) Śmieszne formułki i aksjomaty bez żadnej podstawy poruszają ciemne masy, zapalają wojny i pożogi, plenią nienawiść.[9]

Krytyka ta rozciąga się na rozmaite dziedziny i instytucje życia społecznego. I tak na przykład o małżeństwie Radwan powiada: „Cóż to jest małżeństwo? Ułatwienie spisu ludności i powstrzymanie koczowniczego życia. Jeśli wasz Bóg jest czystym duchem, po co taki związek odbywacie w kościele? To bezsens!"[10].
Wreszcie drobiazg, ale zastanawiający. Na pytanie kolegi, z którym ma wyruszyć w świat, czy pójdą pieszo, Radwan odpowiada bez wahania: „Naturalnie. Nienawidzę kolei."[11] Lew Trocki wspomina pierwszego „żywego anarchistę", z jakim się w życiu zetknął:

Niechętnie wdawał się w teoretyczne rozważania. Raz tylko, kiedy zacząłem usilnie nalegać, aby mi wyjaśnił, jak przy autonomicznych wspólnotach będzie się zarządzało kolejami żelaznymi, Łuzin odpowiedział: a po kiego diabła miałbym przy anarchizmie jeździć kolejami?[12].

Trocki wyznaje, że ta odpowiedź w zupełności mu wystarczyła...
Gwoli prawdy należy powiedzieć, że choć Radwan jest głównym bohaterem *Kwiatu lotosu*, nie można go nazwać bohaterem pozytywnym tej powieści. Rafał Radwan budzi podziw rozmachem i konsekwencją postępowania, ale wywołuje też grozę. Zostawia po sobie zamęt i zniszczenie. Narrator nazywa go wręcz mordercą, demonem i szatanem. Przeciwstawia się mu Leonka Brzezówna, dawna jego uczennica, która z równą wytrwałością wiele osiągnęła: samodzielnie pokierowała swym losem, ukończyła za granicą studia medyczne i teraz niesie pomoc potrzebującym. Brzezówna sama siebie widzi w roli „pionierki nowych dróg i światów"[13]. I choć w końcu Radwan zgwałci ją i doprowadzi do samobójstwa, nad rozpętanym na kartach powieści chaosem — podobnie jak w *Nie-Boskiej Komedii* — zakróluje miłosierny Chrystus.
Kazimierz Czachowski, autor najpoważniejszej dotychczas monografii twórczości Rodziewiczówny, zestawia nihilizm w *Kwiecie lotosu* z jego późniejszą o kilka lat wersją w *Dzieciach szatana* Przybyszewskiego. Wytykając usterki kompozycji przyznaje, że powieść jest „bardzo ciekawa, jako wyraz rozległości zainteresowań autorki i jako objaw niezwykle bujnej jej wyobraźni".[14]

---

[9] *Kwiat lotosu*, s. 34.
[10] *Kwiat lotosu*, s. 192.
[11] *Kwiat lotosu*, s. 142.
[12] Lew Trocki, *Moje życie. Próba autobiografii*. Autoryzowany przekład z rosyjskiego J. Barskiego i S. Łukowskiego, Warszawa 1930, s. 145.
[13] *Kwiat lotosu*, s. 196.
[14] Czachowski, *Maria Rodziewiczówna...*, s. 52.

Krótka powieść *Czarny Bóg* ukazała się najpierw na łamach „Gazety Narodowej" (1891) z podtytułem „Nowela na tle życia nihilistów", zaś w formie książkowej Rodziewiczówna wydała ją w roku następnym we Lwowie, pod pseudonimem Żmogas. Czachowski nazywa ją „jednym z najsłabszych utworów autorki", gani za przytłumienie sensu moralnego, a dzieje się tak zwykle, ilekroć Rodziewiczówna „daje się ponieść swej skłonności do fabuły awanturniczej czy sensacyjnej"[15]. Zarazem jednak pochwala decyzję przypomnienia *Czarnego Boga* w wydaniu jubileuszowym pism Rodziewiczówny ze względu na „pozaliteracką aktualność" niektórych fragmentów, a konkretnie tych, które w latach trzydziestych można było odczytywać jako antycypującą krytykę haseł bolszewizmu. Tą samą intencją zapewne kierowali się inicjatorzy przedruku (w formie powielanego maszynopisu), dokonanego w Bari w roku 1945. Oba względy każą ze szczególną uwagą przyjrzeć się tej powieści w kontekście myśli anarchistycznej.

Czarny Bóg to rzecz o losach czterech kijowskich studentów. Poznajemy ich, gdy świętują początek nowego roku. Przed końcem utworu dwaj zginą jako nihiliści, trzeci — Polak — otrzyma wyrok wieloletniego zesłania za to, że kiedyś przechował swego kolegę, głównego spiskowca. Czwarty, usynowiony przez szefa policji Glebowa, po paru latach podłego życia nawróci się pod wpływem szlachetnej żony-cudzoziemki i będzie się na próżno starał pomóc byłym kolegom. W tak zakrojonych ramach kompozycyjnych zmieściła autorka kilka wariantów oceny rosyjskiego nihilizmu. Dla naszych celów najciekawsze są tu dwie postawy: Rusina Gregora Zachareńki i Polaka Bronisława Świdy (powstańcze losy poprzedniego pokolenia Świdów przedstawiła Rodziewiczówna, także pod pseudonimem Żmogas, w późniejszej o rok powieści *Pożary i zgliszcza*).

Tytuł przywodzi na myśl Arymana, boga zła i ciemności z *Zend-Awesty*, postaci, która — zapewne nie bez wpływu Nietzschego i jego Zaratustry — jeszcze nie raz będzie się przewijać przez młodopolską literaturę (*Aryman mści się* Żeromskiego, *Nietota* Micińskiego). Gregor dostaje się pod opiekę Czarnego Boga z chwilą, gdy zabija strażnika granicznego. Odtąd do społecznej motywacji jego działalności rewolucyjnej dochodzi jeszcze jeden czynnik — pragnienie zemsty. Główną ofiarą złożoną Arymanowi będzie generał Glebow, naczelnik osławionego trzeciego wydziału policji. Gregor zabije go. „Za ojca zesłanego do Nerczyńska, za matkę zmarzłą w drodze do Irkucka, za wydartą ziemię i nazwisko, za kobietę kochaną".[16] Po dokonaniu zemsty zwróci się do Arymana z bluźnierczą modlitwą: „daj mi śmierć, ty Boże Czarny, ty Boże złych i przeklętych, ty Boże krwi i ognia, ty Boże zemsty i odwetu!"[17] I znajdzie śmierć z własnej ręki, śmierć w okrutnych męczarniach.

---

[15] Czachowski, *Maria Rodziewiczówna...*, s. 69.

[16] Żmogas, *Czarny Bóg*, s. 147.

[17] *Czarny Bóg*, s. 198.

Nihiliści w powieści Rodziewiczówny nie poprzestają na negacji. Gregor, wędrując ulicami rosyjskiej stolicy, snuje utopijną wizję przyszłości miasta:

Jak fantastyczne widziadła majaczyły pałace, pomniki, gmachy publiczne. Gregor, mijając, liczył je i rozmyślał: o robotnikach w tych pałacach zamieszkałych, o rządzie wybranym, rezydującym w gmachach, o nauce bezpłatnej, o pomnikach, z których piedestały tylko zostaną dla nowego świata założycieli i bohaterów.[18]

Gregor zdaje sobie sprawę, że droga do realizacji tej utopijnej wizji wiedzie przez krew, także jego krew, ale to go nie powstrzymuje. Podobnie wychylone w rewolucyjną przyszłość Rosji jest zakończenie powieści (ono zapewne wywołało pełne niepokoju słowa Czachowskiego o przytłumieniu sensu moralnego). Otóż na słowa młodego Glebowa, który wyrzeka się swojej ojczyzny za popełnione przez urzędników akty jawnego bezprawia, jego żona odpowiada: „Będzie inaczej, gdy na nich kolej przyjdzie: na tych wielkich, tych rządzących, tych sądzących — kolej Bożej myśli! — Bożego cudu! Z chaosu światy powstają — gdy przyjdzie — dzień!"[19]. Trudno o wyraźniejszą apologię mścicieli i ich następców, trudno o dobitniejszy wyraz wiary w nieuchronne zwycięstwo rewolucji. Wymowę zakończenia moderuje postać Świdy. W dyspucie z Gregorem przeciwstawia on rosyjskim poszukiwaniom wolności polskie doświadczenie w tej kwestii: („Wy jesteście teoretycy i utopiści, my jesteśmy praktyką. My możemy was uczyć").[20] W innym miejscu Swida powiada: „Nie ma nas w waszym nihilizmie"[21]. To z kolei stereotypowa formuła, która w rozmaitym brzmieniu (np. „Anarchizm jest w Polsce niemożliwy") przewijać się będzie wielokrotnie przez polską publicystykę i literaturę przełomu wieków, a także w latach późniejszych.

Do pewnego stopnia można też mówić o moderującym działaniu innego jeszcze czynnika. Podobnie jak w *Kwiecie lotosu* (tylko łagodniej) główny nihilista został tu przedstawiony jako postać demoniczna. Za życia ta osobliwość jego charakteru przejawia się w niemal nadludzkiej umiejętności kierowania innymi, po śmierci — także w wyglądzie zewnętrznym. Sewer wybiera się do trupiarni, gdzie po samospaleniu złożono szczątki więźnia: „W oświetleniu dnia, szydził swym kurczem agonii, urągał swymi ranami ludzkości i bólom. — Demon! — szepnął Sewer ze zgrozą".[22]

W roku 1896 ukazała się powieść *Na wyżynach* — zawierająca jedną z pierwszych w literaturze polskiej prób przedstawienia rodzącego się ruchu spółdzielczego. Tendencję tej powieści dobitnie oddaje tytuł czeskiego jej przekładu: *Mamon a ideały*.

W roku 1906 Rodziewiczówna opublikowała powieść *Ragnarök*. Słowo tytułowe, zaczerpnięte z mitologii skandynawskiej, oznacza dzień wielkiej bitwy bogów z potęgami zła, zakończony powszechnym zniszczeniem

[18] *Czarny Bóg*, s. 150.
[19] *Czarny Bóg*, s. 211.
[20] *Czarny Bóg*, s. 120.
[21] *Czarny Bóg*, s. 186.
[22] *Czarny Bóg*, s. 203.

starego świata i powstaniem nowego, lepszego. W ujęciu bohatera powieści, Józefa Niemirycza, brzmi to tak:

aż przychodzi Ragnarök, straszna noc idei i wiar, i sił. I wtedy bogowie i ludzie, gwiazdy i słońce, złe i dobre duchy, geniusze i potwory, pojęcia i zasady, zbrodnie i cnoty — splątane, zbratane jednym zniszczeniem, kataklizmem, co w drzazgi aż do posad świata wstrząsa, zapadają się w otchłań śmierci i zniszczenia. Przeżyły się, chaosem się stało wszystko w noc Ragnaröku — w nicość zapadną. I muszą, bo już panuje chaos, a fałsz przeżarł jak rdza fundamenty ludzkich wiar i uczuć i czynów.[23]

Żyjąc pod ciśnieniem tej apokaliptycznej wizji nieuchronnej zagłady, powszechnego chaosu i zniszczenia, Józef Niemirycz wiedzie egzystencję człowieka wyzwolonego z wszelkich przesądów i uprzedzeń, nie wierzącego w nic i w nikogo. Zatrudniony jako plenipotent bogatych hrabiów, lojalnie wykonuje swoje obowiązki. Zarazem jednak „w najskrajniejszym najradykalniejszym piśmie" publikuje artykuły z cyklu *Pręgierz*, zgodnie z tytułem piętnujące „po kolei wszystkie hipokryzje i fałsze, kalectwa moralne i wady społeczne, (...) całe pogaństwo chrześcijaństwa społecznego, (całą) dzikość cywilizacji".
Dwakroć w powieści pada w związku z jego osobą epitet „anarchista". Raz po wrzawie, wywołanej przez cykl *Pręgierz* ciotka hrabiego domaga się, by „taki ateusz, anarchista" został usunięty ze służby „przez poszanowanie tradycji i opinii".[24] Innym razem, po powrocie Niemirycza z podróży zagranicznej, w której towarzyszył on synowi hrabiego, hrabia mówi: „Kompania była jakaś cudaczna. Andrzej pisze jak anarchista."[25] Główny bohater zatem nie tylko sam postrzegany jest jako anarchista, ale i propagując poglądy wywrotowe wywiera wpływ na otoczenie.
Roman Niemirycz jest anarchistą ideowym, wrogiem wszelkiego kompromisu, człowiekiem, który wyznawane poglądy doprowadza do skrajności. Zagorzały sceptyk, patrzy na czyny, a nie na etykietki i słowne deklaracje. Konsekwentnie — twierdzi, że nie ma już prawdziwych chrześcijan na świecie. Sam deklaruje się jako ateista, ale posiada lepszą wiedzę na temat (różnych) religii od niejednego księdza. Ludziom mieniącym się chrześcijanami przeciwstawia przesłanie, zawarte w ewangelii, posługuje się przy tym skrajnymi, obrazowymi sformułowaniami:

Gdybyśmy wzięli za porównanie naturę i postawili na jednym końcu człowieka z duszą Franciszka z Asyżu, a ciałem greckiego efeba, na drugim zaś morskiego potwora, co dusi ramionami i ssie tysiącem brodawek, jeszcze dalej będzie Chrystus od teraźniejszego chrześcijaństwa.[26]

---

[23] M. Rodziewiczówna, *Ragnarök*. [Pierwodruk z podtytułem: *Powieść współczesna*. Warszawa 1906], Kraków 1988, s. 68—69.
[24] *Ragnarök*.s. 7.
[25] *Ragnarök*, s. 163—164.
[26] *Ragnarök*, s. 34.

Najwyżej stawia logikę, skłonny przyjąć najbardziej fantastyczne poglądy i postępki, pod warunkiem, że będą spójne i konsekwentne. Niektóre jego wypowiedzi wskazują na cechy nadczłowieka[27].
Radykalizmem poglądów dorównuje Romanowi Niemiryczowi jego dogorywający na suchoty brat przyrodni. Ich długa rozmowa w pociągu to rozpisana na dwa głosy diatryba przeciw zakłamaniu świata. Roman Niemirycz po cyklu artykułów planuje napisanie studium o „bożyszczu Hipokryzji". Jego brat atakuje szczególnie ostro instytucję rodziny. Powiada: „W rodzinie wolno popełniać wszystkie zbrodnie zupełnie bezkarnie, bez żadnej za to zasługi i uznania".[28]
Roman Niemirycz to bodaj pierwszy z anarchizujących bohaterów Rodziewiczówny, który jest bohaterem pozytywnym. Wprawdzie powieść kończy się, podobnie jak *Kwiat lotosu*,[29] wizją ogarniającego ziemię chaosu, ale przybyli nieoczekiwanie przyjaciele duchowi Niemirycza pozwalają mieć nadzieję, że gdzieś w Indiach załamany wstrząśnięty przykładami ludzkiej podłości bohater odnajdzie wcześniejszą równowagę i spokój ducha.
Znamienna była reakcja krytyków i historyków literatury. Zahorska napisała, że w *Ragnaröku* „rzuca autorka niektóre zdania — nieprzemyślane i niezestrojone z ogólnym jej światopoglądem, które wolelibyśmy zapomnieć".[30]
Czachowski starał się uczynić nie Niemirycza, tylko zaprzyjaźnionego z nim księdza „wyrazem przekonań autorki", zarzucał powieści chaotyczność i złą budowę, wskazywał na pokrewieństwo ideowe z *Kwiatem lotosu*, wreszcie powiadał, że *Ragnarök* i pochodząca z tego samego czasu powieść *Joan. VIII, 1—12* „są wyjątkowym obrazem skrajnego i niemal beznadziejnego pesymizmu, jaki ogarnął autorkę na widok nędzy życia miejskiego".[31]
W kolejnej powieści Rodziewiczówny — *Byli i będą* (1908) powraca wątek rosyjskiego nihilizmu i udziału w tym ruchu polskiej młodzieży. Podział opinii przebiega tu pokoleniowo: starsi nieufnie patrzą na wszelkie próby bratania się skłóconych narodów: „To ojcowie wieszali, a synowie tak raptem się pokochali z nami! (...) to jest chytrość i jakaś nowa na was zasadzka, na to młode pokolenie, co dorasta"[32].
Natomiast młodzi mówią o wspólnocie krzywd i argumentują, że mają takie samo prawo brać udział w ruchu nihilistycznym, jak ich rodzice szli do powstania 1863 roku. Rzecz ciekawa zresztą, że główny agitator w tej powieści, Lisiecki, propaguje wśród polskich gimnazjalistów historię powstania listopadowego (zapewne pióra Mochnackiego).

---

[27] Na przykład: „Nie wiem, czy to jest wyrafinowanie. Może tylko za wielka duma z potęg ducha, którego się w sobie ma i czci nade wszystko" (*Ragnarök*, s. 24); „Żadne prawo mnie nie zmusi czynić wbrew woli" (*Ragnarök*, s. 145).

[28] *Ragnarök*, s. 143.

[29] *Ragnarök*, s. 144.

[30] Zahorska, *Maria Rodziewiczówna*, s. 60—61.

[31] Czachowski, *Maria Rodziewiczówna*, s. 149—150.

[32] Rodziewiczówna, *Byli i będą. Powieść z niedawnej przeszłości*, Warszawa 1910, s. 109.

Kazimierz Czachowski pisząc o *Czarnym Bogu* wskazywał na „chaotyczność opowieści, wysnutej z nieznanego autorce a niedostatecznie zbadanego środowiska i tła".[33]
Monografia zasłużonego historyka literatury wyszła drukiem w roku 1935. Tymczasem w roku 1924, w anarchistycznym tygodniku, wydawanym w Warszawie przez Tadeusza Wieniawę-Długoszowskiego, ukazywały się w kilku odcinkach *Wspomnienia z przeszłości* Jana Dłuskiego (1856—1930). Autor, brat stryjeczny znanego działacza socjalistycznego i zakopiańskiego lekarza Kazimierza Dłuskiego, w latach 1880/81 był skarbnikiem kijowskiej Gminy Socjalistów Polskich. Wcześniej utrzymywał zażyłe kontakty z rosyjskimi nihilistami, przyjaźnił się z Żelabowem i Perowską, pośredniczył w kontaktach między petersburskim komitetem centralnym Narodnej Woli a grupą odeską. Otóż Dłuski ujawnił, kto wydał jego i jego towarzyszy w ręce policji:

Natrafiono na ślad polskiej organizacji, w czym (...) bardzo dopomógł Aleksander Rodziewicz, brat powieściopisarki Marii Rodziewicz. Wydał nas 168 osób z różnych miast: Warszawy, Petersburga, Kijowa, Charkowa i w ogóle, gdzie tylko były polskie organizacje. Sam on był studentem Technologicznego Uniwersytetu w Petersburgu i jako delegat od Młodzieży Polskiej w Petersburgu bywał w różnych miastach i dlatego mógł tylu ludzi wydać żandarmom. Wydal również i mnie, objaśniwszy w policji, że w polskich kółkach socjalistycznych pracowałem pod pseudonimem Młodzianowskiego.[34]

Wspomnienia Jana Dłuskiego rzucają ciekawe światło na przypuszczalną genezę zainteresowania Rodziewiczówny rosyjskim nihilizmem i udziałem polskich spiskowców w tym ruchu. Wyraźną sympatię do nihilistów i anarchistów można w pewnej mierze tłumaczyć chęcią ekspiacji za ewidentną winę brata.
Maria Rodziewiczówna była autorką bardziej skomplikowaną, niż są skłonni przyznawać historycy literatury, złudzeni masową popularnością, jaką cieszą się jej powieści. W szerokim wachlarzu poglądów, jakie w nich prezentowała, anarchizm i nihilizm znalazły się stosunkowo wcześnie i zajęły dość eksponowane miejsce. Znamienne jest przejście od negacji nihilizmu (nie pozbawionej od samego początku pewnej fascynacji silną jednostką) do zdecydowanej sympatii dla pokojowego anarchizmu duchowego w powieści *Ragnarök* oraz anarchistycznego odrzucenia życia w cywilizacji (*Lato leśnych ludzi*). Rodziewiczówna, osobowość silna, w życiu nie ulegająca konwencjom, w swej twórczości tęsknotę za absolutną wolnością realizowała przede wszystkim poprzez bohaterów

[33] Czachowski, *Maria Rodziewiczówna*, s. 69.

[34] Jan Dłuski, *Wspomnienia z przeszłości*, „Jutro" 1924 nr 12 s. 15. Dłuski szczegółowo opisuje okoliczności zetknięcia się z Rodziewiczem i swoją intuicyjną do niego niechęć. Warto dodać, że *Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego* (t. I, Warszawa 1978, s. 582—583), aczkolwiek wspomina o zdradzie A. Rodziewicza, w bibliografii biogramu Dłuskiego nie uwzględnia tych wspomnień.

powieści — mężczyzn silnych i konsekwentnych, umiejących wyciągnąć choćby najskrajniejsze konsekwencje z wyznawanych poglądów.

Jan Zieliński

„Krew niemiecka — praca francuska"? Argumentacja i dyskurs prasy

Jednym z najbardziej pasjonujących zagadnień z zakresu analizy dyskursu jest badanie językowych środków, jakimi mówiący wyraża swój punkt widzenia w sytuacji utrudniającej lub uniemożliwiającej swobodne formułowanie własnych opinii. Takim mówiącym może stać się gazeta, której redakcja publikuje ważne teksty oficjalne, dysponując pewnym marginesem swobody co do sposobu ich prezentacji. Sposób przedstawiania można uznać za przejaw dyskursu prasy[1] i postawić hipotezę, że nawet w sytuacji maksymalnych ograniczeń struktura semantyczna danego tekstu jest związana z polityczną orientacją dziennika, który bądź popiera prezentowane tezy, bądź się do nich dystansuje.

Interesujących przykładów może dostarczyć ukazująca się podczas wojny kolaboracyjna prasa francuska. Niniejsza analiza dotyczyć będzie dwu tytułów ukazujących się oficjalnie we Francji w 1942 r, reprezentujących przeciwstawne opcje polityczne: chodzi o prokolaboracyjny paryski dziennik „Les Nouveaux Temps" (LNT) i dystansujący się od polityki rządu Vichy „Le Temp" (LT) ukazujący się wtedy w Lyonie. Opublikowano w nich słynne przemówienie P. Lavala z czerwca 1942 r. i oficjalny komunikat władz niemieckich z października 1942 r. Teksty te adresowane były do robotników francuskich i starały się nakłonić ich do dobrowolnej pracy w Niemczech na kontrakcie; wyjazd miał się wiązać z powrotem pewnej ilości francuskich jeńców wojennych. Silne ograniczenia wynikały zarówno z faktu, że chodzi o przytoczenie mowy wprost, jak i z kontroli cenzury, zapewne szczególnie ostrej w przypadku tego rodzaju tekstów.

Pragnąc wyłączyć poza zakres badań problematykę historyczno-socjologiczną związaną z pozajęzykowymi uwikłaniami badanych tekstów, sięgnęłam po teorie zajmujące się strukturą dyskursu idealnego, tzn. zakorzenionego w rzeczywistości tworzonej przez wypowiadanie. Są to teorie polifonii i argumentacji w języku, rozwijane przez francuskich językoznawców O. Ducrota i J.-C. Anscombre'a. Odróżniają oni sens (wartość semantyczną wypowiedzenia — fragmentu dyskursu, odpowiadającego niezależnej intencji komunikacyjnej, jaką interpretator przypisuje mówiącemu) i znaczenie (wartość semantyczną zdania — abstrakcyjnej struktury, której realizacją jest wypowiedzenie). Sens rozumiany jest jako obraz sytuacji wypowiadania, szczególnie zaś — intencji mówiącego. Znaczenie jest

[1] M. Mouillaud, *J.-F. Tétu*, „Le journal quotdie, Lyon 1989, s. 188.

zbiorem instrukcji wskazujących osobie interpretującej wypowiedzenie, jakie elementy sytuacji wypowiadania ma wziąć pod uwagę.
Teoria polifonii[2] nawiązuje do Bachtina i do koncepcji wielu podmiotów modalnych Bally'ego. Zakłada ona, że sens wypowiedzenia polega na dialogu lub konfrontacji różnych punktów widzenia, zwanych wypowiadającymi, które figurują w opisie znaczenia. Realizując zdania mówiący w różny sposób się z nimi utożsamia lub się od nich dystansuje.
Teoria argumentacji w języku[3] jest specyficznym rozwinięciem teorii aktów mowy. Zakłada ona, że w dyskursie pewne elementy semantyczne (zwane argumentami) są przedstawione jako mające uzasadniać inne (zwane konkluzjami) w oparciu o zdroworozsądkowe zasady zwane — w nawiązaniu do Arystotelesa — toposami. Utożsamiając się z danym wypowiadającym, mówiący spełnia akt argumentacji polegający na narzuceniu — w płaszczyźnie dyskursu — pewnych konkluzji: treści, zobowiązań (zrobić coś, odpowiedzieć, uznać za prawdziwe itp.) i postaw (przychylnej lub nieprzychylnej). Termin „argumentacja" odnosi się do możliwości budowania dyskursu wpisanych w strukturę języka[4]. Argumenty mogą uzasadniać tę samą konkluzję silniej lub słabiej, mogą też uzasadniać konkluzje przeciwne.
Przedmiotem analizy jest przypadek podwójnego wypowiadania: redakcja, będąca pierwszym mówiącym, przedstawia dyskurs innego mówiącego, z kolei w wypowiedzeniach przedstawia różnych wypowiadających. Przytoczenie dotyczy aktu wypowiadania i to autor przytoczenia decyduje o tym, jak zrekonstruuje się sytuację wypowiadania[5]. Poprzez tę rekonstrukcję można odczytać stanowisko dziennika. Jego związek z semantyką dyskursu wyraża się różnicami w strukturze argumentacyjnej zamieszczonego przemówienia lub komunikatu. Adresatami argumentacji są robotnicy. Wpływ dyskursu na opinię publiczną, określony terminem „perswazja", oraz rzeczywista skuteczność wykraczają poza zakres analizy.

Tytuły, śródtytuły

Tytuły dostarczają najbardziej spektakularnego przykładu identyfikacji dziennika z przedstawionymi tezami: LNT nie podaje ani źródła komunikatu, ani faktu, że wyraża on opinie niemieckie

---

[2] O. Ducrot, *Esquisse d'une théorie polyphonique de l' énonciation*, w: *Le dire et le dit*, Paris 1984. Przekład polski: A. Dutka, „Pamiętnik Literacki" 1989 z.3.

[3] J. - C Anscombre, O. Ducrot, *L'argumentatian dans la langue*, Bruxelles 1983; O. Ducrot, *Opérateure argumentatifs et visée argumentative*, „Cahiers de linguistique française" 1983 nr 5.

[4] J. -C. Anscombre proponuje termin *structuration discursive* (*Théorie de l'argumentation, topoi, et structuration discursive*, „Revue québecoise de linguistique" 1989, vol. 19, nr 1). Podobną tezę można spotkać u M. Głowińskiego (*Nowomowa po polsku*, w druku), który mówi o „uformowaniu słów z przeznaczeniem do określonej retoryki".

[5] J. Authier, *Les formes du discours rapporté. Remarques syntaxiques et sémantiques à partir des traitements proposés*, „DRLAV" 1978 nr 17, s. 49—53.

(„Wbrew kłamstwom propagandy. Prawda o pracy robotników francuskich w Niemczech"), co skłania do przypisania ich redakcji. Natomiast LT wyraźnie się od nich dystansuje („Praca Francuzów w Niemczech. Opinia władz niemieckich na temat 'Rèleve'[6] i naboru siły roboczej.").
Znaczące są cytaty w tytule przemówienia. LNT daje „Ta wojna jest rewolucją, z której ma się wyłonić nowy świat", co ma skłaniać do aprobaty dla wojny, a zatem i wspierania Niemiec pracą, LT zaś jako pierwsze cytuje słynne „Pragnę zwycięstwa Niemiec, ponieważ bez niego bolszewizm zapanowałby wszędzie". Cytat ten stawia w niekorzystnym świetle Lavala jako szefa rządu pragnącego zwycięstwa wrogiego mocarstwa i zwraca uwagę, że zwycięstwo Niemiec jest jedynie pożądane, czyli że jest argumentem słabym. Dwa inne cytaty podkreślają moralny obowiązek solidarności i odpłacenia jeńcom dobrem za doznane od nich dobro.
W sytuacji czyniącej te zasady dyskusyjnymi i przy pominięciu szczegółowo omawianych przez Lavala korzyści zawodowo-materialnych można je uznać za podkreślenie słabości argumentacji na rzecz wyjazdu do Niemiec. Śródtytuły są rodzajem jawnego komentarza nakładającego się na przytaczany dyskurs.

LNT: a. Żywność, b. Los Francji, c. Konieczność porozumienia z Niemcami i z Włochami, d. Jeńcy, e. Nowa nadzieja, f. „Trzeba, by robotnicy odpowiedzieli na mój apel", g. Obowiązek solidarności.

LT: a.Żywność, b. Problemy jeszcze poważniejsze, c. „Stanąć na poziomie wydarzeń, jakie przeżywamy", d. Budowa nowej Europy, e. Nowe trudności, f. Los jeńców, g. Apel do robotników, h. Ewentualne uwolnienie niewielu więzionych rolników[7].

Choć w obu przypadkach śródtytuły sięgają do tekstu przemówienia, to wyrażają dwie różne oceny sytuacji. LNT akcentuje, że nie ma innego wyboru niż ten, którego dokonał rząd („konieczność", „trzeba", „obowiązek") i daje cztery silne — w sensie semantycznym — argumenty (obowiązek solidarności, nadzieja, zwolnienie wielu jeńców i przywołanie przez zaimek „mój" autorytetu szefa rządu). LT podkreśla trudności dorzucając „jeszcze" (nieobecne w przemówieniu), cytuje wypwiedzenie niejasne, przesuwa przymiotnik *nouvelle* w wypowiedzi Lavala, co wprowadza paralelizm między polityką rządu i rozwojem sytuacji i skłania do interpretacji przyczynowej typu „budowa nowej Europy powoduje nowe trudności". Przywołuje się też nie stwierdzenie Lavala o przewidywanych licznych zwolnieniach, lecz o wiele wcześniejszy apel do robotników — do

[6] Termin ten oznacza koncepcję stopniowego zastępowania francuskich jeńców wojennych przez robotników pracujących na podstawie kontraktu.

[7] W oryginale: *La libération éventuelle de prisonniers agriculteurs*. Propaganda angielska podkreślała, że przewiduje się zwolnienie nie w proporcji jeden jeniec za trzech robotników (jak donosiły oświadczenia oficjalne, unikające zresztą danych liczbowych), lecz 1 : 5, gdyż liczyli się tylko robotnicy wykwalifikowani, zaś w sierpniu 1942 r. praktyka wykazała, że proporcja wynosiła 1 : 12 (H. Amourous, *La grande histoire des Français sous l'occupation*, Paris 1981, vol 5, s. 111—112).

tych, od których „w dużej mierze" ma zależeć los jeńców. Wyrażenie to oznacza faktycznie, że powrót jeńców zależy nie tylko od robotników, natomiast pod względem argumentacyjnym uzasadnia konkluzje typu „robotnicy powinni wyjechać". Laval rozwija w przemówieniu wizję wyjazdu jako jedynej przyczyny powrotu jeńców. Eksponując wątpliwość związaną z „ewentualnie", redakcja nawiązuje do pomijanego potem aspektu, który sugeruje „nie wyjeżdżać". Wątpliwość ta i mowa o niewielu zwolnieniach czynią śródtytuł argumentem bardzo słabym na rzecz wyjazdu. W sytuacji, gdy redakcja nie ma prawa kwestionować celowości wyjazdu, można to uznać za eufemizm, a także sprostowanie wypowiedzi Lavala („nie zwolnienia masowe, tylko ewentualne i nieliczne"). Takie zastąpienia argumentu mocnego słabym jest formą refutacji.
Tytuły i śródtytuły są wielorako powiązane z prezentowanym dyskursem. Tak więc jedynie tytuł w LT pozwala na jednoznaczną interpretację wyrażeń „wasz kraj" „ich ojczyzna", „swoich jeńców i swoich robotników". Śródtytuły włączone są w dyskurs poprzez taką jego segmentację, która narzuca ich wiązanie z występującymi w nim wyrażeniami anaforycznymi. Służą jako ramy interpretacji lokalnej i mogą skłaniać do reinterpretacji wprowadzanych fragmentów, co prowadzi do osłabienia wywodu argumentacyjnego.

Różnice w warstwie słownej

Teksty z obu dzienników mają jeden przedmiot, ale różnią się między sobą. Pierwszy typ rozbieżności dotyczy występowania lub braku pewnych słów i ich ciągów oraz wykrzykników i dużych liter. Najważniejsze przypadki to:
1. Brak lub obecność pewnych słów:

a) początek komunikatu oznajmia robotnikom, że Deladier i inni konspiratorzy pchnęli do wojny „Francję" (LNT) bądź „wasz kraj" (LT). Drugie wyrażenie wskazuje na niemiecki punkt widzenia.

b) dwoma silnymi argumentami na rzecz zwycięstwa Niemiec są w komunikacie stwierdzenia dotyczące nieuchronnej klęski aliantów i coraz lepszego zaopatrzenia Niemiec w żywność i surowce. Ich brak w LT bardzo osłabia argumentację na rzecz wyjazdu;

c) LT łączy konektorem *car* (bo) dwa fragmenty, które w LNT są odrębnymi argumentami. W związku z tym uzasadnieniem dla „prawdą jest, że: obecny rząd francuski chce ocalić naród od upadku, który bez kolaboracji z Niemcami byłby nieunikniony" staje się „prawdą jest, że: bez zwycięstwa Niemiec narodowo-socjalistycznych nie można by wyobrazić sobie, by europejskie narody mogły żyć w przyszłości". Uzasadnienie to jest słabe, gdyż podkreślenie prawdziwości asercji eksponuje jej wątpliwy charakter, a o zwycięstwie Niemiec mówi się w perspektywie klęski.

Polifoniczy opis *car*[8] stanowi, że w strukturze *X car Y* asercja związana z treścią Y nie może zawierać echa ani słów rozmówcy, ani danych związanych z sytuacją. Można zatem uznać, że przekonanie o zależności losu narodów Europy od zwycięstwa Niemiec ukazane jest jako nie należące do sytuacji wypowiadania (właśnie dlatego, że się o nim mówi), a więc jako dyskusyjne. W ten sposób osłabieniu ulega też stwierdzenie dotyczące dążenia rządu do o c a l e n i a narodu i cała wspierająca się na nim argumentacja. Podkreśla to ciąg dalszy „Zważywszy na ten niepodważalny fakt...", gdzie przymiotnik kontrastuje z ukazaniem tego faktu jako bardzo wątpliwego;

d) w przemówieniu Laval nie godzi się, żeby młodzież francuska i niemiecka ginęła w powtarzających się wojnach. Ciąg dalszy w LNT: „Dla kogo i dlaczego?" (koniec akapitu), w LT: „Dla kogo i po co? C o u c z y n i l i ś m y z n a s z y m z w y c i ę s t w e m z 1 9 1 8 r o k u? [nieobecne w LNT] Moja obecność w rządzie ma znaczenie, które nie uszło niczyjej uwagi, ani we Francji, ani za granicą".
Pytania retoryczne „Dla kogo i dlaczego / po co?" uzasadniają sprzeciw wobec wojen i przygotowują wypowiedzi o polityce porozumienia. Pytanie pojawiające sią tylko w LT pozwala na podwójną lekturę. Pierwszą przypisywać można Lavalowi. Pytanie wymaga odpowiedzi typu „źle wykorzystaliśmy zwycięstwo", co jest argumentem przeciwko rządom. Obecność Lavala w rządzie oznacza zmianę niekorzystnej polityki, więc jest pozytywna. Drugą przypisać można dziennikowi. Sam fakt mówienia o tamtym zwycięstwie można rozumieć jako przypomnienie wielkiej francuskiej tradycji narodowej i przywołanie sytuacji zasadniczo różnej od tej, jaka — zdaniem Lavala — wymaga kolaboracji. Obecność Lavala w rządzie oznacza, że Francuzi powinni zachować się przeciwnie niż to wynikało ze zwycięstwa w 1918 r., więc jest negatywna. Ponadto pytanie wymaga odpowiedzi wyrażających żal z zaprzepaszczenia zwycięstwa, co można uznać za argument przeciwko polityce kolaboracji. Jak widać, obecność pytania tylko w LT ma duże znaczenie dla opisania dyskursu dziennika. Nawet gdyby ograniczyć się do pierwszej lektury, trzeba by uznać, że Laval nie jest dobrym mówcą: dla poparcia swojej tezy używa treści będącej raczej kontrargumentem i nie widzi, że kontekst wypowiedzenia „moja obecność w rządzie ma znaczenie..." nadaje temu znaczeniu wartość negatywną. Tworzenie niekorzystnego obrazu autora przytaczanego dyskursu jest wyrazem dystansu redakcji;

e) z LNT wynika, że najbardziej zainteresowani końcem wojny są robotnicy należący do wszystkich narodów europejskich, a z LT — że są to wszystkie narody europejskie. Wagę tej rozbieżności widać, gdy połączy się ją ze stwierdzeniem, że poświęcenie Niemiec m.in. w interesie Francji wymaga także od niej wsparcia, czyli pracy. Dotyczyć to może zwłaszcza tych, dla których koniec wojny jest szczególnie korzystny. Dla LNT byliby to robotnicy, dla LT — całe narody. Odpowiada to tytułom komunikatu:

[8] O. Ducrot, *Puisque: essai de description polyphonique*, „Revue Romane" 1983, nr 24.

„Prawda o pracy robotników francuskich" w LNT i „Praca Francuzów" w LT. W LT można się doszukać aluzji — stanowiącej swoiste ostrzeżenie — do naboru obejmującego wszystkich Francuzów, a nie tylko robotników[9].

Różnice w interpunkcji

Są one uderzające w końcowej części przemówienia, gdzie pojawiają się typowe dla apelu wezwania. W LT występuje seria wykrzykników: „Robotnicy Francji! To uwolnienie jeńców jest celem waszego wyjazdu do pracy w Niemczech! To dla naszego kraju pojedziecie tam licznie! Po to właśnie, by Francja mogła zająć w nowej Europie należne jej miejsce, odpowiecie na mój apel!", którym odpowiadają kropki w LNT. Dodajmy do tego pisane dużą literą w LT — a małą w LNT — słowa „Republika" i „Historia" oraz apostrofę „Francuzi,", otwierającą w LT ostatni akapit, w którym Laval przywołuje autorytet Pétaina czyniąc się jego *porte parole*. Apostrofy tej brak w LNT.
Różnice te tłumaczyć może czytelne w LT przywołanie konwencji gatunków mowy. Niewątpliwie ukazuje ono Lavala jako oratora znającego kunszt operowania słowem na forum publicznym, lecz jednocześnie każe zrelatywizować jego wezwania i zaangażowanie właśnie do konwencji. Jeśli uznać, że jest to sposób akcentowania samej stylistyki wypowiedzi, to można stwierdzić, że jest to zarazem dystansowanie się od ich treści. LNT tworzy natomiast obraz mówcy, przez którego przemawia namysł i którego cechuje osobisty ton wypowiedzi, obcy pewnego typu retoryce narodowej. Prezentacja przemówienia w LNT podającego większą jego część tłustym drukiem (dwa małe fragmenty są ponadto dużymi litrami) oraz prezentacja komunikatu w LT, gdzie brak jest jakiegokolwiek zróżnicowania, to dwa skrajne przypadki. Masowo stosowany tłusty druk oznacza ogólne poparcie dla dyskursu, który jawi się jako niosący treści ważne i bardzo ważne. Rolę zupełnego braku tłustej czcionki w LT widać wyraźnie, gdy spojrzeć na wersję w LNT: tutaj wyróżnia się początek i koniec, wskazujące adresatów, wprowadzenie, akcentujące polemiczny charakter całości („Przeciwko kłamstwom kapitalistów, wrogów Europy"), segment „Prawdą jest, że:" wprowadzający czternaście mniejszych fragmentów tworzących całość i dwa wypowiedzenia: o obowiązku pracy w Niemczech i o tym, że żaden robotnik się od niego nie uchyla. One są celem komunikatu: sama rzeczywistość zdaje się narzucać wyjazd i uznanie związku Francji z Niemcami. LNT tworzy obraz mówcy dbałego o zrozumiałość tego, co mówi, natomiast LT — nie zaangażowanego w jakość przekazu i nie hierarchizującego wyrażanych treści.
Różny jest także podział na akapity. Wyodrębnienie akapitu może sugerować pewien punkt widzenia, bądź ich traktowanie oddzielne.

[9] Od lutego 1943 r. obowiązkowa praca objęła szerokie rzesze ludności (*Service du Travail Obligatoire*).

Wypowiedzenie „Robotnicy Francji, to wam jeńcy będą zawdzięczać swoją wolność" tworzy w LNT osobny akapit, który z powodu tłustego druku traktuje się jako rację uzasadniającą konieczność wyjazdu na równi z traktatem pokojowym. W LT rozpoczyna ono akapit mówiący o długu moralnym robotników wobec jeńców, którzy w czasie wojny dali dowód większego poświęcenia i walczyli w ich interesie. W ten sposób powstają inne relacje przyczynowe: „jedźcie, bo uwolnienie jeńców ma dużą wagę polityczną" (LNT) lub „jedźcie, bo macie wobec jeńców dług moralny" (LT). Szczególne znaczenie ma sposób umieszczenia wypowiedzeń zawierających wyrażenia anaforyczne. Tak więc „Aby zbudować **tę** Europę, Niemcy toczą gigantyczne walki" LNT daje, w ramach tego samego akapitu, po „...chciałbym, byśmy jutro mogli kochać Europę, w której Francja zajmie godne jej miejsce". **Tę** odsyła do Europy zapewniającej Francji należną jej pozycję. Zauważmy, że istnienie takiej Europy ma status życzenia, natomiast nawiązanie do niego ukazuje je jako fakt. W LT „Aby zbudować tę Europę..." pojawia się po śródtytule „Budowa nowej Europy", co minimalizuje domniemane korzyści, będące jedną z podstaw argumentacji Lavala.
Słynne życzenie Niemcom zwycięstwa znajduje się w LNT na końcu długiego akapitu malującego obraz przyszłej Europy, w LT przeciwnie, stanowi ono osobny akapit (wyróżniony także tłustym drukiem). Takie „ukrycie" w LNT jednego z najważniejszych wypowiedzeń jest zabiegiem mającym na celu zmniejszenie możliwości jego interpretacji.
Sposób wydzielenia akapitów jest ważnym czynnikiem tworzącym obraz mówcy. Komunikat w LNT wyodrębnia emocjonalny początek i koniec, a także słowa „Prawdą jest, że:" wielokrotnie wprowadzające grupy argumentów, przez co mówca jawi się jako osoba wyrażająca się jasno i ułatwiająca odbiorcy zrozumienie. W LT podział tekstu jest taki, że nie tylko nie ułatwia, ale utrudnia lub wręcz uniemożliwia jego percepcję. Niekorzystny w tym przypadku obraz mówcy skłania do niechętnej postawy wobec jego argumentacji.

Wyrażenie poparcia lub dystansu przez dziennik polega na takim wykorzystaniu przytaczanego dyskursu, które podkreśla bądź tuszuje słabość oryginalnej argumentacji. Analiza rozbieżności w obu wersjach przytoczenia ukazała główną trudność, jaką nastręcza zastosowanie językoznawstwa do analizy dyskursu: nie dostarcza ono interpretacji, wskazuje tylko, co należy zinterpretować i gdzie dokonać wyboru. Analiza językowa prowadzić może do kilku rozwiązań struktury semantycznej danego fragmentu, a o wyborze jednej z nich decydują względy pozajęzykowe. Każda struktura semantyczna może mieć wiele interpretacji (w teorii argumentacji wiąże się to z ujęciem znaczenia jako zbioru instrukcji, którym osoba interpretująca wypowiedzenie może być posłuszna na wiele sposobów), wybór zaś dyktują znowu względy pozajęzykowe.
Dystans wobec wyjazdu robotników do Niemiec wyraził się w zaakceptowaniu słabych stron argumentacji lub na jej osłabieniu przez ingerencję w warstwę słowną prezentownych dyskursów, przez typografię i segmentację.

Szczególnie ciekawy jest przypadek przemówienia Lavala: z punktu widzenia argumentacyjnego zmierza ono bez wątpienia do konkluzji typu „robotnicy powinni dobrowolnie wyjechać", zawiera jednak też wiele elementów mogących odwieść adresata od przyjęcia tej konkluzji, wyeksponowanych lub stworzonych przez dziennik. Można powiedzieć, że LT przyjął taktykę pozornej uległości: nie mogąc otwarcie kontrargumentować, przedstawia wywód argumentacyjny jako tak słaby, że skłania tym samym do ostrożności lub rezygnacji z wyjazdu[10]. Należy jednak zauważyć, że samo już przemówienie zawiera takie elementy (np. pragnienie zwycięstwa Niemiec — modalizację „w dużej mierze"). Oznaczać by to mogło, że Laval stara się zadowolić Niemców argumentując na rzecz wyjazdu, a jednocześnie sugeruje Francuzom powściągliwość w podjęciu decyzji. Intencję taką można powiązać z jego zamiarem spełniania roszczeń niemieckich na poziomie słów, a nie czynów[11]. Nasuwa to pytanie o związek argumentacji z perswazją: argumentowanie na rzecz jakiegoś zachowania drugiej osoby może — ale nie musi — być środkiem do jego osiągnięcia. Skoro więc argumentacja nie jest bezpośrednio powiązana z perswazją, czemu się argumentuje? To pytanie nieustannie nasuwało się w czasie analizy.

Anna Dutka

Słońce czerwca

W posłowiu do I wydania *Poznańskiego Czerwca 1956*[1] redaktorzy — Jarosław Maciejewski i Zofia Trojanowiczowa — prosili o przekazywanie sprostowań, uzupełnień, uwag krytycznych oraz nowych materiałów źródłowych dotyczących Czerwca, na adres Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Było to miejsce pracy redaktorów książki. Jednak w podanym adresie ukrywało się jeszcze inne, dość zastanawiające znaczenie: oto pracę

[10] Do podobnych wniosków doprowadziła analiza przemówienia P. Lavala z października 1942 r., zob. A. Dutka, *L'argumentation et l' illocution dans un discours de P. Laval*, w: A. Bogusławski, K. K. Byrski, Z. Lewicki (red.), *Co badania filologiczne mówią o wartości. Materiały z sesji naukowej 17—21 listopada 1986 r.*, Warszawa 1987 t. 2. Taktykę taką stosuje też Narcyz w *Brytaniku* Racine'a, zob. G. Declerq, *Crime et arguments. Etude de la persuasion dans „Britannicus", (acte IV, scene IV)*, „Lalies" 1984 nr 3.

[11] Doświadczenie nauczyło Lavala, jak twierdził, że na ostrą odmowę Niemcy zareagują siłą: „lepiej było, bym starał się ich skłonić do zaakceptowania tekstów, które z powodu okoliczności, klimatu kraju i poleceń, jakie wydawałem i kazałem wydawać prefektom stawały się niemal niewykonalne" (H. Amouroux, op.cit., s. 127).

[1] *Poznański Czerwiec 1956*, red. J. Maciejewski, Z. Trojanowiczowa, wyd. I Poznań 1981, wyd. II popr. i rozszerz. Poznań 1990.

nad Poznańskim Czerwcem podjęli historycy literatury. Dlaczego? Czy był to tylko przypadkowy zbieg okoliczności, czy też w fakcie owym tkwił jakiś głębszy sens?
Można sądzić, że historycy literatury podejmowali się tego zadania z powodów, które pośrednio wyjaśnia literatura romantyczna — oboje to wybitni badacze właśnie romantyzmu polskiego. Towarzyszył im stale znamienny dla romantycznego ethosu motyw odpowiedzialnej pamięci: „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie Zapomnij o mnie". Znamienne, że dla określenia stylu obiegu Trojanowiczowa posługiwała się romantyczną kliszą, pisząc, jak to przez lata pamięć o Poznańskim Czerwcu była przechowywana jedynie w „długich, nocnych rodaków rozmowach". Stereotyp wyrażenia, owszem, ale zarazem i oddanie prawdy rzeczywistości. Wieść o Poznańskim Czerwcu stała się przecież klechdą domową — taką, o jakiej niegdyś pisał Żeromski, mając na myśli pamięć 1863 roku „klechdą domową, w ciemną noc szeptaną dygocącymi wargami przez tych, co widzieli, dzieciom, co drżą przed okrucieństwem widziadła..."
Ale nie tylko lęk i zarazem pragnienie wypowiedzenia skrywanej wiedzy kierowały tą pamięcią. W *Dzienniku pisanym nocą* Herling-Grudziński przypomina słowa Stanisława Worcella: „Żadna klęska, żadne nieudanie się powstania nie będzie śmiercią, dopóki wspomnienie każdego drugie wywoływać będzie". Jest w nich romantyczny imperatyw; tyle tylko, że polskie dzieje ujawniły jeszcze inne powstania, niż te, które miał na myśli Worcell. Pamięć o Poznańskim Czerwcu przechowała się do czasów „Solidarności", która umożliwiła I wydanie omawianej książki w czerwcu 1981 roku.
Obowiązek poznawczy wobec zgromadzonych materiałów również swoiście był motywowany. J. Maciejewski w studium wstępnym (*Po dwudziestu pięciu latach*) pisał o możliwości posłużenia się interpretacją figuralną, której z upodobaniem używał romantyzm. Tłumaczy ona „sens wybranych epizodów historii poprzez tzw. znanych, a więc już doświadczonych, także jednak tych nie znanych, lecz widocznych w perspektywie przyszłości". I tu pojawiają się daty — symbole: 1970, 1976, 1980. „Wiemy już teraz — dowodzi autor — że tam właśnie — w Poznaniu tkwią korzenie irredenty robotniczej, która wywarła i wywiera zasadniczy wpływ na kształt naszej rzeczywistości".
Pierwsze wydanie książki zostało poprawione i rozszerzone i ukazało się obecnie, w pierwszych miesiącach roku 1990 — jako jedna z najciekawszych edycji dotyczących najnowszej historii Polski. A trzeba przyznać, że w różnych obiegach opublikwano już ich sporo. *Poznański Czerwiec 1956* nie traci jednak nic na znaczeniu, przeciwnie — nawet zyskuje, gdyż umiejętnie posługuje się efektem artystycznym, często nieznanym tego rodzaju publikacjom.
Dzieje się tak m.in. dlatego, że wydawcy położyli nacisk na to, byśmy mogli śledzić wielostronny proces odzyskiwania głosu i możliwości mówienia. Najpierw jest to odzyskiwanie swego własnego głosu przez poznańskich robotników, przez „naród powstańczy Poznania", jak to pięknie ujmuje

jeden ze wspominających. W każdej niemal relacji podaje się treść napisów (na transparentach, na murach, na tramwajach) oraz okrzyków tłumu, a także tytuły śpiewanych w pochodzie pieśni patriotycznych i religijnych. Dalej jest to odzyskiwanie głosu przez tych wszystkich, którzy — jak pisze Trojanowiczowa w przedmowie do II wydania książki — angażując się w nią, „pochyleni nad ideą i dramatem" Czerwca, musieli pokonywać „własny strach i rozmaitego typu zahamowania". W tym sensie dzieło, powstające w urzekającym klimacie „powstańczym" lat 1980—1981, świadczyło nie tylko o Poznańskim Czerwcu, ale również o miesiącach „Solidarności". Wreszcie niektóre z dokumentów, zamieszczonych w książce, powstawały w okresie stanu wojennego oraz w r. 1989. Piętno czasu odciska się tu zawsze na charakterze opowieści. Wielorakość zatem dokumentalnych i emocjonalnych warstw książki stanowi o jej aurze narracyjnej.

Tym bardziej, że została ona tak ułożona, by dostarczała możliwie największej różnorodności punktów widzenia — przede wszystkim poprzez wybranie relacji odznaczających się indywidualnym stylem. „Wieloczność" narracji daje znakomite wyniki zwłaszcza wówczas, gdy mamy możność oglądać jakiś jeden moment dramatycznej akcji z rozmaicie rozmieszczonych punktów obserwacji. Rozporządzamy też w relacjach różnorodnością losów — rannego na ulicy; pielęgniarki, która zabiera rannych do szpitala; lekarza, operującego rannych. Stawia się nas po dwóch stronach barykady — od strony studenta, któremu bieg wypadków włożył broń do ręki oraz od strony kapitana, dowodzącego oddziałem wojskowym przeznaczonym do pacyfikacji ludności. Dzień 28 czerwca 1956 roku w Poznaniu został tu swoiście „sfilmowany" przez różnych uczestników i obserwatorów. Powstała napisana przez wielu autorów historia jednego dnia.

Historycy literatury mieli szczególne wyczucia „psychosfery" (żeby użyć terminu wprowadzonego przez też poznańskiego historyka literatury, Edwarda Balcerzana), która kształtowała atmosferę miasta. W owej „psychosferze" bardziej zrozumiałe wydają się niektóre zachowania. Ludzie działają pod siłą euforycznego natchnienia — ileż razy mówią i piszą, że na widok kroczącego tłumu robotniczego (widnieje on na okładce projektowanej przez Zbigniewa Kaję) bez zastanowienia przyłączają się do pochodu. Jeden z nich powiada: „Ja byłem sekretarzem partii na oddziale, ale ja byłem także robotnikiem. Więc nie namyślając się długo poszedłem za wszystkimi...".

Motywacją przystąpienia staje się wszechogarniający powstańczy zapał, dla którego wzorem było powstanie warszawskie. „Wiedziałem, że muszę się dołączyć do manifestantów. Mój ojciec wiele ucierpiał za przynależność do AK". Styl zachowań kształtuje się nieraz spontanicznie, ale nie bez — często niezupełnie świadomego — powtarzania gestów. Dwie młodziutkie dziewczyny, które przyszły opatrzyć rannego Egona Naganowskiego, przedstawiły mu się jako „'powstańcza służba sanitarna' (zupełnie jakby przyfrunęły z dni powstania warszawskiego)". Do natchnionej „ psychosfery" należy zaliczyć również pojawiającą się niemal w każdej realcji grupę

tramwajarek, które niosły biało-czerwone sztandary. Jedni utrzymują, że kroczyły one na czele pochodu, drudzy pamiętają je jako stojące na wprost gmachu UB. Poznańska *Wolność wiodąca lud na barykady* utkwiła głęboko w wyobraźni jednodniowych powstańców, jak również fakt, że po zranieniu tramwajarek sztandar przejął 13-letni chłopiec (Romek Strzałkowski), który wkrótce zginął. Trwałe działanie na imaginację i pamięć uczestników Poznańskiego Czerwca można wytłumaczyć siłą autentycznych wydarzeń, poruszających skojarzenia z wyobrażeniami Bogini Wolności i Dziecka-Bohatera. „Psychosfera" pomagała w wytworzeniu połączenia między rzeczywistością a mitem.
Wybór i układ zapisów dni czerwcowych wynikał z obcowania redaktorów z literackimi typami wypowiedzi. Ale warsztat historycznoliteracki nie tylko w tym względzie odegrał doniosłą rolę. Trojanowiczowa podkreśla, że dokonując wyboru ze wspomnień kierowała się „ich szeroko rozumianą wartością poznawczą". A na dowód tego, jak ją pojmuje, cytowała Norwida! Nie przypadkiem właśnie. Gdyż to Norwid nauczył ją zaglądania „Epokom w głąb", odczytywania kolejnych warstw przeszłości i współodczuwającego rozumienia dramatyzmu dziejów. Kompetencje filologów i historyków literatury pozwoliły wydawcom uczynić z wybranych relacji — fakty swoiście literackie i w ten sposób wzmocnić wartość poznawczą dzieła o Poznańskim Czerwcu. Przez „literackość" i „funkcję literacką" rozumiem tu wyposażoną w efekt artystyczny celność wypowiedzi. W ten sposób np. powstało motto do książki o Poznańskim Czerwcu; zeznanie z procesów poznańskich zapisane i podane w postaci osobliwych wersetów:

— Ja mam jeszcze jedno pytanie. Może świadek powie, skąd się wzięła ta grupa ludzi z tym sztandarem, z którym siedli na czołgu.
— Ta przyszła ze strony Dąbrowskiego.
— Jak to wyglądało wszystko?
— Sztandar był rozdarty, prawda, i skrwawiony.
— Jaki to był sztandar?
— Nasz, polski.

Wymiana zdań została nieco zmodyfikowana przez twórców motta: przestawiono kolejność pytań i odpowiedzi oraz ucięto dialog w stosownym miejscu — tak, by osiągnąć wrażenie logiki artystycznej, zmierzającej do pointy. Ujawnia się w ten sposób owa Norwidowa gra tego co nadzwyczajne w zwyczajności i tego co zwyczajne w nadzwyczajności, która była również rzemiosłem poetyckim Mirona Białoszewskiego.
Po przeczytaniu książki o Poznańskim Czerwcu rozumie się, dlaczego poetą właśnie poznańskim, poetą tej psychosfery jest Stanisław Barańczak. Dzieje już na zawsze utożsamiły mu się z Poznańskim Czerwcem, jego słońcem i jego klęską. W wierszu *Historia* pisał:

Dziesięcioletni, wybiega na zapuchniętą od snu ulicę
Słońce czerwca zgrzyta pod stopą, odbite w rozsypanym szkle.

Zamknięty latawiec ciągnie za sobą wstęgę
kolejki. Ludzie milczą, z rzadka podnosząc oczy.

Gdy dziesięcioletni wraca — bez gazety — do domu, widzi dwóch policjantów usiłujących śrubokrętem (sic!) wyciąć naklejoną na słupie ogłoszeniowym na rogu — „ręcznie pisaną kartkę". Z tej kartki narodzi się nowa poezja.

Maria Janion

Literatura polska i sprawa (też) polska

Tytuł znanej sztuki Aleksandra Gribojedowa, *Mądremu biada*, powtórzony dziś z nieco przewrotnym znakiem zapytania w zbiorze szkiców literackich Marka Zaleskiego[1], zadziwiająco współbrzmi z naszą, pod tyloma względami kłopotliwą, współczesnością. Ta okaleczona przez carską cenzurę i przez wiele lat „źle obecna" (lub wręcz nieobecna) dziewiętnastowieczna satyra byłego dekabrysty na bezduszny świat bez wolności, przywołana tu i teraz w tytule innej książki, jest nie tylko zwięzłym i trafnym spointowaniem obecnej historyczno-politycznej sytuacji Polaków, polskich pisarzy i literatury. Jest ponadto przypomnieniem wspólnoty i odwiecznej niezmienności losów ludzi i dzieł niepodległego ducha w złowrogim „imperium Północy". Jak owa niezmienność i powtarzalność losów, mimo ich rozmaitych, wielobarwnych i historycznie zmiennych postaci, konkretyzuje się w świadectwach naszych współczesnych pisarzy, przypomina Zaleski, pisząc o rosyjskich doświadczeniach Józefa Czapskiego, Stanisława Vincenza czy Aleksandra Wata.
Krytyk najbardziej interesuje się przygodami człowieka myślącego, wrzuconego w wir gwałtownych dziejów, przytłoczonego niezrozumiałymi i bezwzględnymi zdarzeniami. Niezwykle zajmująca i pouczająca wydaje mu się dwudziestowieczna przygoda intelektualistów oraz artystów z historią (i polityką, będącą jej doraźnym, zmiennym kształtem) — toteż jej ślady tropi w literaturze polskiej i światowej humanistyce przede wszystkim. Pyta: jak można zachować jasny osąd spraw naszej epoki, będąc Polakiem lub Żydem; jak włączyć w rzeczywistość sytem zwycięstwem, zadowolonej Europy doświadczenie dokonanej, i wciąż dokonującej się, na jej obrzeżach katastrofy; jak przekazać Zachodowi mądrość, jaką wynieśli z klęski ci, którzy ocaleli z niej tutaj, na Wschodzie. Są to pytania i problemy wygnańców i kilku pokoleń emigrantów: Józefa Czapskiego i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Stanisława Vincenza i Czesława Miłosza, Henryka Grynberga i Adama Zagajewskiego. Oni są bohaterami szkiców literackich Marka Zaleskiego. Eseje o „żyjących cmentarzach Rzeczypospolitej", polsko-żydowskim kompleksie win, urazów, obaw i fascynacji czy rosyjskim doświadczeniu wojennym Polaków to najlepsze teksty krytyka. Niezwykle sugestywnie, i atrakcyjnie, poprzez dramatyczne losy pisarzy (wy-

[1] M. Zaleski, *Mądremu biada? Szkice literackie*, Paryż 1990.

dziedziczonych) oraz ich dzieł (długo nieznanych) ukazują historię, która runęła, zagarniając ze sobą i tratując wszystko: ludzi, światy, kultury, pozostawiając jedynie zatopione lądy oraz nie wygasającą tęsknotę ocalałych wygnańców, nie mających dokąd powrócić i nie mających z kim dzielić swej gorzkiej mądrości historycznej. To, że „Lwów jest wszędzie", jak powtarza Zaleski za wierszem Zagajewskiego, oznacza przecież także i to, że Lwowa naprawdę nie ma, i być już nie może, nigdzie. W szkicach *Mądremu biada!* pojawia się wizja Europy nie jednakowo (niesprawiedliwie?) obdzielonej doświadczeniem dziejowym, obcej sobie nawzajem i dopiero od niedawna usiłującej obcość tę pokonywać — wizja jakże odległa od pobożnych życzeń i samozadowolenia wielu Europejczyków znad Wisły. Wizerunek ten — co trzeba podkreślić — wolny jest od kompleksów i resentymentów odrzuconego przez Europę Polaka. Po części dlatego, że Zaleski należy do generacji resentymentom takim nie ulegającej. Lecz także i stąd, że pisze o literaturze, w której chęć intelektualnego opanowania katastrofy była ponad uczuciami doznanej krzywdy, rozpaczy i bezsilnych pretensji. Tę literaturę — pozbawioną politycznego zacietrzewienia, opanowaną, dojrzałą i mądrą krytyk ceni najbardziej. Jej twórców uznaje za wzory artystycznej odpowiedzialności i „zwykłej ludzkiej przyzwoitości". Wbrew coraz częstszym praktykom pobożnych recenzentów, dla Zaleskiego nie są to jednak wzory uświęcone, nie podlegające ocenom krytycznym. Wobec tych pisarzy emigracyjnych, którzy stali się sumieniem narodu, krytyk zachowuje dystans i własny niepodległy sąd, o czym choćby świadczy polemika z „surowym moralizmem" Herlinga jako krytyka literatury i literatów polskich.

Słabszą nieco częścią książki są szkice o literaturze wplątanej w narodowe „przeklęte problemy" i terapeutyczne powinności: o książkach Tadeusza Konwickiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Adama Zagajewskiego. Słabością tych recenzji — bo tym w gruncie rzeczy są owe teksty — jest ich niezdecydowanie, niemożność oceny, zastąpionej ważeniem racji. Jest to efektem szlachetnych zresztą intencji — dążenia do tego, aby być wnikliwym i sprawiedliwym czytelnikiem. Choć jest to również chyba świadectwo pewnego dylematu krytyka, pragnącego, by literatura polska mogła być duchowo niezależna wobec polityki i polskiej historii, a równocześnie stale mającego na uwadze i to, że skrzywdzony naród potrzebuje terapii wzmacniającej, seansu mitologicznego i słusznie oczekuje od twórców otuchy, pocieszenia i pochwały. Toteż Rymkiewiczowski mesjanizm, fascynacja urodą „polskiego ducha" irytuje autora, ale i porywa swoją wewnętrzną prawdą, narodowa „histeria" Konwickiego denerwuje go i zniewala, zaś wałka Zagajewskiego o „suwerenność głosu i wolność duchową polskiego artysty" budzi w nim obawy przed życiem potencjalnym, „eseistycznym" tylko, przed „duchowością niedowcieloną", czy, mówiąc innymi słowy: przed oderwaniem od rzeczywistego tu i teraz.

To drobiazgowe ważenie racji: tego, co potrzebne zdrowiu i życiu kultury oraz tego, co potrzebne psyche pokonanego narodu odciąga czasem Zaleskiego od spraw bardziej może przyziemnych, ale też ważnych. Od

tego choćby, że magnetyzm polskiego ducha, tak bardzo przyciągający „pana Mareczka", to nie tylko zniewalanie własnym czarem dusz obcych. Otóż nie da się udowodnić, że Wielki Książę Konstanty wziął więcej z naszej „duszy anielskiej" niż my z jego duszy moskiewskiej. Berent na przykład obwiniał go za to, że wszczepił w polskie dusze Moskale. A czy nasze anielstwo bardziej jest bezsporne od naszej dulszczyzny, honor od kołtuństwa a rycerskość od barbarzyństwa? Zaleski miewa zresztą podobne wątpliwości, a w recenzjach z książek Łubieńskiego czy Zagajewskiego, akceptując, choć nie bez zastrzeżeń, ich sposób widzenia polskich problemów, siłą rzeczy staje się antyrymkiewiczowski.
Wewnętrzna niekoherencja myślowa książki tym może być usprawiedliwiona, że autor dość wiernie podąża za głosami pisarzy, o których pisze, a których głosy ze sobą zestroić się nie dają. Nie jest to jednak nigdy podążanie bezwolne, o czym już wspomniałam. Nie dotyczy też wszystkich, o których Zaleski pisze. Przykładem polemiki z twórczością Andrzeja Kuśniewicza czy *Miesiącami* Kazimierza Brandysa — nieskazitelnych stylistów, pochłoniętych bez reszty „literackim" tematem i „piękną sztuką pisania". Autor szkiców ceni tych, w których książkach dostrzega szczerość przeżycia, zapis rozterek, wątpliwości, histerycznych niekiedy reakcji, świadectwo nie nazbyt „literackie", nie wystylizowaną prawdę o własnym doświadczeniu. Tym pisarzom gotów jest wybaczyć nawet to, czego sam nie lubi, zmniejszać swój krytyczny dystans, by łączyć się z emocjonalnym tonem ich dzieł. Toteż recenzje z ich książek, choć błyskotliwe i dowcipne, mniej są świetne niż syntezy literackich „prywatnych ojczyzn", „żyjących cmentarzy Rzeczypospolitej". Czy dlatego, że ważąc racje wielkie: artysty i narodu, zdają się zapominać o mniejszych, osobistych racjach samego krytyka? A jako takie właśnie — czy mają być argumentem za tym, że kondycję piszącego dziś o literaturze należy także opatrzeć sceptycznym powątpiewaniem: mądremu biada?

Lidia Burska

Socrealizm: perswazja i socjotechnika

Wojciech Tomasik[1] analizuje zjawisko, którego już *de facto* nie ma. Nie tylko dlatego, że stało się ono częścią historii, że wyparła się go większość tych, którzy mienili się jego zwolennikami, że wreszcie uległo całkowitemu rozkładowi, tak w sferze artystycznej jak i moralnej. Gdzieś zniknęły olbrzymie nakłady powieści socrealistycznych. Rozpadły się. Broszurowe w większości wydania nie wytrzymywały próby czasu. Ale też nie jest tajemnicą, że ten olbrzymi stos makulatury po cichu

[1] W. Tomasik, *Polska powieść tendencyjna 1949—1955. Problemy perswazji literackiej*, Wrocław 1988.

wycofano z bibliotek i sukcesywnie oddawano na przemiał. Socrealizmu bowiem wstydzili się wszyscy. I w ten sposób literatura tego okresu stała się antykwaryczną rzadkością. Nie jest dziś łatwo zebrać reprezentatywny komplet utworów wierszem czy prozą opiewających Stalina, plan sześcioletni, budowę Nowej Huty etc. Na modne więc pytanie — jak współżyć z socrealizmem? — o tyle trudno znaleźć odpowiedź, że obiekt pożądań stał się widmem, psychicznym urazem. Jednym słowem: straszy, ale nie podnieca. W tej sytuacji rzetelność historycznego oglądu i oceny gwarantuje poszerzający się stan badań naukowych[2]. Oprócz tego, ostatnie lata przyniosły wiele sensacyjnych wyznań i uzupełnień (*Hańba domowa* J. Trznadla, *Oni* B. Torańskiej), doskonałych analiz nienaukowych (np. *Dziennik 1954* L. Tyrmanda), sporą grupę świadectw historycznych. Jednak w gruncie rzeczy podstawę społecznej wiedzy o tamtych czasach nadal tworzą zbiory obiegowych sądów i plotek. W tym sensie stalinizm i sztuka socrealistyczna wciąż czekają na całościowe i obiektywne opracowanie.

Jaką jednak przyjemność może obiecać badaczowi zjawisko, którego większość pisarzy i czytelników wciąż słusznie się wstydzi? Które w samej swojej istocie jest zabójczo nudne, udręczone jednoznacznością „kuchennego" przepisu, politycznie i moralnie skompromitowane!

Tomasik szuka źródeł tego stanu rzeczy na płaszczyźnie językowych (i częściowo pozajęzykowych) mechanizmów perswazyjności, co jest punktem wyjścia do dyskusji o literaturze stalinowskiej w Polsce lat 1949—1955, choć możliwe są też inne ujęcia. Wprawdzie nieboszczyk należy do tego rodzaju zmarłych, o których mówi się dziś bez szacunku, z odcieniem ironii lub wzgardy, w niczym nie zmniejsza to jednak pożytków wiwisekcji naukowej.

Książkę Tomasika trudno nazwać bilansem prozy lat 1949—1955. Bilans taki musiałby posłużyć się również kategoriami socjologiczno-politycznymi. Tymczasem autor w zasadzie skupia się na zagadnieniach poetyki immanentnej wyodrębnionego zbioru tekstów, co daje mu możliwość mówienia o odrębnym gatunku powieściowym. W początkowej partii rozważań kwestia genologiczna wydaje się fundamentalną. Z rozmaitych propozycji terminologicznych: „powieść lat 1949—1955", „powieść produkcyjna", „powieść socrealistyczna", „socjalistyczna powieść środowiskowa", „powieść propagandowa" — Tomasik rezygnuje. Decyzja taka w odniesieniu do niektórych terminów (zwłaszcza „powieści produkcyjnej") może budzić wątpliwości w świadomości nie tylko krytyków literatury. Analizowane przez siebie zjawisko autor określa w sposób stanowczy mianem „polska powieść tendencyjna". Uzasadniając ten termin, pisze m.in.: „Tym, co wspólne wszystkim utworom określonym jako powieści produkcyjne, wydaje się bowiem ich perswazyjność, dążenie do kształtowania postaw i zachowań odbiorców" (s. 16). Przyjmując takie rozwiązanie, wskazuje jednocześnie na dwa nurty tradycji — ideologicznie nacechowaną prozę radziecką i polską powieść tendencyjną okresu pozytywizmu:

[2] Zob. także W. Wielopolski, *Młoda proza polska przełomu 1956*, Wrocław 1989.

„Tradycją immanentną prozy realizmu socjalistycznego, wstydliwie przemilczaną, była konwencja powieści tendencyjnej" (s.18). Konwencję tę dookreślają następujące własności: oparcie świata przedstawionego na dualistycznym systemie wartości, obecność apelu skierowanego do odbiorcy, czujnik ideowy zwany przez autora „doktrynalnym intertekstem". Tomasik wyodrębnia zespół charakterystycznych dla powieści tendencyjnej lat 1949—1955 cech stylistyczno-konstrukcyjnych: 1) ścisłe powiązanie treści propagandowych z systemem stereotypów, korzystanie ze struktur kliszowych; 2) odwołanie się do mocno skonwencjonalizowanych układów literackich, co naznacza prozę socrealistyczną znamionami kiczu; 3) dominacja struktury parataktycznej, prowadząca do addytywności faktów powieściowych i potencjalnej symultaniczności; 4) dyrektywa zacierania perswazyjnego charakteru powieści na wszystkich poziomach jej organizacji; 5) nowomowa.

Ukształtowanie stylistyczne powieści 1949—1955 można określić mianem „nowomowy". Termin ten oznaczałby po pierwsze odmianę języka zrodzoną w obrębie publicystyki politycznej i służącą przede wszystkim celom propagandowym; po drugie zjawisko podporządkowania się normom tej odmiany w wypowiedziach nie związanych bezpośrednio z obszarem jej głównego zastosowania (wypowiedzi naukowe, literatura, potoczne kontakty językowe). Nowomowa ma w powieści 1949—1955 status języka — ściślej quasi-języka (określenie Głowińskiego), nie zaś stylu (s. 34).

Nowomowa monopolizuje wszystkie kanały komunikowania, buduje świat zgodnie z zaproponowanym systemem wartości. Cechuje ją ponadto „luźna semantyka", co oznacza rozbijanie dotychczasowego systemu związków frazeologicznych i arbitralne kojarzenie ze sobą wyrażeń. Dochodzi do tego rytualizm językowy i współoddziaływanie metaforyki militarnej, słów-symboli i superlatywów. Bardzo interesujące są rozważania Tomasika na temat funkcjonowania klisz językowych występujących w powieści socrealistycznej. Wywierają one skuteczny wpływ na wyższe poziomy organizacji.

„Kliszową naturę świata przedstawionego współtworzą również aluzyjne przywołania kliszowych porządków narracyjnych, bez trudu identyfikowanych jako właśnie takie" (s. 83). Kliszowość powieści tendencyjnej 1949—1955 łączy się z tradycją literatury popularnej — romansu kryminalnego, powieści awanturniczej, powieści rozwojowej, melodramatu; z drugiej strony przywodzi na myśl pozaliterackie obszary świadomości społecznej zdominowane przez ideologiczny obraz wroga. Tutaj kryją się największe fałsze i mistyfikacje, tutaj perswazyjność staje się wyłącznie instrumentem służącym do uzasadniania przemocy.

Natrętna perswazyjność miała swoje wewnętrzne ograniczenia, swoiste „bariery wzrostu", ściśle związane z określoną chłonnością komunikatów ideologicznych, które posiada każdy indywidualny adresat i każda zbiorowość.

Co więcej można przypuszczać, że działała często ze skutkiem odwrotnym do zamierzonego, wywołując tzw. efekt bumerangowy. Złożyły się nań m.in. nieumiejętne operowanie

redundancją, zbyt natarczywe oddziaływanie mało zróżnicowanym materiałem tematycznym czy wreszcie duży rozdźwięk między „światem słownym" a „światem ekstensjonalnym" odbiorcy. Najistotniejsza przyczyna efektu bumerangowego tkwiła jednak w konflikcie strategii komunikacyjnych, a przede wszystkim w kolizji funkcji wyznaczanych literaturze 1949-1955 (s. 84).

Organizację warstwy perswazyjnej i zasady jej funkcjonowania można rozpatrywać wyłącznie na płaszczyźnie języka. Wszelako zawsze powstaje pytanie — czy jest ona tylko literacką strategią, zespołem artystycznych chwytów, czy też, przynajmniej częściowo, wchodzi w skład zadania pozaliterackiego. W moim przekonaniu powieść socrealistyczna należy do zjawisk z tego ostatniego pola. Jest (była) instrumentem socjotechniki dominującej nad życiem zbiorowości w latach 1949—1955. Stała się elementem teorii walki pojmowanej jako jedyny sposób istnienia nowych elit władzy i obsługujących te elity ośrodków propagandowo-intelektualnych. Powieść tamtych lat stała się swoistym afiszem, apelem, *quasi* reportażem, dokumentem o charakterze politycznym.

To oczywiste, że w latach stalinowskich literatura, podobnie jak wszystkie inne elementy życia społecznego dopuszczone do egzystencji w wymiarze ponadindywidualnym, stanowiła narzędzie sprawowania władzy. Realizowała wytyczone dla niej cele polityczne. Jej perswazyjność była nieblahym składnikiem stalinowskiej socjotechniki. Jeden z teoretyków zagadnienia pisze:

Socjotechniki oddziaływania na grupy i jednostki są metodami i formami walki o zdobycie, utrzymanie, umocnienie i rozszerzenie oraz przekształcenie takiej kontroli i takiego decydowania o losie innych grup i jednostek, które zasługują w pełni na miano władzy politycznej.[3]

Założenie tej socjotechniki można zredukować jako dyrektywę: należy tak budować komunikaty językowo-artystyczne, aby przy pozorach realizowania celu zbiorowości (np. „sprawiedliwość klasowa") w rzeczywistości realizowały one i legitymizowały cele założone przez partię komunistyczną (władza). Powieść stała się zatem instrumentem przyjętej teorii walki. Przecież świat wykreowanych przez nią wartości pozytywnych miał znajdować się w sytuacji śmiertelnego zagrożenia. Ta powieść-instruktaż, mówiąca o tym jak najskuteczniej zwalczać wroga w imię jedynie słusznej sprawy, ustawiała adresata w pozycji ucznia. Jej twórcy, uznając, że wszystkie środki są dobre, jeśli prowadzą do osiągnięcia propagandowego celu, stali się ofiarami automistyfikacji. Jej źródłem było założenie, iż prawda życia i sztuki tkwi w ideologii, a nie w świecie autentycznych konfliktów społecznych.

Trzeba podkreślić, że socjotechniczna warstwa powieści tendencyjnej lat 1949—1955 uległa pewnym przemianom. Przecież nie od razu opanowano wszystkie arkana nowomowy. Stopień nasycenia tekstów nowomową był niejednakowy i zmieniał się w czasie. Są zauważalne różnice między *Na przykład plewa* B. Hamery (1950), a *Obywatelami* K. Brandysa (1954) czy

[3] M.K. Mlicki, *Socjotechnika. Zagadnienia etyczne i prakseologiczne*. Wrocław 1986, s. 45.

Lewantami A. Brauna (1954). Mamy tu do czynienia z procesem: od umiarkowanej wielojęzyczności (w rozumieniu sporu racji) poprzez redukcję elementów obcych światopoglądowo oraz zmasowane natarcie klisz, stereotypów, politycznej demagogii i następnie — w końcowej fazie okresu, rozluźnienie rygorów sztywnego przepisu na socrealistyczną powieść. Tomasik unieruchamia badane zjawisko, co w przyjętej przez niego metodologii jest oczywiste, lecz w ten sposób traci ono ważną cechę: dynamikę wynikającą z przyjętej strategii i tempa walki z przeciwnikami „dyktatury proletariatu". W skład tej strategii wchodzą dwie podstawowe metody socjotechniczne: metoda kanalizacji ideałów (oddziaływanie na przekonania odbiorców, ich systemy wartości) oraz metoda intensyfikacji lęku (np. teoria dwóch wrogów: wewnętrznego i zewnętrznego, sprzymierzonych w celu barbarzyńskiego zlikwidowania odbudowanego po wojnie państwa). Powieść niemal zawsze pokazywała sukces kasty panującej i jej ideologii, metody awansu do elity władzy i bezprzykładną klęskę wszystkich przeciwników systemu. Znalazła się ona w obrębie działań manipulacyjnych *sensu puro*, co znaczy, że występował tu wysoki stopień zakłamania, polegający głównie na kamuflażu władzy i stosowanej przez nią przemocy. Operowanie takimi metodami prawie zawsze jednak powoduje wzmocnienie negatywnych nastawień u odbiorcy, po pewnym zaś czasie efekt bumerangowy osiąga poziom dekamuflażu.

Istotę socjotechniki, której narzędziem jest literacki socrealizm, określają dwie zasady: 1) niejawności oddziaływania — właściwy nadawca, bo nie jest nim przecież pisarz, ukrywa się za systemami pośredniczącymi, stosuje kamuflaż (dobrze ilustruje go slogan „władza ludowa"); 2) nieautonomii podmiotów — sterujący wychodzą od przesłanki „my wiemy najlepiej, co dla was jest dobre" i formułują szczegółowe dyrektywy dotyczące systemu wartości i sposobu życia, do których wciąż powinien się odwoływać obiekt socjotechnicznych zabiegów. Tak więc w każdym utworze socrealistycznym dominują kryteria wyznaczone z punktu widzenia systemu politycznego, bez uzgodniania interesów jednostek i grup podporządkowanych.

Dzisiaj niewiele już zostało z socrealizmu jako doktryny estetycznej wcielającej w życie założenia komunistycznej socjotechniki. Ale nadal istnieje formacja polityczna i społeczna, która tę doktrynę i tę socjotechnikę tworzyła, wprowadzała w rzeczywistość. Literatura, kultura, sztuka i obyczaj żyły dziesiątki lat pod jej ciśnieniem i siłą rzeczy zostały przez nią ukształtowane. Język formacji stalinowskiej, język komunistycznych elit przeniknął do prasy, systemu edukacji, literatury. Jest on tak zrośnięty z naszą rzeczywistością, że prawie go nie dostrzegamy. Niełatwo będzie tę rzeczywistość oczyścić. Najpierw trzeba TO wyraźnie zobaczyć. Książka Tomasika jest jednym z pierwszych poważnych kroków na tej drodze. Wnosi istotny wkład w poznanie mechanizmu językowego określającego styl działania wspomnianej formacji, nie tylko w czasach stalinowskich, ale i tych nam najbliższych. Stereotypy, klisze, fałszywe postawy rewindykacyjne, systemy wartości o rodowodzie stalinowskim głęboko przeniknęły do świadomości społecznej i nadal niewidzialnie krępują naszą dzisiejszą

kulturę. Powieść socrealistyczna zawsze wygrywała kreowane przez siebie batalie — żyła w kręgu automistyfikacji politycznej i artystycznej. Wywiedziona z teorii walki, z potrzeby socjotechniki, zmagała się z doktrynalnie ukonstytuowanym obrazem wroga, cieniem rzeczywistych zagrożeń społecznych, politycznych i kulturalnych. Po roku 1956 nagle zniknęła, ponieważ równie nagle usunięto zewnętrzny ornament stalinowskiej formacji w dziedzinie propagandy i kultury. Jeśli można tak powiedzieć, zeszła do podziemia, zmieniła oblicze. Organizowano zamknięte konkursy, przyznawano stypendia — temat pracy rozumianej w kategoriach „miękkiego" socjalizmu nadal znajdował się w horyzoncie zainteresowań oficjalnej polityki kulturalnej a ta, jak wiadomo, jest funkcją polityki w sensie ogólniejszym. Istnieje zapewne gomułkowska i gierkowska odmiana „produkcyjniaka", wyposażona w nieco odmienne struktury i mechanizmy perswazyjności. Mutacja gierkowska zyskała nowy blask w postaci serialu telewizyjnego. Mamy też we współczesnej prozie nurt wyszydzający dokonania zmutowanej literatury socrealistycznej — by przypomnieć tylko *Trenta tre* R. Schuberta czy *Oficera* T. Siejaka. Zwłaszcza w prozie Siejaka kompromitacja politycznej tendencyjności, oraz metod administracyjnego postrzegania ludzi i świata, a przy tym poważne zaangażowanie w sprawy ludzkie i społeczne upoważniają do przypuszczenia, że polska powieść o pracy osiągnęła na początku lat osiemdziesiątych, inne niż przedtem, wartościowe perspektywy, wyzbyte z obciążeń literatury wywodzącej się z formacji stalinowskiej. O tym, rzecz jasna, książka Tomasika nie traktuje. Jest to po prostu inny rozdział jeszcze do napisania.

Bogusław Bakuła

Ma swoje opracowania i legendę futuryzm, bibliografia Awangardy Krakowskiej idzie w grube tomy, doczekał się sążnistych omówień Skamander. Początki i dzieje jedynej znaczącej w latach trzydziestych grupy literackiej Żagary, jej przekształcenia i kontynuacje, światopoglądowe i ideowe rozterki jej liderów, historia kształtowania się wileńskiej wspólnoty artystycznej — wciąż jeszcze otulone są mgłą zapomnienia.
Te słowa, wyjęte z powstałej przed dziesięciu laty książki, ukazującej się — z przyczyn nie zawinionych przez autora — dopiero teraz, wydają się nadal aktualne, mimo opublikowania w ostatniej dekadzie kilku prac o Miłoszu i tomu „szkiców o żagarach" Andrzeja Zieniewicza.

Stanisław Bereś

OSTATNIA WILEŃSKA PLEJADA

Szkice o poezji kręgu Żagarów

Już do nabycia w księgarniach. Dla subskrybentów **biblioteki tekstów** taniej — tylko 20 000 zł.
Zamówienia prosimy składać na załączonym na końcu numeru blankiecie — przeznaczonym do opłacenia subskrypcji **biblioteki tekstów**.

Jest to pierwsza tak szeroko pomyślana monografia historycznoliteracka grupy wileńskiej, monografia, która świadczy o znakomitej znajomości przedmiotu, uwzględnia różnego rodzaju szczegóły, ukazuje konteksty i uwikłania pozaliterackie.

Michał Głowiński

Autor poprzez dzieje żagarystów w nowy i płodny poznawczo sposób ukazał problematykę grupy literackiej jako związku formalnego i jako wspólnoty stylowej.

Jacek Łukasiewicz

Książce Beresia trudno odmówić istotnych walorów: jest wyczerpująca, podbudowana rozległą wiedzą — zarówno historyczną jak teoretyczną, widać w niej odwagę i upór dociekliwego umysłu, chętniej zmierzającego do wykrywania komplikacji niż uciekającego się do uproszczeń.

Teresa Walas

Glosy

Duch Straconego Czasu (albo katalog dziwnych zwierząt)

Gazetę czytać można różnie, kiedyś mówiło się, że należy zaczynać od ogłoszeń i nekrologów, gdyż są to jedyne rubryki zawierające na pewno informacje prawdziwe. Nie ma to jednak aż takiego znaczenia, głód informacji rozwija się zupełnie niezależnie od rzeczywistej wartości a także potrzeby ich posiadania i możliwości posłużenia się nimi do jakichś konkretnych, ściśle określonych celów, inaczej bowiem nikomu nie przyszłoby do głowy, że można z wyczytywania płachty marnie zadrukowanego papieru czerpać nawet swoistą przyjemność. Oczywiście komunikat ma pewną — większą czy mniejszą wartość relacjonującą, przyjemność czytania gazety opiera się jednak na czymś bardziej elementarnym — satysfakcji z kontaktu z jakąś realnością. Niektórzy zresztą czerpią równie autoteliczną przyjemność z innych czynności —jak wyglądanie oknem w celu zbadania, jacyż to ludzie chodzą po ulicy i właśnie to ma dla nich podstawowe znaczenie. Chodzi w tym wszystkim, jak przypuszczam, o pewien nawyk informacyjny, dopuszczanie do pamięci chwilowej dużej ilości danych, bez potrzeby zapamiętywania ich na dłużej.

Czytanie gazety może nawet stać się nałogiem związanym z pewnymi sytuacjami: jazdą pociągiem czy śniadaniem i tym też tłumaczę fakt, że sukces akcji bojkotu prasy był zwykle połowiczny, nie większy jak „Dnia bez papierosa". Sytuacja polskiego nałogowca, przyzwyczajonego do codziennej gazetowej strawy była w latach osiemdziesiątych dość kłopotliwa.

Cala sfera informacji politycznej i gospodarczej była tak skonstruowana, że wydawało się, iż nie dzieje się zupełnie nic. Wydzielenie właściwych danych z dziennikarskiego mętnego sosu. w którym się topiły, wymagało dość skomplikowanych operacji interpretacyjnych i grzebania w czymś odstręczającym. To było naprawdę trudne zadanie — odnaleźć, choćby skromny, konkret, który kryl się na przykład pod hasłem „Ruch w postępie technicznym"[1] czy też „Umocnienie ożywienia". Ten gatunek artykułów 0 nieokreślonej zawartości, wyróżnianych zwykle wielką czcionką w tytule 1 honorowym miejscem pod winietą, przeważnie wcale nie nadawał się do użytku, nie mówiąc już o czerpaniu satysfakcji przy porannej kawie, której smak mógł zepsuć. Coś t ' [illegible] 1 "czytać raz na jakiś czas, dla zorientowania si [illegible] w tej chwili władza uznaje za pożądany u pr;

Głód informacji musiał b^c z a^ ^j-u.j vzynis-nrnyriT. W poetyce gazet codziennych dystans między informacją czystą, opartą na klasycznych regułach: co? gdzie? i kiedy?, a nieczystą — czyli wplecioną między dydaktyczne sekwencje i wyposażoną w morał polityczny — stal się wyjątkowo wyraźny. Domeną tego pierwszego typu były wiadomości sportowe i sensacje z szerokiego świata, tego drugiego — informacja przede wszystkim krajowa. Doszło nawet do tego, że skądinąd szacowne organy, nie pozbawione jednak ambicji kontaktu z czytelnikami zaczęły doceniać coraz bardziej bulwarowe sensacje, niezwykle rekordy i cudowne przypadki 0 szczęśliwych lub nieszczęśliwych skutkach. Czy to „Glos Wybrzeża" czy „Pojezierza", jakaś „Trybuna" („Opolska", „Lubelska", a nawet, o zgrozo! „Ludu") obok namaszczenia — pogoń za konkretem i to bardzo szczególnego rodzaju, bo przecież wciąż trzeba dowodzić, że gazeta chwyta na bieżąco 1 opisuje co się dzieje. Gdyby nie nienormalna sytuacja można by przeprowadzić studia nad tym, o jakich dziwnych rzeczach ludzie lubią być informowani. Ponieważ jednak w wielu dziedzinach informowanie bywało trudne, cala sprawa przestawała być niewinna, zaczynała wchodzić w różne konteksty.

Mimo to można pozwolić sobie na kilka obserwacji. Przede wszystkim ludzie lubią być informowani o życiu zwierząt. To, co powiedziałam wcześniej pozwala wykluczyć niskie przypuszczenie, że to dla jakichś konkretnych korzyści lubimy wiedzieć, że na przykład czarny kocur z Sidney jest drugim co do wagi kotem na świecie, waży 22 kilogramy,

[1] „Życie Warszawy". 5—6 marca 1987. Jednostki innowacyjne po pierwszych miesiącach. Ruch w postępie...

wypija codziennie butelkę śmietany i mleka, zjada paczkę biszkoptów i kilo mięsa[2]. Największy pies na świecie żyje w Londynie[3], zaś najmniejsze krowy — w Zimbabwe. Oczywiście informacje te są skrzyżowaniem dwóch zasad: ulubionego tematu z porządkiem wielkości. Dobrze jest bowiem wiedzieć dokładnie, ile czego jest, ile co waży, mierzy i zjada. Wszelkie rekordy podniecają wyobraźnię. Można jednak w odniesieniu do nich sformułować regułę, potwierdzoną wieloletnimi obserwacjami: nie zdarza się, żeby jakieś największe, albo choćby najmniejsze zwierzę żyło w Polsce. U nas rodzą się tylko świnie o dwóch ryjach, byczki-potwory i tym podobne.

Zwierzęta mają też często związek z niezwykłymi zdarzeniami — zaspokajają więc potrzebę fabuły. Oto na przykład pewna kaczka z pięciorgiem dzieci (poetyka gazety nie znosi niedokładności, musi być powiedziane dokładnie, ile było kaczątek) przechodziła przez autostradę w Berlinie Zachodnim i spowodowała wywrócenie się cysterny z 30 tysiącami litrów oleju opałowego, co pociągnęło za sobą zahamowanie ruchu na tym odcinku autostrady na 8 godzin, utrudnienie żeglugi, pracę kilku brygad i straty na ponad 200 tys. marek[4]. Natomiast do domu państwowego Quoveron na przedmieściach Los Angeles przez komin dostało się około 2000 małych ptaszków o nieustalonej tożsamości, prawdopodobnie w trakcie przelotu wędrownego. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami przez 4 godziny usuwało ptactwo przez drzwi — ale ono tak upodobało sobie dom, że wracało natychmiast kominem. W domu były obecne też dwie papużki i tuzin kurcząt[5]. Pewien mieszkaniec Londynu trzyma rój pszczół pod łóżkiem, nauczył owady wlatywania i wylatywania przez okno i udowodnił, że współżycie z nimi jest możliwe. Za to pewien żółw w Hongkongu okazał się groźny dla otoczenia, gdyż spadając z okna wielopiętrowego budynku zranił 32-letniego przechodnia[6]. Policja zaaresztowała żółwia, aby wyjaśnić, czy stało się to przypadkiem, czy też miał on takie intencje.

W porównaniu ze zwierzętami rośliny są mniej ciekawe, mogą tylko bić rekordy wielkości. Na przykład pewnien rolnik algierski wyhodował

---

[2] „Dziennik Polski", 2 października 1987, w dziale „redaktor depeszowy podaje".

[3] „Jest to siedmioletni rasowy brytan o wadzoe 140 kilogramów. Jego długość od głowy do końca ogona wynosi 2,54 m a obwód szyi około 96 cm. (...) Zjada dziennie około 5 kilogramów mięsa wołowego, a do tego biskwity, ząbki czosnku, witaminy i wątróbki z dorsza." Natomiast „DW — magazyn" z 2—4 października 1987 donosi: „Totore waży już 1 kilogram" (chodzi o ślimaka, który trafił do księgi Guinnessa).

[4] Wydarzenie to odbiło się szerokim echem w polskiej prasie, tu opieram się na „Gazecie Robotniczej" z 19 maja 1987.

[5] „Słowo Polskie", 5 maja 1987.

[6] Wiadomość z serwisu PAP.

14-kilogramowego ziemniaka, nie stosując specjalnego nawożenia[7]. Prawdę mówiąc, to zainteresowanie liczbami i miarami wygląda czasem na nadmierne, a nawet przeradza się w jakąś obsesję. Zwierzęta nie są niczemu winne, kategorie: największe, najmniejsze i wyraźna mania wielkości świadczą o całkowicie ludzkim odchyleniu, powszechności dewiacji o łagodnych formach. Najwyraźniej objawia się ona w manii konstruowania ogromnych przedmiotów, przy czym budowanie ich uważam za formę aktywną dewiacji, a gazetowe kibicowanie tej gigantomanii za — nie mniej aktywną — kompensację. Na przykład we Francji zbudowano największe skrzypce, które ważą 600 kg i mają 7,44 m długości[8]. Hiszpański szewc wykonał zaś największe na świecie buty męskie o długości 130 cm i wadze 75 kg. Pytanie — po co? uważam w tym wypadku za naiwne i banalne, oczywiście po to — aby napisali o nim w gazecie. Poważniejszy wydaje mi się problem, że ludzie chcą pisać i czytać właśnie o tym, jak również, że w polskiej prasie był to długo prawie jedyny gatunek, w którym informację ceniono dla samej informacji, bez potrzeby wpisywania jej w zaplanowaną z góry wizję świata. I na dodatek te wyskoki o wyraźnych cechach psychotycznych zaczynały w jakiś sposób tworzyć kontrpropozycję, konkurencję do tego, co potocznie nazywane było paranoją, oczywiście nieściśle, ale nie bezpodstawnie. Słowo to, wypowiadane również nieprawidłowo, z długim (obrazującym rozmiar zjawiska) pierwszym „a" i przesuniętym na czwartą sylabę od końca akcentem, od lat służyło jako określenie ogólnej sytuacji polskiego życia. Potoczna diagnoza kładła więc szczególny nacisk na zaburzenia normalnej, reprezentowanej przez świadomość potoczną, logiki. A więc: są telefony, ale nie działają, są przedsiębiorstwa, ale nie produkują i nie przynoszą zysków, są wreszcie gazety — ale nie informują.

Mamy więc do czynienia z dwoma rodzajami odchyleń: ogólną „paranoją", która rozwija się i odzwierciedla przede wszystkim w dziale (dez) informacji krajowej oraz nie mniej psychotyczną manią w dziale informacji sensacyjnej, objawiającą się najwyraźniej w stosunku do zwierząt i liczb. Najbardziej interesujące wydaje się jednak to, że oba te zjawiska, występujące obok siebie na jednej gazetowej szpalcie, sąsiadując ze sobą zaczynały interferować — prowadząc do efektów jeszcze bardziej dziwacznych. Oto na przykład pewna część wiadomości sensacyjnych dawała się czytać jako krypto- czy też aluzyjnie polityczne — jak taka, że w Moskwie, bez wyraźnej

[7] „Słowo Polskie", 3 lutego 1987.

[8] Można tu też dodać placek-potwór, usmażony przez szefa hoteli w Cheltenham w zachodniej Anglii. Naleśnik miał 7,6 m średnicy.

przyczyny, pojawiła się gęsta mgła, która na trzy dni całkowicie zasnuła Plac Czerwony[9]. Albo też notatka z maja 1987: „W roku ubiegłym na przedmieściach Władywostoku złapano 6 tygrysów ussuryjskich, podczas gdy w roku bieżącym 7".[10]

Z kolei pewne sygnały w informacji i publicystyce krajowej można było interpretować w duchu sensacji, jak na przykład tytuł artykułu o konieczności wzięcia się do roboty „Z próżnego i Salomon nie naleje a cóż dopiero Polacy", albo jeszcze lepiej — „Można nalać i z próżnego, jeżeli się pomyśli".

Na jednej stronie poważnego organu lokalnego dochodziło bowiem do konfliktu dwóch poetyk. Stara dziennikarska zasada mówi, że jeśli pies pogryzł człowieka, nie jest to powód do informacji, informacja byłaby gdyby stało się odwrotnie. Sensacja budowana jest na zasadzie katalogu odstępstw od normy, regularnego przebiegu zdarzeń, interesują ją wyłącznie największe (psy, koty, ludzie) i wyjątkowe (jak przeszczepienie dziadkowi serca wnuka) wydarzenia. Szewc, który robi buty oczywiście jest bezwartościowy, chyba że zrobi całkowicie bezwartościowe, ale za to największe na świecie buty dla olbrzyma. Natomiast poetyka informacji krajowej od lat usiłowała wbrew gazetowej zasadzie sensacyjności forsować normę: informowano właśnie o tym, że na przykład Zakłady „Radoskór" wciąż robią buty a Zakłady im. 22 Lipca produkują czekoladę (na rynek krajowy i na eksport). Obowiązywał bowiem srogi racjonalizm, a z gazety płynąć miał wniosek, że wszystko toczy się s w o i m trybem. Donoszono więc nieustannie, że zakłady mleczarskie produkują mleko (i jego przetwory), a ceramiczne — ceramikę (oczywiście „w bogatym wyborze"), co było również formą honorowania pracowników różnych pożytecznych gałęzi gospodarki, pozostałością jeszcze z lat pięćdziesiątych. Do czytelnika apelować powinna właśnie uspokajająca regularność, co było jeszcze jednym objawm „paranoi" rozwiniętej.

Tymczasem sensacja nie jest w gazecie czymś wyjątkowym, jej reguły można rozciągnąć na całą poetykę gazety: donosi się o czymś, gdy jest to albo nowe, albo niezwykłe, szczególnie złe lub szczególnie dobre, na przykład właśnie coś wybuchło, bądź wyprodukowano coś rewelacyjnego czy też coś chyli się ku bliskiemu upadkowi albo rozkwita nadspodziewanie. Oczywiście, gdy zakłady obuwnicze produkują czekoladę, a mleczarnia, powiedzmy, sposobi się do wytwarzania podzespołów elektronicznych — można o nich napisać. I tak zdarzało się również, bowiem wizja

[9] Stało się to w październiku 1987.

[10] „Głos Pomorza" z 5 maja 1987.

regularności i uporządkowania świata była niczym więcej jak próbą zamaskowania wszechotaczającego absurdu, dawno już rozpoznanego przez świadomość potoczną jako „paranoja". Na przykład „Gazeta Współczesna" z kwietnia 1988, pod nagłówkiem „Proletariusze wszystkich krajów..." (dziennik PZPR odznaczony orderem „Sztandaru Pracy") przyniosła wiadomość, że Zakłady Rybne w Giżycku, podlegające służbowo pod resort Komunikacji, przerabiają śledzie i zdementowała optymistyczne podejrzenie, jakoby udało się wyhodować, przy pomocy krzyżówek, gatunek śledzia jeziornego, mazurskiego.

Poetyka gazety z natury przewiduje pewną dozę histeryczności w swoim nastawieniu na to, co nadmierne, nadzwyczajne i dziwne. Tymczasem wymogi polityki propagandowej wymagały stale postępowania niezgodnego z tymi regułami, preferowania regularności i normy w celu przeciwstawienia się dominującemu w społeczeństwie poczuciu absurdu i rozpoznaniu rzeczywistości jako serii aberracji, preferowanemu przez świadomość potoczną. W latach osiemdziesiątych oficjalną wykładnią interpretacyjną popularyzowaną — ale bez oszałamiających sukcesów, przez prasę można by określić tak: „co prawda nie jest dobrze, ale są pewne symptomy, że być może zmienia się na trochę lepsze", co w porównaniu z ofensywnością propagandy o dekadę wcześniejszej, gdy wszystko zdecydowanie zmieniało się na coraz lepsze i doganiało światową czołówkę wypada uznać za przejaw pewnego liczenia się z realiami. Trzeba tu jednak i wyrazić żal: gazety lat osiemdziesiątych, ostrożne i jakby nawet trwożliwe nie były już natchnieniem poezji! Ich wykorzystanie takie jak we wczesnych tekstach Barańczaka czy w słynnym utworze Lecha Dymarskiego *Nasze lokomotywy są coraz lepsze* przestało być możliwe.

Pozornie zmieniło się tak niewiele. W 1971 roku Ryszard Krynicki napisał wiersz *Nowa pasza* na podstawie autentycznej notatki prasowej o tym, że gazety „zmieszane z witaminami, soją itp."[11] mogą stać się pożywieniem dla krów. Wyraźnie zafascynowała go wizja krowy unicestwiającej narzędzie kłamstwa. Obraz ten miał wielką siłę przyciągania, notatkę tę z innego źródła przytacza również w swoim dzienniku Jerzy Andrzejewski określając to jako „wynalazek bulwersujący wyobraźnię":

Przerabianie papieru gazetowego na karmę dla bydła polega na rozmoczeniu go na papkę. Następnie na papce tej rozsiewa się zarodniki pewnych grzybków. Na przerobienie jednaj partii już rozmoczonych gazet na paszę wystarczają 24 godzniy[12].

---

[11] R. Krynicki, *Nowa pasza*, *Niepodlegli nicości*, Nowa 1988, s. 30.

[12] J. Andrzejewski, *Z dnia na dzień*, t. 1, Warszawa 1988, s. 53, na podstawie „Ekspresu Wieczornego".

Krynicki sugerował nawet, że być może stanie się to przyczynkiem do rozwiązania także problemu telewizorów, czołgów i hut żelaza. W latach osiemdziesiątych następuje wyraźne przesunięcie akcentów, przede wszystkim więcej myśli się o zwierzętach, do tej pory traktowanych dość, trzeba przyznać — instrumentalnie. Wyobraźnia podsuwa katastrofalny obraz skutków takiej diety, ale i sama wizja przeznaczenia wszystkich gazet na pożarcie kłóci się z rozwojem ich rozumienia. Metody lektury stały się dużo bardziej wysublimowane i powoli okazywało się, że sama gazeta może być w naturalny sposób poetycka, zdradzając skłonności surrealne.

W latach osiemdziesiątych publicystykę opanowała składnia „tak — ale": mamy duże zanieczyszczenie środowiska (tu trochę dość katastroficznych liczb), ale właśnie powstaje program ograniczenia emisji, albo: szerzy się (albo lepiej — czai pod ladą) salmonella, ale podjęto już stosowne decyzje administracyjne. Ogólna teza propagandy była dość skromna: co prawda jest źle, ale będzie trochę lepiej, a poza tym inaczej być nie może. Taka ideologia, której mocny początek widzę w interpretacji wprowadzenia stanu wojennego obowiązywała do 1989 roku, a częściowo trwa i do dzisiaj, siłą inercji i z braku lepszych pomysłów. Coś w rodzaju rozłożenia rąk: trudno t a k i e jest życie — szare, dość nudne i ciężkie. Ale jednocześnie ta część informacji, której nie obowiązywały trendy ideologiczne i wykładnie kontrolowane zajmowała się udowadnianiem, że życie t a k i e nie jest, a zupełnie inne! Tyle, że najczęściej toczy się ono gdzie indziej, daleko od nas. Czasem to dobrze, bo na przykład tygrysy ussuryjskie nie spacerują po naszych ulicach, ale czasem źle: nasze koty nie mają szans na zatrudnienie w siedzibie premiera — jak niejaki Orlando, którego kandydaturę rozważała pani Thatcher. Polska sensacja zawsze skupiona była głównie wokół smutnych nałogów: pewien pan w Olsztynie zgłosił się sam do izby wytrzeźwień z obawy przed żoną[13], a przed aptekami zaobserwowano kolejki czekające już przed otwarciem po tanie preparaty na spirytusie (krople miętowe, wyciąg z jemioły, azulan, nervosol).

Dalsze przemilczanie sprawy do niczego nie prowadzi, a przeciwnie, można się obawiać, że niebawem wokół aptek będą się gromadzić takie grupki towarzyskie, jak wokół budek z piwem

— przewidywał „Sztandar Ludu"[14].

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że prasa stała się zupełnie niepoetycka. Jej wykorzystanie wymagałoby jednak typu wyobraźni surrealnej, podczas gdy lingwistyczna wrażliwość poezji Nowej Fali

[13] „Gazeta Olsztyńska", 2 października 1987.

[14] „Sztandar Ludu", 19 listopada 1987, artykuł: *Do apteki na nalewkę*.

reagowała na nowomowę, na czysto językową atrakcyjność mechanizmu propagandy. W latach osiemdziesiątych perswazja przybrała inne formy — na dodatek niekonsekwentne. Gazeta bowiem nie może uciec od swojej funkcji zasadniczej: informowania, co się stało nowego i niezwykłego, a niezwykłe zaczyna pożerać obraz rzeczywistości jako realizacji całkowicie racjonalnych i wykluczających wszelką fantazję smutnych praw jak to, że co jest — być musi. Nie musi i nie było tak, zwłaszcza wtedy.
Myślę, że w natężeniu walki między racjonalnością a aberracją w świecie „paranoi" wyrażał się najpełniej duch czasów absurdalnych, którego możemy też nazwać Duchem Straconego Czasu (na naprawianie nienaprawialnego). Najpełniej stan ten rozpoznała i wyraziła Pomarańczowa Alternatywa, ale mam dowody, że było to dość powszechne. Na przykład Tadeusz Komendant, ostatnio surowy krytyk „Tekstów Drugich"[15], a zwłaszcza ich okładki, w roku 1987 nie rozstawał się prawie z wyjątkowo okropnymi w smaku, ale odpowiadającymi jego nastrojowi, czekoladkami „Druga Młodość w polewie kakaowej", wyprodukowanymi z okazji 40-lecia SPPS „Wrocławianka" i tak się przyzwyczaił do ich estetyki, że trudno mu się pogodzić z czymś, co nie kontynuuje tej linii.
Z czytania prasy zawsze, także w czasach absurdalnych, wynikały wielorakie pożytki. Nawet z najnudniejszej gazety da sią coś wykrzesać. Wyostrzenie poczucia absurdu jest niewątpliwą zasługą lat osiemdziesiątych, a to jest nowa jakość, zdobycz świadomości, jaką zawdzięcza ona nałogowi, który nie musi być naganny. Walka dwóch aberracji pogłębiła wrażliwość na elementy surrealne w życiu. Między tymi, którzy startowali pod hasłem „prasa kłamie", a tymi — którzy nauczyli się bawić dziwacznością jej stylów reagowania jest różnica pokolenia. Natomiast przyszłość jest, jak zwykle, niepewna i niewiadoma.

[15] „Tygodnik Literacki" 1990, nr 3.

Walter Żelazny

U źródeł nowomowy

Twoje myśli nigdy nie są całkiem twoje
Orwell

Analizy nowomowy i jej genezy w powieści *1984* Orwella są bardzo powierzchowne i ograniczają się do kilku konstatacji ogólnych. Krytyka literacka nie bada nowomowy Orwella pod kątem interlingwistycznym, nie porównywała jej z takimi językami, jak na przykład esperanto czy Basic English. W niniejszym eseju chcemy przedstawić to nieznane, a zdumiewające podobieństwo lingwistyczne.

Maciej Broński słusznie uważa, że Orwell „był zawodowo czuły na jakość języka, ale polityka nauczyła go, że język jest narzędziem, którym sięga się do ludzkich umysłów"[1] (s. 25).

Mniej więcej taki jest dzisiaj stan wiedzy o genezie nowomowy. Nie wyjaśnia się natomiast, skąd Orwell czerpał pomysły na gramatyczne jej rozwiązania. O ile od strony ideologicznej krytyka poradziła sobie w zasadzie z rozwiązaniem koncepcji powieści, o tyle pozostawiła na boku pytanie o źródła interlingwistycznych eksperymentów pisarza.

---

[1] Cytaty z *1984* na podstawie wydania Instytutu Literackiego, Paryż 1979, w przekładzie Juliusza Mieroszewskiego, z przedmową Macieja Brońskiego.

Esperanto a nowomowa

Orwell tak charakteryzuje lingwistycznie nowomowę: „Gramatyka nowomowy odznaczała się dwiema szczególnymi właściwościami. Jedną z nich była całkowita wymienność między częściami mowy" (s. 295).
Język esperanto skonstruowany jest w ten sposób, że do słownictwa (leksyki), pochodzenia głównie romańskiego, Ludwik Zamenhof, jego twórca, dostosował gramatykę języków aglutynacyjnych (np. turecki, węgierski). Słownik esperancki nie podaje hasła (wyrazu) w kategorii gramatycznej, jedynie zaś abstrakcyjny rdzeń leksykalny. Orwell pisze: „Nie istniało słowo myśl — zastępowało je słowo myśleć, spełniające rolę czasownika i rzeczownika równocześnie" (s. 296).
W esperancie słownik podaje nam hasło „myśl" *pens'* i dopiero po dodaniu odpowiedniej końcówki (sufiksu) wiemy, czy chodzi o czasownik *pens'i*, rzeczownik *pens'o*, przymiotnik *pens'a* czy przysłówek *pens'e*. Rdzeń zawsze pozostaje nienaruszony. To właśnie miał na myśli Orwell, pisząc o wymienności między częściami mowy.

Drugą ciekawą właściwością gramatyki nowomowy była jej regularność. Z wyłączeniem kilku wyjątków, omówionych poniżej , wszystkie czasowniki odmieniały się jednakowo i kończyły się na *dl*. Czas przeszły od kraść był *kradł* od myśleć *myśladł* itd. (s. 297).

Podobnie tworzy się czasy w esperancie — dodając do rdzenia odpowiednie końcówki (zawsze te same dla danego czasu, przy wskazaniu zaimkiem osoby): *mi pens'is* myślałem, *li pens'as* myśli, *ni pens'os* pomyślimy. Właśnie te dwie główne zasady nowomowy — jak pisze Orwell — charakteryzowały jej gramatykę. I równocześnie te dwie cechy esperanta: aglutynacyjne łączenie prefiksów i sufiksów z rdzeniami oraz niezmienność reguł gramatycznych, znamionują ten język w całości, czyniąc go w pełni sprawnym lingwistycznie, o przejrzystych strukturach i o nieporównywalnej łatwości wyuczenia się go.
Podobieństw gramatycznych między nowomową a językiem esperanto jest znacznie więcej. Dla jasności wykładu zilustrujemy je jeszcze kilkoma przykładami. „Liczbę mnogą w nowomowie tworzyło się przez dodanie *a* — i tak liczba mnoga człowiek, wół, życie — brzmiała człowieka, woła, życia" (s. 297). W esperancie — przez dodanie do wyrazu końcówki *j*: człowiek *homo*, ludzie *homoj*; wół *bovo*, woły *bovoj*, itp. Stopniowanie przymiotników było równie regularne (s. 297), tak też jest w esperancie. Stopień wyższy uzyskuje się przez dodanie *plej*, zaś najwyższy przez dodanie *la plej*: *bona* = dobry, *plej bona* = lepszy, *la plej bona* = najlepszy.

„W dalszym ciągu każde słowo nowomowy mogło nabrać znaczenia negatywnego przez dodanie przedrostka nie" (s. 269).
W esperancie tę rolę spełnia przedrostek (prefiks) *mal*: *bona* = dobry, *malbona* = zły; *alta* = wysoki, *malalta* – niski; *bela* = piękny, *malbela* = brzydki.
Z lingwistycznego punktu widzenia nie istnieją inne języki, z których Orwell mógł czerpać swoje pomysły gramatyczne. Wprawdzie przed esperantem prałat bawarski M. Schleyer (1831—1912) stworzył język volapük, w mieszanej strukturze aglutynacyjno-fleksyjnej, ale język ten cechował znaczny brak redundancji, co stwarzało kłopoty percepcyjne w jego odbiorze. Dopiero esperanto (1878) spełniło wszystkie warunki stawiane językowi jako takiemu. Po nim powstały setki innych projektów tzw. języków sztucznych, ale były one najczęściej jakimś dialektem esperanta. W zasadzie po esperancie nie powstało nic oryginalniejszego, z wyjątkiem chyba Basic English. Basic English również przydał się później Orwellowi w jego zamysłach lingwistycznych.

Basic English a nowomowa

C.K. Ogden opracowując Basic English (1920—30) miał na celu uproszczenie języka angielskiego do 850 słów-kluczy tak, by można było szybko wyuczyć obcokrajowców porozumiewania się w tym okrojonym języku. Podczas II wojny światowej Orwell zainteresował się pomysłem Ogdena. W 1942 roku otrzymał od niego dwa listy, ale do samego Basic English nie nabrał przekonania. Esperanto wykazuje podobieństwa strukturalno-gramatyczne do nowomowy, zaś leksykalne do Basic English. „Niemal wszystkie te słowa wzięto w całości z dawnej angielszczyzny w ich dosłownym brzmieniu" (s. 295) — pisze o nowomowie Orwell.
Główne podobieństwo między Basic English a nowomową polega na tym, że tu i tam słownictwo wzięto z angielszczyzny, ale ograniczono je i przystosowano do potrzeb obcokrajowców (w nowomowie — potrzeb proletów), gdyż słownika „nie można było używać dla celów literackich, politycznych czy filozoficznych" (s. 295).

Nowomowa a interlingwistyka

Interlingwistyka (lub planlingwistyka, zależnie od rozłożenia akcentów badawczych) to dziedzina z zakresu językoznawstwa

i nauk społecznych, zajmująca się językami międzynarodowymi planowo powołanymi przez człowieka do tej roli.
Czy nowomowa Orwella z lingwistycznego (a nie literackiego) punktu widzenia jest możliwa? to znaczy, czy można byłoby się nią posługiwać? Gdyby Orwell przeprowadził studia interlingwistyczne, z pewnością wprowadziłby ciekawe rozwiązania językowe. Tylko że jego zamiarem było coś zupełnie innego. W interlingwistyce chodzi o planowanie i stosowanie optymalnych rozwiązań lingwistycznych umożliwiających porozumienie ponadnarodowe. Natomiast Orwell nie stwarza nowomowy, by „przyspieszyć postęp ludzkości", ale by uwidocznić nam, że z totalitarnego punktu widzenia świadomość jest tym, co się cały czas tworzy w na nowo pisanej przeszłości i zaplanowanej już w sprawozdawczości przyszłości. A za najważniejsze narzędzie takiego urabiania świadomości uważał język. Skoro istnieje sprzężenie między myśleniem a językiem, to czy nie da się przez konstrukcję odpowiedniego języka urabiać myśli?
Ta właśnie idea stała u podstaw dzieła opisującego żywot Winstona Smitha. W Anglo-Soc dokonuje się, nieznany jeszcze w dziejach ludzkości, eksperyment fizycznego unicestwienia psychiki środkami anty-psychoterapeutycznymi. Tu już nie chodzi o zburzenie semantyki, o nazwanie wojny pokojem, zła dobrem itp. Chodzi o wywołanie takich asocjacji językowych, które trwale przerobią tkankę mózgową, dokonają zmian genetycznych. Tego nie da się przeprowadzić metodami tradycyjnymi, przez zmiany znaczeniowe. Zabiegi polegające wyłącznie na operacjach semantycznych, takich jak np. nazwania lodowatego giganta Grenlandii przez Rudego zieloną ziemią, znane są w dziejach ludzkości od niepamiętnych czasów. Orwell zmierza do ciekawego odkrycia: do wykazania, że odpowiednio spreparowany język staje się obrońcą czystości doktryny. Taka była rola języka w Anglo-Soc.
W Anglo-Soc język zmienia się w skalpel i przykraja umysł do potrzeb ideologii. Prolet nie jest już robotnikiem, lecz mutantem robotnika — jakkolwiek zmiany psychiczne nie wywołują zmian fizycznych, prolet jest atrapą. Przeobrażeń tych nie zauważa ani on sam, ani inni, stąd nikt nie protestuje przeciw tej, pozostającej poza świadomością, procedurze. Językoznawca Syme zwraca się do Winstona jeszcze w mowie, która nie wywołuje zmian konstrukcji psychicznej człowieka, by oznajmić, że: „najpóźniej w roku 2005, nie będzie już na świecie człowieka, który by w ogóle mógł pojąć i zrozumieć rozmowę jaką w tej chwili prowadzimy" (s. 79). Orwell spotkał się po raz pierwszy z problemami interlingwistyki podczas pobytu w Paryżu w latach 1928 – 1929. Przebywał tam w środowisku

anarchistycznych esperantystów, członków *quasi*-organizacji, która istnieje do dziś: *Sennacieca Asocio Tutmonda*, czyli Bezpaństwowy Związek Światowy (SAT). W latach trzydziestych świat dowiadywał się o coraz to nowych językach starożytnych i współczesnych — „egzotycznych". W tym czasie powstaje amerykańska szkoła antropologiczna Sapira — Whorfa, która głosi, że myślenie i język to jedno. Problemy tożsamości języka i myślenia były wówczas bardzo popularne, rozpatrywano je z pozycji kilku dyscyplin i szkół filozoficznych, lingwistycznych i społecznych. Jeśli dodać do tej obowiązującej wiedzy językowej, wchodzącej w skład ówczesnej ogólnej kultury, późniejsze obserwacje Orwella poczynione na językach propagandy faszystowskiej i komunistycznej, uzyskamy odpowiedź na pytanie o genezę nowomowy. Esperanto posłużyło pisarzowi do gramatyki, Basic English do słownictwa, zaś języki propagandy totalistycznej do powiązań struktur gramatycznych i leksyki z potrzebami ideologicznymi nowomowy.

Orwell a ruch esperancki (Fronda anarchistyczna)

Krytyka literacka nie wspomina o powinowactwach esperanckich Orwella, przypisując pisarzowi całkowitą oryginalność w poszukiwaniach lingwistycznych. Ale holenderski krytyk literatury esperanckiej, Bert de Wit, analizuje bliżej to zagadnienie. Podaje on wykaz esperantystów, w tym wybitnych, z którymi Orwell utrzymywał kontakty. W konkluzji swojej pracy Wit stawia następujący zarzut książce Bernarda Cricka *George Orwell — A life* (Penquin, 1980):

> Idee tych lewicowych esperantystów opisanych przez Cricka są wystarczająco zniekształcone (...). W opisach uwidacznia się bardziej uprzedzenie Cricka do esperanta, niż próba ujawnienia historycznej prawdy.

Sam Orwell zresztą także nie ujawnia esperanckich powinowactw, bo musiałby ujawniać, jak się zdaje, sprawy rodzinne.
Również Światowa Unia Esperancka UEA, współautorka koncepcji „nowego ładu informacyjnego" UNESCO[2] i jej członek, milczy o znanych jej związkach między esperantem a Orwellem. Z nieznanych powodów w 1984 Brytyjski Związek Esperantystów wycofał z planów wydawniczych przygotowane już do druku główne dzieło Orwella. Dlaczego więc nie było

[2] Walter Żelazny, *Esperanto bez nadziei*, „Kontakt" nr 54, Paryż 1986.

nam dane dotrzeć do prawdy? Można snuć najróżniejsze domysły, ale najpierw należy ustalić pewne fakty[3]. Matka Orwella, Ida Limuzin (ur. 1875) miała ojca Francuza. Jej siostra Kate przyszła na świat w 1879 r. Kate była kobietą niezwykłą, a pisarz utrzymywał z nią stałe kontakty. To ona skłoniła Orwella do wyjazdu do Paryża, po jego rezygnacji w 1927 r. z kariery oficera kolonialnej policji brytyjskiej w Birmie. Kate, feministka, a zarazem gorliwa komunistka, późniejszy wróg sowietyzmu, do 1924 r. esperantystka, stała się wkrótce towarzyszką życia Adama Lantiego (1879—1947)[4] — rewolucjonisty, anarchisty, podróżnika, jednego z największych oskarżycieli sowietyzmu. Już w 1922 roku Lanti (*l'Anty* czyli Przeciwny) odbył podróż do Rosji Sowieckiej, w 1928 porzucił partię komunistyczną, a w 1935 wydał książkę *Czy w Związku Sowieckim buduje się socjalizm?*[5], w której ujawnił zbrodnie systemu.

W 1928 Lanti założył (do dziś wychodzące w języku esperanto) pismo „Sennaciulo" (Bezpaństwowiec) o profilu anarchistycznym. Przez kilka lat Kate Limuzin była sekretarzem tego pisma i wpływową działaczką międzynarodowego anarchistycznego ruchu esperanckiego. Orwell był częstym gościem w domu państwa Lanti i jakiś czas mieszkał u nich przy avenue Corbér; wspomina, że udał się do Paryża celem doskonalenia francuszczyzny, lecz musiał szybko opuścić swoją pierwszą paryską przystań, gdyż gospodarze rozmawiali wyłącznie po esperancku. I dodaje, że esperanto to również ideologia, nie tylko język. Mówiąc o ideologii, w związku z esperantem, Orwell musiał mieć na myśli doktrynę Lantiego, w której autor zaprzeczył zalecanej przez Zamenhofa neutralności ruchu i dokonał najpoważniejszego w nim rozłamu, oskarżając „neutralnych" o burżuazyjne koncepcje, nie do pogodzenia z postępem i sprawiedliwością społeczną.

Lanti, anarchista i działacz międzynarodowego ruchu robotniczego, był zaprzeczeniem Zamenhofa. Zamenhof był przede wszystkim twórcą języka esperanto, osobowością przypominał proroka przepojonego miłością do ludzkości. Jeśli można się pokusić o scharakteryzowanie jego myśli, to szła ona w kierunku poszukiwań kompromisu pomiędzy judaizmem, chrześcijaństwem i innymi wyznaniami. Wyrazem tej koncepcji jest praca Zamenhofa z 1905 r. *Homaranismo*. Autor chce, żeby każdy zachował swoją wiarę w sferze kompletnej prywatności. Aby zaś przeszkodzić jej

[3] Bert de Wit, *La mondo en 1984*, „Sennacieca Revuo" nr 112, Paryż 1984; Giorgio Silfer, *Ekzemplo de literatura planlingvo*, „Planlingvistiko", no 2, Genewa 1986.

[4] Ed Borsboom, *Vivo de Lanti*, SAT, Paryż 1976.

[5] Adam Lanti, *Cu socialismo konstruigas es Sovetio?*, SAT, Paryż 1935.

rozpoznaniu, proponuje wyrzeczenie się publicznej liturgii oraz przeniesienie rozważań o świętości do neutralnych świątyń, gdzie dla ukrycia przynależności narodowej należałoby posługiwać się esperantem. O Zamenhofie mógł wiedzieć Orwell wyłącznie od Lantiego lub od swojej ciotki. Obraz ten był uproszczony, bowiem przedstawiał twórcę esperanta jako naiwnego, „godnego współczucia idealistę", a równocześnie „najgenialniejszego" lingwistę — w jednym i w drugim wypadku jest to nieprawdziwe. Orwell przyglądał się życiu Lantiego, jego ideom i anarchistycznym dziwactwom. Właśnie w Paryżu poznał język esperanto na tyle, by zrobić z niego użytek w nowomowie. Ciotka Orwella, Kate, wspomagała go niejednokrotnie finansowo. Od 1934 roku Orwell za jej rekomendacją pracował w księgarni rodziny Westrope, gdzie sprzedawano również wydawnictwa esperanckie. Podczas kilku tych lat pisarz, chcąc nie chcąc, ocierał się często o ten język. Wokół rodzin esperanckich Lantiego, Westrope'go czy Mabel Fierz, która zatroszczyła się o wydanie pierwszej jego książki, gromadzili się socjaliści, esperantyści i anarchiści. Jeszcze podczas wojny domowej w Hiszpanii Orwell utrzymywał kontakty z późniejszym lordem Fannerem Rockwayem — również esperantystą. Ostatni kontakt esperancki Orwella (poza więzią z ciotką) biografowie datują na 1945 rok, kiedy to pisarz przyniósł do paryskiej siedziby esprantystów-anarchistów SAT paczkę żywnościową, na prośbę towarzyszki Kate Limuzin. Zmarła ona w 1950 roku, tym samym co Orwell.

Praca wyróżniona przez Polskie Towarzystwo Socjologiczne nagrodą imienia Stanisława Ossowskiego, stanowiąca próbę rekonstrukcji ideologicznego przesłania „Solidarności" z lat 1980—1981. Autor opisuje polityczną świadomość społeczeństwa w czasach, w których ogromne rzesze ludzi zaczęły rozważać publicznie sprawy zastrzeżone dotąd dla filozofów, socjologów i teoretyków myśli politycznej. Ukazuje „Solidarność" jako „związek zawodowy wszystkich Polaków", a poglądy związkowców na komunistyczny system władzy, etos społecznego oporu i projektowany ład społeczny jako ideologię rządzącą zachowaniami zbiorowymi — ideologię powszechnego użytku.

Sergiusz Kowalski

KRYTYKA SOLIDARNOŚCIOWEGO ROZUMU

Studium z socjologii myślenia potocznego

Już do nabycia w księgarniach. Dla sybskrybentów **biblioteki tekstów** taniej — tylko 13 000 zł.
Zamówienia prosimy składać na załączonym na końcu numeru blankiecie — przeznaczonym do opłacenia subskrypcji **biblioteki tekstów.**

Rzadko zdarza się czytać pracę, której autor tak świetnie i tak świadomie, jak Sergiusz Kowalski, panuje nad swoim warsztatem analitycznym i tak chętnie poddaje kontroli czytelnika ogniwa swego rozumowania. Zastosowane przez niego metody i osiągnięte wyniki są niewątpliwie w różnych punktach sporne, będą wywoływały dyskusje, może sprzeciwy. Upatruję w tym zaletę tej śmiałej i oryginalnej pracy, stroniącej od banału i wystawiającej się na ogień naukowej krytyki.

Jerzy Jedlicki

Dykcjonarz

Jacques Rossi

Przewodnik po Gułagu

Z części słownikowej

<†*łag.*> **antigitlerowskije faszysty** — obywatele polscy, aresztowani i skazani przez władze sowieckie jako wrogowie ludu, tj. „faszyści", po aneksji terenów wschodniej Polski w 1939 (było między nimi wielu Żydów, w których antyhitleryzm nie sposób było wątpić); patrz MASOWE ARESZTOWANIA **21**, MASOWA ZSYŁKA **6**.

<*czek., urz.*> **biełopolak** albo <*czek., urz.*> **b/p** — każdy Polak niewygodny dla władzy sowieckiej. Termin pojawił się podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, do powszechnego użycia wszedł ponownie w 1939 podczas aneksji wschodniej Polski przez Związek Sowiecki; był stosowany także później. Porównaj *burżuaznyj nacyonalizm*.

birka albo **jarłyk** — **1.1.** <*łag.*> Kawałek dykty, który zgodnie z instrukcją (patrz *instrukcyja*) przywiązuje się do wielkiego palca lewej nogi zmarłego więźnia przed pochówkiem; patrz *zagnut'sia* **2.** — **1.2.** Na **b.** wypisuje się numer akt osobowych zmarłego, zgodnie z instrukcją nie kopiowym, ale zwykłym ołówkiem, który nie rozmazuje się od wilgoci. Ten sam numer odnotowuje się na kołku wbijanym „w miejscu pochówku", znajdującym się poza *zoną*. Zgodnie z ustawą z 1930 sporządza się akt zgonu (*SZ* 22 : 248, art. 41) ze wskazaniem przyczyny śmierci (porównaj *RFI*). Jeżeli nieboszczyk miał złote zęby, wyłamuje się je i wraz z aktem zgonu przesyła do odpowiedniej komórki administracyjnej. — **1.3.** Przed

wywiezieniem nieboszczyka poza *zonę* łagru dyżurny *wachtior*, zgodnie z instrukcją, rozbija jego czaszkę drewnianym młotem lub przebija klatkę piersiową rozpalonym metalowym prętem w celu zapobieżenia możliwości ucieczki; porównaj *aktirowat'* 1. — 1.4. Trupa zakopuje się nago albo w najgorszej urzędowej bieliźnie. Od połowy lat trzydziestych do końca lat czterdziestych zazwyczaj grzebano bez skrzyni pełniącej rolę trumny; od początku lat siedemdziesiątych więźniów grzebie się w obozowym umundurowaniu i w skrzyni; porównaj *zagnut'sia* 2-a. Zamiast skrzyni używa się niekiedy worka. — 1.5. Przy pochówku obecni są *nariadczik* i *opieratiwnik*. W wyjątkowych przypadkach komendant *lagotdielenija* może zezwolić kilku kolegom zmarłego na odprowadzenie go do miejsca pochówku. Rodzinie wysyła się pocztą zawiadomienie o śmierci.

bit' — 1. <*lud.*> **Jesli zajca dołgo bit', jego możno zastawit' (nauczit') spiczki zażygat'** (jak zająca długo bić, można go zmusić/nauczyć, żeby zapałki zapalał) — przysłowie.
— 2. <*lag.*> **Biej dniewalnogo, pajka najdiotsia** (bij funkcyjnego, *pajka* — tu: chleb — się znajdzie) — dosłownie! *Patrz pajka* 8.3.
— 3. <*lud.*> **Jesli russkogo mużyka dołgo bit', jego możno zastawit' czasy izobriesti** (jak ruskiego chłopa długo bić, można go zmusić, żeby zegar wynalazł) — przypisywane Piotrowi I (stąd idea *szaraszki*); porównaj *bityj* 2.
— 4. <*lud.*> **Biej swoich, cztoby czużije bojalis'** (bij swoich, żeby obcy się bali) — porównaj *jeżowszczina*.
— 5. <*lud.*> **B'jut i plakat' nie dajut** (przysłowie): temu, kto składa skargę, często się za to właśnie dostaje (patrz SKARGI 3, 6; *sowietskaja wlast'* 1; *jebat'* 3.4; MOSKWA 3).
— 6. <*lag.*, *lud.*> **Rabotionka nie biej leżaczego**: bardzo lekka praca (porównaj *blatnaja rabotionka*).
— 7. Porównaj *krownaja pajka* 2; *prirodu nauczim*.

czekist — pracownik **CzK**.
— 1.1. Przekształcenie *WCzK* w *GPU* (1922) odzwierciedlało zapewne pragnienie części bolszewickiego politbiura, by podporządkować pewnym normom prawnym żywiołową działalność rewolucyjnych organów bezpieczeństwa. One jednak zazdrośnie strzegły swej policyjnej złotej wolności (w ciągu niespełna roku zdołały uniezależnić się od Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych i ponownie stać się arcyważnym członkiem Rady Komisarzy Ludowych). — 1.2. Sowieckie służby

bezpieczeństwa jeszcze wielokrotnie zmieniały szyld, lecz ich funkcjonariusze świetnie wiedzieli, że są kontynuatorami „bohaterskiej" *CzK*.
— **2.** M. Gorki, a w ślad za nim cała sowiecka propaganda, nazywali funkcjonariuszy *GPU* — *czekistami*. W 1937—38, w okresie nasilenia stalinowskich czystek, przyznano im wreszcie oficjalnie to „święte" miano (patrz przypis do hasła *opierczekist*).
— **3.** Patrz *czekistskaja sopla*; *gepeusznik*; *enkawedesznik*; *enkawediuga*; *enkagebesznik*; *emgebesznik*; *emwedesznik*; *kagebesznik*; *gebist*.

<*czek., urz.*> **distrofija** albo <*urz.*> **alimientarnaja distrofija** albo <*urz.*> **A.D.** — „zaburzenie odżywiania tkanek i narządów". Termin niezrozumiały dla niewtajemniczonych, wykoncypowany w połowie lat trzydziestych przez administrację *Gulagu* zamiast używanej w statystykach zgonów dawnej formuły „zmarły z wycieńczenia". Czterotomowy słownik Uszakowa (1935—40) nie znał pojęcia *distrofija*. Później termin stał się powszechnie zrozumiały i wszedł do słowników (Ożegow, 1953). Na mocy tajnej instrukcji *Gulagu* z maja 1945 — zastąpiony skrótem *A.D.* Porównaj *poliawitaminoz*; *RFI*; *OP*; *spiecmiery* **3.8**.

<*lag., lud.*> **dochodiaga** — ten, który *dochodit* albo *doszol*, dystrofik; odpowiednik „muzułmana" w hitlerowskich kacetach; patrz *dochodit'*; *dochodiłowka*. **D.** to samo dno więzienno-łagrowego świata; porównaj *mast'* **2.2**. Patrz *dochodit'*.

<*lag., lud.*> **dochodiłowka** — **1.** Obóz, więzienie itp., w którym więźniowie są głodni i wycieńczeni.
— **2.** Okres głodu i wycieńczenia: „*Zimoj transport ostanowiłsia, produkty wyszli i była żutkaja dochodiłowka*" (Zimą transport zamarł, skończyła się żywność i zrobiła się okropna *dochodiłowka*); porównaj *dochodizm*.
— **3.** Głodni, wycieńczeni ludzie; brygada pracownicza, złożona z ludzi pozostających w stanie skrajnego wycieńczenia: „*Na razgruzku pognali dochodiłowku i wagony tak i ostalis' nierazgrużennymi*" (Do wyładunku popędzili *dochodiłowkę*, toteż wagony pozostały w końcu nie rozładowane); porównaj *mast'* **2.1**.
— **4.** Porównaj *dochodizm; dochodiaga*.

dochodit' albo **dochodit' do socyalizma** — <*lud., lag.*> cherlać z wycieńczenia i z głodu; porównaj *dochodiaga*; *dochodizm*; *dochodiłowka*. Uwaga: termin pojawił się w latach trzydziestych, kiedy położenie materialne pracujących zaczęło się gwałtownie pogarszać, tymczasem propaganda bezustannie i bezapelacyjnie powtarzała, że „dochodzimy do socjalizmu".

<lag.> **dochodizm** — stan głodu i wycieńczenia; porównaj *dochodiłowkd*; *zagibałowka*; *dochodit'*. — „*Pognali nas w czetwiortuju zonu, a tam — połnyj dochodizm!*"

<czek., lud.> **gołowka** (patrz *łowcy ludiej*) — za pojmanie zbiegłych łagierników *NKWD/MWD* wypłaca myśliwym z północnej Syberii nagrody w gotówce i w deficytowych towarach (cukier, mąka, tekstylia, sprzęt myśliwski). Wędrówka przez tundrę z pojmanym zbiegiem jest niebezpieczna, toteż łowca zwykle woli zbiega zastrzelić, odciąć jego głowę i ukryć ją przed dzikimi zwierzętami. Kiedy uzbiera się dosyć „główek", worek ładuje się na sanki czy na łódkę i odwozi „zleceniodawcy". Worek wygląda tak, jakby był pełen arbuzów. Gdy jakiś przypadkowo spotkany nowicjusz w sowieckiej tundrze pyta — co wieziesz?, myśliwy odpowiada — *gołowki*. Uwaga: A. Krakowiecki (*Książka o Kołymie*, Londyn 1947, s. 100) przytacza słowa myśliwego: „Obecnie nagroda wynosi 50 rubli od głowy... oprócz pieniędzy *NKWD* wydaje butelkę spirytusu i paczkę herbaty... aby zdobyć premię trzeba przynieść... odciętą głowę uciekiniera. Dawniej wystarczyło prawe ucho, teraz jest to już za mało..."

gutalinszczik (od: *gutalin* = szuwaks) — *<krym.>* Stalin. Uwaga: niski, czarniawy i ospowaty, mówiący po rosyjsku z silnym kaukaskim akcentem, Stalin przypominał kaukaskich Asyryjczyków, ulicznych czyścibutów, którzy tradycyjnie używali szuwaksu. Patrz STALIN 4.

korowa — **1.** *<krym.>* Osoba przeznaczona do zjedzenia; to samo, co *<krym.>* **bagaż**, *<krym.>* **baran**. Nie zdając sobie z tego sprawy, w tym położeniu może się znaleźć każdy początkujący kryminalista, któremu starsi koledzy zaproponują udział w ucieczce. Okazane zaufanie pochlebia mu i zwykle wyraża on zgodę. Jeśli podczas ucieczki nie uda się uzupełnić kończących się zapasów, współtowarzysze zarżną „krowę", wypiją krew tętniczą i zjedzą jeszcze ciepłe nerki (w czasie ucieczki rozpalanie ogniska byłoby niebezpieczne). Jeśli natomiast wszystko przebiegnie zgodnie z planem, nowicjusz dopiero później zrozumie, czym ryzykował. Osoby, które zmuszone były do jedzenia ludzkiego mięsa, nazywane *ludojedami* (ludożercami), zwykle nie chwalą się swymi przygodami, gdyż wielu kryminalistów nie pochwala tego.
Uwaga 1: Zjawisko to nie jest sowieckim wynalazkiem. W 1895 M. Łobas w czasopiśmie „Wracz" nr 37 donosił, że niejaki W. Wasiljew uciekając z katorgi żywił się mięsem swego towarzysza. Za władzy sowieckiej zjawisko tak bardzo się rozpowszechniło, że ukuto odpowiedni termin techniczny.

Uwaga 2: Typowe dla systemu sowieckiego złe zaopatrzenie sprawia, że wiele dzieci ma szanse przeżycia jedynie dzięki krowiemu mleku. Krowy hoduje się nawet w miastach, gdzie nie ma możliwości nabycia karmy, żywi się je więc pomyjami i resztkami chleba. Ponieważ chleba w ZSRR również brakuje, władze sowieckie zmuszone zostały do uzupełnienia kodeksu karnego nowym artykułem, zgodnie z którym na 3 lata pozbawienia wolności skazuje się „za skarmianie chleba ptactwu i bydłu domowemu" (kodeks karny z 1960, art. 154-1, „Wiedomosti Wierchownogo Sowieta SSSR" 1963, 51:879). Spośród dzieci, które przeżyły dzięki krowie, rekrutują się przyszli ludożercy. Dla nich „krowa" jest symbolem ratunku.
— **2. Kołchoznaja korowa**: <*lud.*> **sidiet' za kołchoznuju korowu** — przebywać w więzieniu lub obozie pod zarzutem lub po wyroku za „oszczerstwa przeciwko władzy radzieckiej" (o kołchoźniku): w czasie stalinowskich czystek taką właśnie odpowiedź dawało wielu kołchoźników na pytanie „za co siedzisz?". Zwykle okazywało się, że chłop zwymyślał od kurew kołchozową krowę i tym sposobem spotwarzył ustrój, co kosztowało go 10 lat z art. 58.10.

mast' — <*krym.*> status społeczny w świecie więzienno-obozowym; patrz *szerst'*.
— **1.1.** Najwyższy status mają **cwietnyje** (patrz *blatnoj* **1.1**), następnie *polucwietnyje* (patrz *suka*; *priblatniennyj*) i dalej różne ugrupowania więźniów (patrz *krasnaja szapoczka*; *machnowcy*; *piwowarowcy*; *uporowcy*; porównaj KASTOWA WROGOŚĆ WIĘŹNIÓW). — **1.2.** Wśród *cwietnych* niektóre specjalności przestępcze automatycznie określają pozycję społeczną: włamywacz otwierający ogniotrwałe sejfy ma najwyższą pozycję, kieszonkowiec stosunkowo niską.
— **2.1.** Hierarchia dalszych szczebli jest mniej wyraźna (m. in. *szakały*, *ogni*, *szpana*, *szalman*, *indija*, *szobla-jobla*, *dochodiłowka*).
— **2.2.** Poszczególnych przedstawicieli dołów obozowo-więziennych nazywa się: *szkoda*, *kusocznik*, *krochobor*, *portjanosznik*, *gownojed*, *pomojecznik* itp. Porównaj *dochodiaga*.
— **3.** Miejsce *mużyka* w tej herarchii zależy od jego cech osobistych i od przyswojenia sobie przezeń reguł życia obozowo-więziennego. Niektórzy zajmują dość wysoką pozycję.
— **4.** <*czek.*, *lag.*> **Razbrosit' etap po mastiam**, rozdzielić nowo przybyłych więźniów według środowiskowej hierarchii: osobno **czestnych worów**, osobno **suki**, oddzielnie *mużyków* i *frajerów*:

razbrosali po mastiam i takim obrazom oboszlos' bez riezni" (Nowicjuszy rozdzielono *po mastiam* i w ten sposób obeszło się bez rzezi).

<*lag.*> **miasnoj dień** — dzień, a ściślej rzecz biorąc noc wykonywania wyroków śmierci w **rasstrielnoj tiur'mie** (porównaj KARA ŚMIERCI **10**). W ciągu jednej nocy rozstrzeliwuje się do kilkudziesięciu osób, które czasami od dawna czekały na swoją kolejkę (porównaj *smiertnik* **1**, **2.1**). Tylko skazanych za przygotowywanie czy dokonanie czynu terrorystycznego rozstrzeliwano natychmiast (rozporządzenie Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad ZSRR z 1 XII 1934). Nieco później „przywilej" ten rozszerzono na „dywersantów" i „sabotażystów" (zarządzenie to zniesiono po śmierci Stalina; „Partijnaja Żizń" 1957 nr 4, s. 68–69).

miasorubka (dosłownie: maszynka do mielenia mięsa) — **1.** <*lud.*> Każdy z kolejnych okresów masowych represji, zwłaszcza Wielka Czystka (*Wielikaja Czistka*).
— **2.** <*lag.*> Środki mające na celu złamanie woli więźnia w śledztwie (pozbawienie snu, *konwiejer*, tortury, prowokacje, itd.): „*Iwan popał w takuju miasorubku, czto uże nie znał, kogda dień, a kogda nocz'*".

molitwa (dosłownie: modlitwa) — **1.** <*lag.*> Słowa ostrzeżenia, z jakimi konwój zwraca się do nowicjuszy: „Uwaga, więźniowie! W drodze nie rozciągać marszu, nie rozmawiać, nie podnosić niczego z ziemi! Krok w lewo, krok w prawo uważany jest za próbę ucieczki. Konwój strzela bez uprzedzenia. Zrozumiano?" — „Zrozumiano!" — odpowiadają więźniowie obojętnym tonem, jakby mówili „amen". Powtarzają to słowo (*poniatno!*) tysiące razy. Uwaga: zazwyczaj **m.** skraca się do słów „krok w lewo, krok w prawo" („*szag wlewo, szag wprawo*").
— **2.** <*lag.*> **M.** nazywa się ponadto formułkę: „nazwisko, imię ojca (*otczestwo*), artykuł, wyrok, termin wyjścia na wolność". Za jej pomocą funkcjonariusze służb penitencjarnych ustalają tożsamość więźnia. Zazwyczaj wypowiada się wszystko monotonnym głosem (w odniesieniu do podejrzanych trzy ostatnie pytania odpadają); patrz *bukwa* **1.1**. Te dane niezmiennie wpisywane są za nazwiskiem więźnia, zarówno na wszelkich podaniach do miejscowej administracji czy do najwyższych organów władzy, jak i np. na liście upoważnionych do otrzymywania onuc.

<*urz.*> **poliawitaminoz** — jedno z tajnych sformułowań używanych w *Gułagu* zamiast „wycieńczenia głodowego"; patrz *distrofija*.

samooborona — <*lag.*> likwidacja donosicieli dokonywana przez samych więźniów. Patrz *rubiłowka* **2**; *samooboroniec*.

— **1.** Termin **s.** nabrał tego znaczenia w połowie lat czterdziestych, gdy do *Gulagu* masowo zaczęli napływać eks-frontowcy sowieccy oraz partyzanci różnych ruchów narodowo-wyzwoleńczych (Ukraińcy, Litwini i inni). Zorganizowali oni obronę przed bezprawiem ze strony kryminalistów i terrorem donosicieli. O ile w pierwszym przypadku wystarczała siła fizyczna, o tyle w drugim skuteczne okazało się jedynie zabijanie, które zaczęto powszechnie stosować we wszystkich łagrach (porównaj *stukacz* **6.2**).
— **2.** Nie wszystkich donosicieli zlikwidowano, ale plaga donosicielstwa znacznie osłabła i życie więźniów stało się niemal beztroskie; *opierczekiści* nie mogli wykonywać obowiązków służbowych. Z tego też względu „w związku z licznymi wnioskami obywateli i organizacji społecznych w sprawie zastosowania kary śmierci wobec morderców..." dekretem Rady Najwyższej ZSRR z 30 IV 1954 („Wiedomosti Wierchownogo Sowieta SSSR" 1954 nr 11) wprowadzono stosowny artykuł. Uwaga: uprzednio przez kilkadziesiąt lat za „zabójstwo z premedytacją" osoby prywatnej skazywano zazwyczaj na 3, czasem na 5, niekiedy zaś aż na 10 lat obozu (art. 136 kodeksu karnego z 1926).

<*lag.*> **samooboroniec** — więzień uczestniczący w **samooboronie**.

<*urz.*> **samorub** — osoba dokonująca samookaleczenia w celu uniknięcia pracy przymusowej; porównaj *otpusk* **4**; *mastyrka* 2. Uwaga: wyrazu tego brak zarówno w Słowniku Współczesnego Literackiego Języka Rosyjskiego (*Słowar' sowriemiennogo russkogo litieraturnogo jazyka*, Moskwa — Leningrad 1950 — 65), jak i w Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej (*Bolszaja Sowietskaja Encyklopiedija*).
— **1. S.** najczęściej ucina sobie 3 do 4 palców lewej ręki, niekiedy całą dłoń lub nawet obie dłonie (patrz *grabka*; *ruczkin*; *minutoczka* **1**), rzadziej nogi.
— **2.** Początkowo *samorubów* nie sądzono; od końca lat dwudziestych za samookaleczenie karano karcerem, od końca zaś lat trzydziestych pociągano ich do odpowiedzialności z art. 58.14 za „kontrrewolucyjny sabotaż"; protokół śledztwa zawierał sakramentalny zapis: „*w celach sabotaża socyalisticzeskogo stroitielstwa* (budownictwa socjalistycznego)"; patrz *otkaz* **1**, **4**.

sidiet' — siedzieć w więzieniu, w łagrze lub w karcerze; być więźniem.

1. Synonimy i wyrazy bliskoznaczne.
2. „*Za czto' sidisz'?*" — obiegowe odpowiedzi.
3. Odsyłacze.

— **1.1. Czalit'sia**; <*krym., lag.*> **podsiest'**; <*lag.*> **pripuchat'** (siedzieć w więzieniu lub karcerze); **siest'**; <*lag.*> **tianut'** *srok* (w więzieniu);

<*lag.*> **zagorat'**; <*krym.*> **zaletiet'** *po nowoj* (ponownie); <*krym., lag.*> **zanaczit'sia.** — **1.2. Byt' u choziaina** (porównaj STALIN 3-d); **byt' w bolnice** (patrz *bolnica*); **byt' na dacze** (patrz *dacza*) lub na **stalinskoj dacze**; **byt' na kurortie** (patrz *kurort*); **byt' w sanatorii** (patrz *sanatorij*) — **1.3.** <*lag.*> **Otbarabanit' (srok)**; <*lag.*> **otbuchat' (srok)**; <*krym., lag.*> **otchujarit' (srok)**; **otsidiet' (srok)**; <*lag.*> **otzwonit' (srok)**. — **1.4.** ... **i w konwiert** (patrz *konwiert* **2**); **pieriesażat'**; **zasunduczit'**. — **1.5.** Porównaj *srok* **7—11**; *konwiert*; *sumka*; *sunduk* **1**; *stat'ja* **1**.
— **2.** Siedzieć można:
1) <†*lag.*, †*lud.*> **za amierikancew** — jako obywatel sowiecki wyzwolony przez Amerykanów, który wrócił do ojczyzny i otrzymał wyrok (to samo w odniesieniu do kobiet — „*za lubow' s amierikancem*");
2) <†*lag., lud.*> **za angliczan** (porównaj *1* powyżej); uwaga: na mocy porozumienia w Jałcie Anglicy przemocą wydawali Stalinowi nie tylko wszystkich zidentyfikowanych obywateli sowieckich, lecz także byłych białogwardzistów, emigrantów i innych poddanych dawnego imperium carskiego, których porozumienie nie dotyczyło;
3) <*lag., lud.*> **za bołtowniu** (za gadaninę) — patrz *15* poniżej;
4) <*lag., lud.*> **za jazyk** albo **za słowo** — za agitację antysowiecką;
5) <*lag., lud.*> **za kaszel** — patrz *kaszel*;
6) <*lag., lud.*> **za kołchoznuju korowu** — patrz *korowa* **2**;
7) <†*lag., lud.*> **za krużku wody** (za kubek wody) — podczas II wojny światowej podanie choćby kubka wody okupantowi uznawane było za kolaborację i podlegało karze 10—15 lat łagrów;
8) <*lag., lud.*> **za leń** (lenistwo) — patrz *leń* **1**;
9) <*lag., lud.*> **za niemcew** — za faktyczną lub domniemaną współpracę czy też współżycie seksualne z Niemcem: 15—20 lat katorgi albo **spiecłagu**;
10) **za nieotkaz ot mużej** — patrz *nieotkaz*;
11) <*lag., lud.*> **za niepocztienije roditielej** (za brak szacunku dla rodziców) — za wymijającą odpowiedź;
12) <†*lud.*> **za nieprawilnoje udarienije** (tu: za niewłaściwą intonację) — fama głosi, że w latach dwudziestych pewna staruszka stojąc w długiej kolejce po chleb przeczytała na głos dumne hasło: „*Nauka — trudiaszczimsia!*" (Nauka dla mas pracujących!), przy czym słowo „nauka" zaakcentowała tonem pouczenia (w sensie „nauczka"), za co została aresztowana;
13) <*lag., lud.*> **za okkupacyju** — to samo co *9* powyżej;
14) <*lud.*> **za politiku** — z artykułu politycznego;
15) <*lag., lud.*> **za słowo** — patrz *agitator*; *bołtuszka*;
16) <*lag.*> **za son** (za sen) — w więzieniach spanie w czasie niedozwolonym karane jest karcerem;

17) <*krym.*> **za ugoł** („za róg") — za kradzież walizki itp.;
18) <*lag., lud.*> **za złych ludiej** — z powodu donosu;
19) <*lag., lud.*> **za zołoto** — patrz *zołotaja lichoradka*;
20) <*lag., lud.*> **ni za chuj** — zupełnie bez powodu (Uwaga: w odpowiedzi pada zazwyczaj pytanie: „A ile ci wlepili?" — „Dziesięć lat". „Łżesz! *Ni za chuj* dają 25 lat, jak dostałeś 10 lat, to musiałeś mieć coś na sumieniu!");
21) patrz *stat'ja* **3.1**.
— **3.** Porównaj *pieresażat'*; *pieriesiżywat'*; *pieriesidczik*; *posadka*; *otsidka*; *sidka*; *czalka*. **Sidiet' pod wyszkoj** — patrz KARA ŚMIERCI **12.**

<*lag., lud.*> **stuk** — donos, donosicielstwo. Porównaj *stuknut'*; *stukacz*.

<*krym., lag., lud.*> **stukacz**, <†*krym.*, †*lag.*, †*lud.*> **stukaczicha**, <†*krym.*, †*lag.*, †*lud.*> **stukaczka** — „ktoś, kto stuka w drzwi celi, żeby wypuszczono go na korytarz, bo chce po kryjomu przekazać jakąś informację" — donosiciel. Patrz *sieksot*. Pojęcie nieznane w więzieniach carskich, pojawiło się u zarania władzy sowieckiej[1].

1. Donosiciel — bohater epoki socjalizmu.
2. Sieć donosicieli — podstawa ustroju sowieckiego.
3. Werbowanie donosiciela.
4. Wynagrodzenie donosiciela.
5. Terminologia.
6. Porzekadła.
7. Odsyłacze.

— **1.1**. W odróżnieniu od władz carskich przywódcy sowieccy bezwstydnie pasowali donosiciela na bohatera i świętego (patrz PAWLIK MOROZOW). Z okazji dwudziestej rocznicy powstania *WCzK* przypomniano więc obywatelom Związku Sowieckiego, że „współpraca" z organami bezpieczeństwa jest ich „świętym i zaszczytnym obowiązkiem" („Prawda" z 20 XII 1937); porównaj *niedonos*. — **1.2**. Wszystkie sowieckie zaszczyty, odznaczenia i przywileje przyznawane są również donosicielom i prowokatorom. Na przykład za świadomie fałszywy donos dr Lidia Timaszuk (patrz *ubijcy* **3.1**) otrzymała Order Lenina; porównaj *kotiol* **5**; *put'* **1**; *spiecyalnost'* **2.2**; *zaczoty* **2.2**.
— **2.1**. „*WCzK* zaczęła stosować jedną z najbardziej haniebnych metod carskiej ochrany. (...) W nowym państwie sowieckim prowokacje i zdrada bynajmniej nie zniknęły, wprost przeciwnie, zaczęto je stosować na

[1] Trachtenberg (1908) i Popow (1912) w swoich słownikach wymieniają jedynie „*stuczat'*" — mówić, spierać się.

niespotykaną dotychczas skalę. We wszystkich instytucjach państwowych, w fabrykach, w jednostkach wojskowych, w domach mieszkalnych — wszędzie jak muchy roili się tajni informatorzy i prowokatorzy"[2]. Porównaj *opier*. — **2.2.** Donosiciele działający na tym samym terenie z reguły nie znają się nawzajem. Donosy każdego z nich porównywane są z donosami innych. Próby uchylania się od donosu (np. na osobę, której donosiciel coś zawdzięcza, czy na przyjaciela) są surowo karane. — **2.3.** Donosiciele podlegają szczególnej ochronie (ale porównaj **4.5** poniżej!): w związku z masowym uśmiercaniem *stukaczy*, władza sowiecka zaczęła stosować karę śmierci za zabójstwo osoby prywatnej (patrz *samooborona* **2**; KARA ŚMIERCI **9.3**).

— **3.1.** Werbowaniem *stukaczy* i prowokatorów zajmuje się **opier**, który dąży do zwerbowania jak największej ich liczby. Głód, wyniszczająca praca i bezbronność więźniów ułatwiają mu to zadanie: wielu więźniów zgadza się na współpracę za dodatkową miskę *bałandy*, za machorkę, za pracę nie na robotach ogólnych (patrz *obszczije raboty*), ze strachu. — **3.2.** Najskuteczniejszym sposobem werbunku jest szantaż (patrz *opier* **5.5**), stosowany już od 1917. Zdarza się, że *opier* nie wszczyna oficjalnie śledztwa w sprawie znanego mu już przestępstwa i szantażuje sprawcę (porównaj *kriuczok* — **3.3.** Bywają *stukacze* — ochotnicy, „ideowcy", którzy chcą w ten sposób poprawić swoją sytuację. Są „*wsiegda s partijej i prawitielstwom*" (zawsze z partią i z rządem) — zwłaszcza w latach stalinowskiego terroru. Czasem są to ludzie pragnący uniknąć odpowiedzialności za popełnione, lecz jeszcze nie wykryte przestępstwo. — **3.4. S.** można też zostać przez własną naiwność. Na przykład wnosząc do władz skargę na samowolę kryminalistów skarżący sam zakłada sobie pętlę na szyję: albo władza poinformuje kryminalistów o skardze, a ci zamordują skarżącego się, albo zgodzi się na współpracę. — **3.5.** Zwerbowany **s.** pisze własnoręcznie pod dyktando *opiera* odpowiednie zobowiązanie i podpisuje je ustalonym pseudonimem. Dokument ten staje się narzędziem szantażu, gdyż poinformowanie o nim współwięźniów może skończyć się zamordowaniem zwerbowanego. Jego pierwsze zadania są z reguły bardzo proste, może to być np. sporządzenie charakterystyki wskazanych osób. **S.** zostaje zapoznany ze sposobem dyskretnego przekazywania pisemnych donosów — np. pod pozorem wysyłania listu do domu będzie wrzucać do skrzynki umownie oznakowaną kopertę. Znak umożliwi wyłowienie donosu spośród innych listów i dostarczenie go do rąk *opiera* (porównaj *wospitanije*).

— **4.1.** Wynagrodzenie **s.** jest bardzo niskie i przeważnie nie pochodzi ze specjalnego funduszu, którym dysponuje *opier* (patrz **1.2** powyżej; *kotioł* **5**; *OP* **2**; *zaczoty* **2.2**). — **4.2.** W więzieniach zamkniętych, w których nie

[2] Leonard D. Gerson *The Secret Police in Lenin's Russia*, Temple University Press, Philadelphia 1976, s. 167–168.

ma takich form wynagrodzenia jak w łagrze, *opier* wysyła (bardzo rzadko) **s.** przekaz na niewielką sumę pieniędzy (jeśli **s.** nie otrzymuje przekazów z domu). Współwięźniom **s.** wyjaśnia, że to przekaz od jakichś dalekich krewnych. Uwaga: przez wiele lat ta judaszowa zapłata wynosiła 30 rubli (do reformy walutowej w 1947). — **4.**3. We wszystkich zakładach karnych wynagrodzeniem może być: zgoda na wysłanie dodatkowego listu (patrz KORESPONDENCJA **4.**1 – **4.**5), otrzymanie dodatkowej paczki lub przesyłki (poza limitem) itp. — **4.**4. Jedną z form wynagrodzenia bywa uznanie **s.** za więźnia, który „daje nadzieję poprawy" (patrz *wstawszyj na put' isprawlenija*; porównaj *usłowno-dosrocznoje oswobożdienije* 3.2). — **4.**5. Jeśli jednak *opier* chce pozbyć się natrętnego a nieprzydatnego już **s.**, przenosi go do *zony*, w której przebywają zadenuncjowani przez **s.** kryminaliści. Jak każe obyczaj, *błatnyje* odrąbią mu głowę przed upływem 24 godzin. Odpowiadać za to będą oczywiście kryminaliści, a nie *opier* (porównaj *tiechniczeski* **2**), który podejmie śledztwo, „wykryje" zabójców i odda ich pod sąd. Porównaj *usmirienije kamiery*.

— **5.** Synonimy i wyrazy bliskoznaczne: <*krym., lud.*> *czekistskaja sopla*; <*lag.*> *dowieriennyj* (zaufany); <*krym.*> *gad* albo <*krym., lag., lud.*> *gad lagawyj*; <*krym.*> *kurucha*; <*krym., lag., lud.*> *lagawyj*; <†*urz., urz.*> *lagkor* (patrz); <*krym.*> *musor*; <*krym*> *nakatczik*; <*krym.*> *nasiedka*; *podduwało*; <*krym.*> *podkidysz*; *podkumka*; <*lud.*> *sieksot* (patrz); <*lag.*> *stażor*; <†*krym.*, †*lag.*, †*lud.*> *stuczewiło*; <*krym., lud.*> *szeptun*; <*krym.*> *szkura*; <*krym.*> *tichar'*; <*lag.*> *tołkacz* (patrz); <*lag.*> *wstawszyj na put'* (patrz); <*krym.*> *zwonar'* (dzwonnik) i inne (porównaj **6.**1 poniżej).

— **6.**1. <*lag.*> **Chotia i nie płotnik, a stuczat' ochotnik** (żartobliwie: choć nie cieśla, a stukać lubi). — **6.**2. <*lag.*> **Za stukaczom topor gulajet**. Albo: **Stukacz gulajet z toporem za spinoj** (porzekadło: „Za donosicielem siekiera chodzi", tzn. siekierą wykończono niejednego donosiciela).

— **7.** Porównaj *dut'*; *oktiet*; *płotnik*; *rubiłowka*; *samooborona*; *stuk*; *stukaczeskij*; *stukaczicha*; *stukaczka*.

<*łag., lud.*> **stukaczeskij, stukaczeskaja, stukaczeskoje** — dotyczący donosicielstwa (*stukaczestwa*); donosicielski: — „*Eto stukaczeskij barak!*", tj . barak pełen donosicieli.

<*lag., lud.*> **stukaczestwo** — donosicielstwo; patrz *stukacz*; porównaj *stuk*; *samooborona*.

<†*krym.*, †*lag.*, †*lud.*> **stuknut'** — donieść. „*Kto-to stuknul na Jaszu i jego posadili*"; patrz *dunut'*; *stuczat'*.

<*krym., lag., lud.*> **tufta** (czasem <*krym., lud.*> **tuchta**) — lipa, kant, wciskanie kitu; praca wykonana pozornie; fałszywie zawyżone wskaźniki w oficjalnym sprawozdaniu.

1. Powstanie terminu.
2. Etymologia terminu.
3. Lenin i Stalin — twórcy **t.**
4. Historyczne korzenie **t.**
5. Świetlana przyszłość **t.** w warunkach socjalizmu.
6. Daremna walka z **t.**
7. Zwroty i porzekadła.
8. Terminy pochodne.

— **1.** Termin **t.** pojawił się po raz pierwszy w połowie lat dwudziestych w mowie sołowieckich kryminalistów – recydywistów. Podawany jest przez N. Winogradowa w jego słowniku (Sołowki 1927). Na początku lat trzydziestych więźniów sołowieckich przerzucano na budowę *Biełomorkanału* (patrz *BBK* **4**); stąd termin i instytucja **t.** rozeszły się po wszystkich łagrach Związku Sowieckiego, by pod koniec lat trzydziestych stać się własnością całego pierwszego w świecie państwa socjalistycznego.
— **2.1.** „*Tufta*" wywodzi się od „*TFT*" (*tiażołyj fiziczeskij trud*), co czasem wymawia się jako „*tefety*". Sołowieccy kryminaliści – recydywiści zaliczeni do kategorii *TFT* mawiali podobno tak: *Sprasziwajetie s nas* (wymagacie od nas) *TFT? Tak my wam pokażem tefetu*[3]. — **2.2.** Później **t.** rozszyfrowano jako <*łag.*> *Tiechnika Uczota Fiktiwnogo Truda* (technika podliczania pracy fikcyjnej); porównaj *filon* **2.**
— **3.** Warunki do rozkwitu **t.** stworzył Lenin, oświadczając na X Wszechrosyjskiej Konferencji Partyjnej w 1921, że jeśli bolszewikom uda się udowodnić wyższość gospodarczego systemu komunizmu nad kapitalizmem, oznacza to, że „wygraliśmy w skali międzynarodowej raz na zawsze i na pewno" (Lenin, t. 43, s. 341). Ponieważ było to utopią, a kontynuator dzieła Lenina — Stalin — postanowił utopię tę proklamować rzeczywistością, powstanie **t.** było tylko logicznym następstwem.
— **4.** W historycznej przeszłości Rosji były przypadki stosowania **t.** Przykładem wsie potiomkinowskie, pomalowane na rozkaz *Swietlejszego* księcia Taurydy w 1787 z okazji podróży Katarzyny II na południe. Uwaga: Wielka Encyklopedia Radziecka nie wspomina o „wsiach potiomkinowskich"; podobnie żaden słownik sowiecki nie podaje wyrazu **t.** (nawet 17-tomowy Słownik Języka Literackiego).

---

[3] Kiryłł Uspienskij, który pracował nad Słownikiem Rosyjskiej Leksyki Nienormatywnej, uważał, że słowo *tufta* pochodzi z języka starohebrajskiego.

— **5.** Świetlaną przyszłość **t.** w warunkach socjalizmu zapewniała m. in. dysproporcja między normami wyżywienia niewolniczej siły roboczej a wymaganym nakładem pracy (patrz *raporticzka* **4.**1) oraz zasady oceny i premiowania kadr kierowniczych, wynikające z planu centralnego — nie tyle zgodnie z rentownością i efektywnością produkcji, ile z ilościowymi wskaźnikami wykonania planu.
— **6.** Władza sowiecka starała się okiełznać spłodzoną przez siebie **t.**, m. in. przy pomocy specjalnego ustawodawstwa. Na przykład wydano specjalną ustawę o odpowiedzialności za zawyżanie wskaźników i inne fałszerstwa sprawozdawczości w dziedzinie wykonania planów. Ustawa ta przewiduje karę do 3 lat pozbawienia wolności („Wiedomosti Wierchownogo Sowieta SSSR" 1961 nr 22). W związku z tym do kodeksu karnego wprowadzono w 1960 dodatkowy artykuł 152.1.
— **7.**1. <*krym., lag.*> **Jesli b nie tufta i nie ammonał, nie był by postrojen Biełomorkanał** (Gdyby nie *tufta* i nie amonit — środek wybuchowy — nie zbudowano by *Biełomorkanału*) — porzekadło; porównaj *BBK* **4.** — **7.**2. <*lud.*> **Sowietskij Sojuz stoit na matie, tuftie i błatie** (Związek Sowiecki stoi wyzwiskami, *tuftą* i przekupstwem) — porzekadło.
— **7.**3. <*krym., lag., lud.*> **Zariadit'** albo **zaprawit' tuftu**, wykonać pracę pozornie, źle, przedstawić fałszywe sprawozdanie z prac pozornie wykonanych lub z pozornego wykonania planu.
— **8.** Patrz *tuftacz*, *tuftit'*, *tuftowyj*.

<*krym., lag., lud.*> **tuftacz** — ten, kto *zaprawlajet tuftu*, świadomie źle pracuje, pozoruje pracę lub sporządza fałszywe sprawozdania. Porównaj *tufta*.

<*krym., lag., lud.*> **tuftit'** — odwalać *tuftę*; porównaj *tuftacz*.

<*krym., lag., lud.*> **tuftowyj, tuftowaja, tuftowoje** — nieprawdziwy, lipny, mający charakter *tufty*; *tuftowe* „teorie" Łysenki, *tuftowe* sprawozdanie; *tuftowyj blatnoj* — udający *blatnego*.

<*krym.*> **zakon** albo <*krym., lud.*> **worowskoj zakon** (prawo albo złodziejskie prawo)

1. Prawo świata przestępczego i jego reguły.
2. Prawo państwowe w porzekadłach

— **1.**1. Niepisane, ale surowo przestrzegane prawo świata przestępczego, kontynuacja wielowiekowej tradycji (patrz **1.**4 poniżej). — **1.**2. Złodziejskie prawo ustala normy postępowania i kary za ich naruszenie (patrz *tołkowiszcze*). Między innymi prawo to wzbrania współpracy z władzami (patrz *suka* **1**); w razie

zaskoczenia przestępców na gorącym uczynku prawo nakazuje najmłodszemu wiekiem osłaniać odwrót starszych, nawet kosztem własnego życia. W razie pojmania ma on natomiast brać na siebie winę starszych itd. Wedle prawa *wor* — to arystokrata (porównaj *wor* 1); patrz *wachta* 2. — 1.3. Przestępcom osadzonym w zakładzie karnym prawo zabrania ponoć odbierania współwięźniom **krownej pajki** — nawet **frajerom**; donosić nie wolno nawet na **sukę**; nie wolno zajmować stanowisk nadzorczych (współpraca z władzami!), uczestniczyć w budowie karcerów, *zon* itp. Prawo, jak się uważa, w ogóle zabrania pracować (patrz *zakonno nie rabotat'*). — 1.4. <*krym.*> **Wor w zakonie**, <*krym.*> **zakonnyj wor**, <*krym.*> **zakonnik** albo <*krym.*> **bosiak** — to samo co *czestnyj wor* (patrz *wor* 1). — 1.5. <*krym.*> **Chodit' w zakonie**, <*krym.*> **wojti w zakon** — być *zakonnym worem*, stać się *zakonnym worem*. — 1.6. Nowyj worowskoj zakon — „kodeks" wprowadzony przez *suki* pod koniec II wojny światowej, dopuszczający współpracę z władzami (patrz *suczja wojna* 2). — 2.1. <*lud.*> **Zakon — czto dyszło: kuda powiernuł — tuda i wyszło** (stare przysłowie z carskich czasów, które nabrało szczególnej aktualności za władzy sowieckiej) — każde prawo da się obejść. — 2.2. <*lud.*> **Riezinowyje zakony** (prawa z gumy) — przepisy prawne, które władza może dowolnie naciągać (porównaj *natiagiwat'*) na szkodę ludności lub osoby prywatnej (powiedzenie współczesne). — 2.3. <*krym., lud.*> **Zakon durakam pisan** (prawo dla głupich pisane, tj. obowiązujące tylko głupich): współczesna parafraza starego porzekadła *zakon durakam nie pisan* — tylko głupi może uważać, że przestrzeganie prawa uchroni go przed więzieniem (porównaj *tiur'ma* 2.1), tylko głupi nie wiedzą, że *zakon — czto dyszło* i że prawo da się obejść. — 2.4. <*krym., lud.*> **Błat wysze Sownarkoma** albo **Narkoma** (patrz *blat* 3). — 2.5. <*krym.*> **Smiejotsia tot, kto silnyj**: możesz liczyć tylko na własne siły i stosunki, a nie na prawo. — 2.6. <*krym., lud.*> **Zakon tundry**, <*krym.*> **kołymskij zakon**, <*lud.*> **zakon tajgi** — prawo dżungli. — 2.7. <*krym.*> **Zakon — tajga, miedwied' — prokuror** (porzekadło): „licz tylko na siebie"; porównaj *prokuror* 3, 4; *socyalisticzeskaja zakonnost'* 1—3. — 2.8. <*krym., lud.*> **Zakon siem' wos'mych, zakon czetyrie szestych** itd., patrz *siem' wos'mych* itd.

Z części encyklopedycznej

KARA ŚMIERCI

1. Wstęp.
2. Kara śmierci w czasach carskich.
3. Kara śmierci za władzy sowieckiej.
4. Pierwsze „zniesienie" kary śmierci.
5. Umowne określenia kary śmierci.
6. Zniesienie kary śmierci wymierzonej w trybie pozasądowym.
7. Rozciągnięcie działania kary śmierci na niepełnoletnich.
8. Publiczne powieszenie.
9. Kolejne „zniesienie" kary śmierci.
10. *Rasstrielnaja tiur'ma.*
11. Oficjalne określenia kary śmierci przez rozstrzelanie.
12. Ludowe i więzienne określenia kary śmierci przez rozstrzelanie.
13. Odsyłacze do innych haseł.

— **1.1.** Do październikowego przewrotu w 1917 Lenin i jego partia ostro potępiali karę śmierci. Jedynym tego śladem w czasach sowieckich pozostało uroczyste podkreślanie we wszystkich kolejnych sowieckich kodeksach karnych „wyjątkowości" kary śmierci, aż do jej zniesienia (kodeks karny z 1922, art. 33; kodeks karny z 1926, art. 21; kodeks karny z 1960, art. 23). — **1.2.** Na 208 artykułów części specjalnej obowiązującego kodeksu karnego z 1960 aż 32 przewidują karę śmierci, nie tylko za „szczególnie niebezpieczne przestępstwa przeciwko państwu", ale też za „przywłaszczenie mienia państwowego lub społecznego" (art. 93.1), „naruszenie zasad prowadzenia operacji walutowych" (art. 88) „działania wywołujące dezorganizację w reedukacyjnych zakładach pracy" (to znaczy np. strajki: art. 77.1), „wyrób lub zbyt fałszywych środków pieniężnych" (art. 264) itd. Patrz PRZESTĘPSTWA PRZECIW PAŃSTWU. — **1.3.** W czasach carskich publicznie ogłaszano wykonanie każdego wyroku śmierci (ówczesna opozycja nie wspomina o przypadkach potajemnych egzekucji). W czasach sowieckich, poczynając od lat trzydziestych, egzekucja stała się tajemnicą państwową, chyba że kara śmierci miała cel propagandowy.

— **2.** W ciągu ostatnich 90 lat władzy carskiej, włącznie z latami krwawych represji po stłumieniu rewolucji 1905, dokonywano egzekucji przeciętnie na 90 osobach rocznie (S. Uszerowicz *Smiertnyje kazni w carskoj Rossii*, Charkow 1931). Po 65 latach panowania władzy sowieckiej, w warunkach pokoju, dokonuje się rocznie egzekucji na ponad 100 osobach (patrz **3.2** poniżej).

— **3.1.** Z wypowiedzi Smirnowa, prezesa moskiewskiego *Riewtribunału*, wynika, że w 1918 i w 1919 tylko z wyroku tego jednego trybunału rozstrzeliwano przeciętnie 575 osób rocznie („Izwiestija" z 9 XII 1921). Rozstrzeliwano wszkże nie tylko w Moskwie i nie tylko z wyroku sądu, ale również w trybie pozasądowym. Z artykułu członka Kolegium *WCzK* (patrz *kollegija WCzK*) wynika, że od listopada do października 1919 *WCzK* przeciętnie rozstrzeliwało w trybie pozasądowym 4194 osoby rocznie (M. Łacis *Dwa goda bor'by na wnutrienniem frontie*, Moskwa 1920). — **3.2.** W czasach stalinowskiego terroru tylko w 1936—38 rozstrzelano ponad milion osób (patrz *jeżowszczina* **1.3**); w pół wieku później, w pokojowych warunkach, w ZSRR rozstrzeliwano ponad 100 osób rocznie („Die Welt" z 12 X 1982).

— **4.1.** Natychmiast po przewrocie bolszewickim II Zjazd Rad proklamował 28 X 1917: „Znosi sią karę śmierci na froncie... przywraca się pełną wolność agitacji" (karę śmierci za porzucenie frontu wojny z Niemcami w celu przyjścia z pomocą bolszewickiej mniejszości w Piotrogrodzie). W sowieckiej historiografii podaje się to za „zniesienie kary śmierci przez bolszewików", chociaż egzekucji przeciwników politycznych bynajmniej nie zaprzestano (patrz **3.1** powyżej), a dekretem z 21 II 1918 zarządzono mobilizację do kopania okopów „wszystkich zdolnych do pracy członków klasy burżuazyjnej, mężczyzn i kobiet; w razie oporu — rozstrzeliwać". — **4.2.** Dnia 17 I 1920, po zwycięstwie w wojnie domowej, opublikowano dekret znoszący karę śmierci (*SU* 4-5:22). W maju tegoż roku tajnym dekretem uchylono dekret ze stycznia „w rejonach obowiązywania stanu wojennego" (*SU* 78:370). Z wyroku jednego tylko moskiewskiego *Riewtribunału* w 1920 rozstrzelano 639 osób, a w 1921 — 758 („Izwiestija" z 9 XII 1921). — **4.3.** Patrz **9** poniżej.

— **5.** Władza sowiecka nie zawsze określa rzeczy ich właściwym mianem. Na przykład w zarządzeniu Ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad z 6 II 1922 wśród innych zadań *GPU* art. 2 punkt „e" wymieniał „wykonywanie specjalnych poleceń Prezydium Ogólnorosyjskiego CKW Rad i Rady Komisarzy Ludowych", a 16 października tegoż roku Centralny Komitet Wykonawczy Rad objaśnił, że właśnie na mocy punktu „e" *GPU* przysługuje „prawo do wymierzania kary w trybie pozasądowym aż do kary śmierci włącznie" (*SU* 65:844, art. 1).

— **6.** Postanowieniem Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad ZSRR z 10 VII 1934 funkcje **OGPU** przejęło *GUGB NKWD SSSR*, któremu jednak nie przyznano prawa do dokonywania egzekucji w trybie pozasądowym. Nie było to już konieczne, do owego czasu bowiem nie dotrwał z ZSRR żaden sędzia, który wedle wskazania partii nie wydałby

wyroku śmierci w dowolnej sprawie (patrz *socyalisticzeskaja zakonnost'*; *jeżowszczina* **1**.3).
— **7.** Dekret Rady Najwyższej ZSRR z 10 XII 1940 nakazywał „niepełnoletnich poczynając od ukończenia 12 roku życia, którym udowodni się prowadzenie działań... mogących spowodować wykolejenie pociągów (rozkręcanie szyn...) pociągnąć do odpowiedzialności karnej z zastosowaniem wszelkich wymiarów kary". Uwaga: na mocy art. 58.9 obowiązującego wówczas kodeksu karnego przestępstwo to karano śmiercią (podobnie jak na mocy obecnego kodeksu). Artykuł 22 wyłączał wprawdzie spod działania kary śmierci osoby, które w chwili dokonania przestępstwa nie ukończyły 18 lat, jednakże przestrzeganie przez władzę sowiecką jej własnych praw jest sprawą wielce względną (porównaj *osoboje sowieszczanije* **5**).
— **8.** Dodatkowo, obok kary śmierci przez rozstrzelanie, dekretem z 17 IV 1943 wprowadzono karę śmierci przez publiczne powieszenie wobec osób skazanych za współpracę z okupantami w czasie II wojny światowej. Tych publicznych egzekucji dokonywano mniej więcej przez 2 lata. Dekretu nie uchylono, lecz kolejny kodeks karny z 1960 nie wspomina już o tym rodzaju egzekucji.
— **9.**1. Dekretem z 26 V 1947 karę śmierci zastąpiono 25 latami pozbawienia wolności (Prezydium Rady Najwyższej; „Wiedomosti Wierchownogo Sowieta SSSR" 1947 nr 17). Autorowi i innym osobom, które przebywały wówczas w obozowych więzieniach, jest jednak wiadome, że egzekucji dokonywano nadal. Wspomina o tym również Dmitrij Panin w *Zapiskach Sologdina* („Posiew", Frankfurt am Main, 1973). — **9.**2. Wkrótce politbiuro poleciło partyjnym organizacjom niższych szczebli organizować „spontaniczne" masowe petycje w sprawie przywrócenia kary śmierci dla „zdrajców ojczyzny, szpiegów, dywersantów...". Dnia 12 I 1950 Prezydium Rady Najwyższej ZSRR „wobec napływu petycji republik narodowych, związków zawodowych, organizacji chłopskich, a także działaczy kultury" wydało odpowiedni dekret („Wiedomosti Wierchownogo Sowieta SSSR" 1950 nr 3). — **9.**3. W obliczu masowego mordowania *stukaczy* przez więźniów (patrz *samooborona* **2**) władze zorganizowały kolejną akcję „spontanicznych" petycji, by 30 IV 1954 wydać dekret o wprowadzeniu kary śmierci dla osób skazanych za zabójstwo (Prezydium Rady Najwyższej; „Wiedomosti Wierchownogo Sowieta SSSR" 1954 nr 11); porównaj *stukacz* **2**.3. — **9.**4. Stopniowo — już bez specjalnych zabiegów ze strony ludności — kara śmierci zaczęła upowszechniać się coraz szerzej (patrz **1**.2 powyżej).

— **10.** Karę śmierci wykonuje się nie publicznie, ale w podziemiach specjalnej **rasstrielnej tiur'my**. Patrz *miasnoj dień*, porównaj **8** powyżej.
— **11.** Przez pół wieku bez mała oficjalne określenie kary śmierci (wciąż jeszcze uważanej za karę stosowaną wyjątkowo) wielokrotnie ulegało zmianom. Oto oficjalne nazwy w porządku chronologicznym:
1) **rasstrieł** (Zasady przewodnie prawa karnego RSFRR; *SU* 1919, 66:590);
2) **wysszaja miera nakazanija** (najwyższy wymiar kary) — kodeks karny z 1922. art. 33;
3) **iskluczitielnaja miera zaszczity gosudarstwa trudiaszczichsia — rasstrieł** (środek wyjątkowy obrony państwa ludzi pracy — rozstrzelanie) — kodeks karny z 1926, art. 21;
4) **wysszaja miera socyalnoj zaszczity — rasstrieł** (najwyższy wymiar obrony społecznej — rozstrzelanie) — *SU* 1927, 49:330;
5) **wysszaja miera ugołownogo** (w sprawach kryminalnych) **nakazanija — rasstrieł** (*SU* 1934, 33:255);
6) **smiertnaja kazń czeriez powieszenije** (dekret z 17 IV 1943);
7) **smiertnaja kazń** (od 1947).
— **12.** Nieoficjalne określenia kary śmierci przytoczono niżej w porządku alfabetycznym:
1) <*ląg., lud.*> **chłopnut'**;
2) <*lag., lud.*> **diewiat' gramm**: *poluczit' diewiat' gramm*; *jemu dali diewiat' gramm*;
3) <*lud.*> **k Duchoninu**, *poslat'* albo *popast'* (trafić);
4) <*lag., lud.*> **dyrka w zatyłok**: *dyrku w zatyłok poluczit'* albo *dyrku w zatyłok sdielat'* (zrobić dziurkę z tyłu głowy);
5) <*lag., lud.*> **na łunu** (na księżyc): *poslat'* albo *otprawit' na łunu*;
6) <*lag.*> **wo mchi** (pod mech): *poslat'* albo *otprawit'*;
7) <*lag., lud.*> **nalewo**: *pustit' nalewo*;
8) <*czek.*> **po pierwoj kategorii**: *osudit' po pierwoj katiegorii*;
9) <*lag., lud.*> **pula w zatyłok**: *poluczit' pulu w zatyłok* (dostać kulę w tył głowy); *dat' komu-nibud' pulu w zatyłok*;
10) <*czek., lud.*> **w raschod**: *pustit'' w raschod* albo *spisat' w raschod* (spisać na straty);
11) <*czek.*> **raschodowat'**;
12) <*czek., lag., lud.*> **raszlopat'** albo **raschłopat'**;
13) <*lag.*> **siem' kopiejek**: *poluczit' siem' kopiejek*;
14) <† *lud.*> **k stienkie** albo **pod stienku**: *postawit' k stienkie* albo *pod stienku*;
15) <*czek., lag., lud.*> **szlopnut'**;
16) <*lag., lud.*> **uchłopat'** (trzepnąć);

17) <*czek.*> **w.m.**;
18) <*lud.*> **wysszaja miera**;
19) <*łag.*> **wyszak**: *połuczit'* (dostać) *wyszaka*; *sidiet' wtoroj god pod wyszakom* albo *pod wyszkoj* (drugi rok z rzędu czekać na wykonanie wyroku śmierci);
20) <*łag.*> **wyszka** (patrz *19* powyżej);
21) <*czek.*> **ziemielnyj otdieł**: *pustit' w ziemielnyj otdieł* (odesłać do wydziału gruntów).
— **13.** Patrz *ispołnitiel*; *miasnoj dień*; *proszczat'*; *rasstrielnaja statja*; *rasstrielnaja tiur'ma*; *rasstriel*; *sidiet'* **3**; *smiertnik*; *uboj*; *wyszka* **1**.

STALIN (1879—1953) — absolutny władca Rosji i jej posiadłości od końca lat dwudziestych do 5 III 1953 (patrz *WRK*; *WCzK*; porównaj uwagi do hasła *proszczat'*).

1. Wstęp.
2. Oficjalne epitety Stalina w prasie i w radio.
3. Nieoficjalne epitety Stalina (ludowe i ogólnoczekistowskie).
4. Nieoficjalne epitety Stalina („*błatne*").

— **1.** Przez ponad 20 lat rządów Stalina w każdej audycji radiowej i w każdym numerze każdej gazety jego nazwisko wymieniano setki razy w dziesiątkach języków. Poczynając od Wielkiej Czystki (1937—38) propaganda partyjna łączy z nazwiskiem Stalina również nazwiska jego oberżandarmów: „stalinowski *narkom* N. I. Jeżow" itd.
— **2.** Niektóre z oficjalnych epitetów: a) **gienijalnyj Stalin**; b) **gumannyj Stalin** (tu: dobrotliwy); c) **mudryj Stalin**; d) **mudryj, gumannyj Stalin**; e) **Stalin — gienijalnyj prodołżytiel wielikogo Lenina** (Stalin — genialny kontynuator wielkiego Lenina; uwaga: genialny jest Stalin, nie Lenin!); f) **Stalin — eto Lenin siegodnia** (Stalin — to Lenin dnia dzisiejszego); g) **Stalin — łuczszyj drug** (najlepszy przyjaciel) — zależnie od okoliczności: artylerzystów, hutników, dzieci, kołchoźników, lotników, pisarzy, czołgistów, narodów uciśnionych itd.
— **3.** Niektóre nieoficjalne epitety Stalina (w powszechnym użyciu): a) **łuczszyj drug dietiej i mongolskogo rogatogo skota** (najlepszy przyjaciel dzieci i mongolskiej rogacizny) albo **łuczszyj drug buszmienskogo naroda i mongolskogo rogatogo skota**; b) **łuczszyj „drug" zakluczonnych** (najlepszy „przyjaciel" więźniów — uwaga: „przyjaciel" zawsze w cudzysłowie!); c) **łuczszyj drug czekistow** (bez cudzysłowu!); d) **choziain** (pan, gospodarz) — uwaga: **byt' u choziaina** — być więźniem; porównaj *sidiet'*.

— **4.**1. Niektóre nieoficjalne epitety Stalina (kryminalno-grypserskie): a) **gutalin**; b) **gutalinszczik**; c) **zwier'**; d) **pachan**; e) **trubka** (fajka); f) **us, usy** (wąs, wąsy); g) **usatyj, usacz** (wąsaty, wąsacz); h) **czort usatyj**; i) **czornożopyj**. — **4.**2. <*krym., lud.*> **Stalin w Kriemle na wsiech chuj położył** (porównaj *chuj* **3.**27) — uwaga: pod jedną z oficjalnych fotografii Stalina w kremlowskim gabinecie widniał podpis: „*Stalin w Kriemle o wsiech dumajet*".

WIĘZIEŃ POLITYCZNY (*politzakluczonnyj, politzakluczonnaja — politiczeskij zakluczonnyj, politiczeskaja zakluczonnaja*). Porównaj *k-r*; *kontrik*; *politikan*; *piat'diesiat wos'maja*.

1. „W ZSRR nie ma więźniów politycznych".
2. Eufemistyczne określenia więźnia politycznego.
3. Więźień polityczny uznany oficjalnie.
4. Biografia sowieckiego więźnia politycznego.
5. Nieoficjalne określenia sowieckiego więźnia politycznego.
6. Więzień polityczny — oficjalna wykładnia sowiecka.

— **1.**1. Natychmiast po przewrocie październikowym 1917 roku bolszewicy zaczęli zapełniać więzienia tymi, których uważali za swych przeciwników politycznych lub po prostu podejrzanych. Później okazało się to jedną z cech charakterystycznych państwa sowieckiego, mimo iż nie zawsze ujawnia się ona w tym samym natężeniu. Ponieważ jednak wedle utopii marksistowsko-leninowskiej w socjaliźmie miało następować obumieranie państwa (a wraz z nim instytucji więźniów politycznych), bolszewicy, ogłosiwszy się budowniczymi takiego właśnie socjalizmu, znaleźli się w sytuacji skłaniającej do twierdzenia, jakoby „w ZSRR nie było więźniów politycznych", tak więc ostatecznie anulowali to pojęcie (porównaj *wriemienno zadierżannyje*; patrz **2.**1 poniżej). — **1.**2. Uważano, że wkrótce więźniowie polityczni znikną. A tymczasem postanowiono stworzyć dla nich jak najcięższe warunki, wręcz zepchnąć ich na dno piekła penitencjarnego (tę bolszewicką nowinkę przejęły później państwa totalitarne Mussoliniego, Hitlera i innych). Stąd też wynikła konieczność znalezienia zastępczego terminu dla tej grupy.
— **2.**1. A oto i owe terminy zastępcze: poczynając od 1917 do początku 1940 **kontrriewolucyjonier (k-r)**; w 1926—59 — **piat'diesiat wos'maja** (od art. 58); od początku 1930 do chwili obecnej — **antisowietskij elemient**. Uwaga: termin *politzakluczonnyj*, początkowo używany na równi z „*k—r*", zastąpił tamten w latach trzydziestych, gdy wielkomocarst-

wowy szowinizm sowiecki począł coraz bardziej zdecydowanie wypierać nieprzydatny internacjonalizm. Wraz z wprowadzeniem w 1960 nowego kodeksu karnego zaczęto używać terminu „skazany za szczególnie groźne przestępstwo wobec państwa" (od zdrady ojczyzny do antysowieckiej agitacji). — 2.2. Ponieważ, wbrew przepowiedniom wielkich utopistów, liczba osób represjonowanych z powodów politycznych nie malała, lecz rosła, władza sowiecka krok po kroku wprowadzała dla nich coraz ostrzejszy rygor podkreślając, że więźniowie polityczni są gorsi od najbardziej skrajnych kryminalistów — recydywistów (patrz *drug naroda*). Doprowadziło to do takiego rozpasania tej ostatniej grupy, że władza stopniowo została zmuszona do rozszerzenia zakresu stosowania ostrych środków, które początkowo przeznaczono jedynie dla politycznych (porównaj KASTOWA WROGOŚĆ WIĘŹNIÓW 2, 4). — 2.3. W ostatecznym rachunku władza sowiecka uznała za niezbędne zrównanie kryminalistów — recydywistów z więźniami politycznymi, łącząc jednych i drugich we wspólną kategorię „skazanych za ciężkie przestępstwa" (kodeks karny z 1960, art. 24.1). Odtąd obie te grupy odbywały wyroki w jednakowych warunkach.

— 3.1. Kategorię więźniów politycznych uznawano oficjalnie od 1918 (porównaj *Solowki* 4.3, 5.1). Jednak już w początkach lat dwudziestych władza sowiecka poczęła kwestionować jej istnienie, a w 1930 — zlikwidowała ją ostatecznie ze skrajną brutalnością (patrz *Wierchnieuralskij central*; *Solowki* 5.2; MASOWE EGZEKUCJE 7, 11). Wszystkich politycznych, którym udało się ujść z życiem, od tej pory traktowano jako kontrrewolucjonistów (patrz *k—r*). — 3.2. Bolszewicy oficjalnie przyznali status więźnia politycznego członkom partii rewolucyjnych, których *CzK* zaczęła wyłapywać już w 1918, choć tak niedawno wraz z bolszewikami walczyli oni z caratem i wspólnie odsiadywali wyroki w carskich więzieniach. W tych odległych czasach bolszewicy krępowali się jeszcze nazywać ich „kryminalistami opłacanymi przez imperialistów", owi więźniowie polityczni korzystali więc niemal z takich samych przywilejów, jakie bolszewikom i innym rewolucjonistom zapewniało carskie więzienie (porównaj *politiczeskij rieżim*; *politpajok*; *Solowki* 5.1). Uwaga: w carskiej Rosji zaniechano co prawda rozróżniania więźniów politycznych i kryminalnych w 1839, w rzeczywistości jednak polityczni korzystali z wielu przywilejów, opisanych m. in. w książce *Katorżnyj ostrow. Wospominanija 16 bolszewikow o Szlisselburgie. 1907—1917.*[1]

[1] Pod redakcją Margolina. Leningrad 1966.

— **4.**1. W ciągu całej historii ZSRR obok więźniów politycznych istnieją „polityczni nie z własnej woli" — osoby dalekie od jakiejkolwiek działalności antysowieckiej (patrz *profilaktika*; KASTOWA WROGOŚĆ WIĘŹNIÓW 3). Podczas kolejnych czystek było ich szczególnie dużo. Od końca lat trzydziestych i w latach czterdziestych stanowili oni ogromną większość wśród więźniów politycznych. Patrz *piat'diesiat wos'maja*. — **4.**2. W warunkach życia w lagrach niektórzy polityczni przyswajali sobie cechy kryminalistów. Od końca lat trzydziestych kontyngent więźniów politycznych był systematycznie uzupełniany przez recydywistów, których za odmowę podjęcia pracy zaczęto skazywać jak politycznych „za sabotaż budownictwa socjalizmu"; patrz *otkaz* **1.**4. — **4.**3. W ciągu kilku pierwszych dni po napaści Niemiec hitlerowskich na ZSRR w 1941 tysiące więźniów politycznych zostało rozstrzelanych przez lokalne organa bezpieczeństwa państwa (patrz MASOWE EGZEKUCJE **18.**1), lecz wkrótce zaprzestano tego, a niepewne wyniku wojny *naczalstwo* zaczęło wręcz lepiej traktować więźniów, szczególnie politycznych (na oddalonej od frontów Kołymie zjawisko takie nie wystąpiło). Od momentu, w którym Armia Czerwona przeszła do ofensywy, wszystko wróciło do normy i pojawiły się nowe obostrzenia (patrz *KTR*; *spiecłag*). — **4.**4. Poczynając od 1942—43 w łagrach pojawił się nowy rodzaj więźnia politycznego. Byli to dawni żołnierze frontowi Armii Czerwonej, a także patrioci ukraińscy, litewscy i inni, którzy w oddziałach partyzanckich walczyli z hitlerowską i sowiecką okupacją. Podjęli oni energiczną walkę z rozpasaniem kryminalistów i administracji (porównaj *rubiłowka* **1**; STRAJKI 3). W oczach mas łagierników i administracji autorytet więźniów politycznych zaczął rosnąć. Porównaj **4.**1 powyżej; *politik*. — **4.**5. Poczynając od lat sześćdziesiątych niektórzy dysydenci coraz częściej kwalifikowani byli jako chorzy psychicznie i zamykani w stosownych instytucjach (patrz *psichotiur'ma* **3**). Innych skazywano za „szczególnie groźne przestępstwa przeciw państwu" lub podciągano pod artykuły kryminalne (patrz *statja* **1.**1). W demokratycznych państwach nazywa się ich więźniami sumienia. Terminu tego używa również sowiecki *samizdat*.

— 5.1. Rozmaite określenia ogólne więźnia politycznego: <† *lag.*> **antigitlerowskij faszyst**, <*czek.*, *lag.*> **antisowietczik**, <*lag.*> **wrag naroda**, <*urz.*> **wrag riewolucyi**, <*lag.*> **wriemienno zadierżannyj** (tymczasowo zatrzymany), <*czek.*, *urz.*> **izmiennik rodiny** (zdrajca ojczyzny), <*czek.*, *lag.*> **kaer**, <† *lag.*> **komsomolec**, <*czek.*, *lag.*, *lud.*> **kontra**, <† *lud.*> **kontrik**, <† *czek.*, † *lag.*> **kontriuga**, <† *czek.*, † *urz.*, † *lud.*> **k-r**, **piat'diesiat wos'maja** (od art. 58),

<† *lag.*> **polit**, <† *krym.*, *krym.*> **politik**, <† *krym.*> **politikan**, <*krym.*> **trakcyst** (zniekształcone: trockista), <† *urz.*> **ubijcy** (zabójcy) **Wojkowa**, <† *urz.*> **ubijcy w biełych chałatach**, <† *urz.*> **ubijcy Kirowa**, <*łag.*> **uznik sowiesti** (więzień sumienia), <*krym.*> **faszyst**. — **5.2.** Różne nazwy nadawane skazanym za „agitację" lub „szkalowanie rzeczywistości sowieckiej": <*czek.*, *lag.*> **agitator**, <*lag.*> **aniekdotczik**, <*czek.*, *lag.*> **antisowietczik**, <† *urz.*> ASA, <*lag.*> **bołtun** (gaduła), <† *lag.*> **bołtuszka**, <† *lag.*, † *lud.*> **diesiatyj punkt**, <† *lag.*> **jazycznik**, <*urz.*> **KRA**, <*lud.*> **siemidiesiatnik** (od art. 70).
— **6.** „Więzień polityczny w krajach kapitalistycznych — osoba przebywająca w więzieniu za działalność rewolucyjną" (*Słowar' Sowriemiennogo Russkogo Litieraturnogo Jazyka*, Moskwa—Leningrad 1950—65, t. 10, s. 996).

*

Kwalifikatory podane w nawiasach ostrych przed hasłami słownikowymi precyzują środowiskowy zakres funkcjonowania wyrazu, porzekadła lub przysłowia. W przypadku wyrazów, które wyszły już z użycia, kwalifikator poprzedzono symbolem mizerykordii. Przyjęto następujące skróty:

<*lud.*> — ludowe
<*urz.*> — termin oficjalny
<*lag.*> — ogólnowięzienno-łagrowe
<*krym.*> — żargon kryminalistów
<*czek.*> — żargon czekistów lub strażników

Od wydawcy: Jacques Rossi, urodzony przed osiemdziesięciu z górą laty we Francji, po drugim zamążpójściu matki zamieszkały w Polsce. Podczas wojny domowej w Hiszpanii był tam skierowany przez Komintern z misją specjalną na tyły Franco. Lata 1937—61 spędził w więzieniach i łagrach ZSRR. Poliglota o wyczulonym słuchu językowym, od 1961 gromadził fiszki z materiałem leksykograficznym dotyczącym Gułagu. Część z tych fiszek — ponad 3000 — posłużyła do sporządzenia ***Sprawocznika po Gułagu*** *(1987), tyleż słownika, ile encyklopedii, bezcennej dla językoznawców, historyków, socjologów, ludzi pióra zajmujących się tą problematyką. W swej systematyczności jest to przerażająca wiwisekcja świata obozowego, który w wymiarze językowym i pojęciowym ogarnia świadomość całego społeczeństwa, ukształtowanego przez władzę totalną.* ***Sprawocznik po Gułagu*** *jest swego rodzaju podręcznikiem i „anatomią" mentalności Kremla.*
Przewodnik po Gułagu*, w wersji skróconej za zgodą Autora, zamieszkałego dziś w Paryżu, ukaże się w polskim przekładzie nakładem oficyny PEN.*
Przekład (zbiorowy) przejrzał i zweryfikował Adam Pomorski. Wersję polską opracował Marek Drabikowski.

Nieznany autor rosyjski z początku lat siedemdziesiątych XX wieku

Słownik pojęć służących do owijania w bawełnę

Sądząc po numeracji zachowanych kartek, całość rękopisu liczy około stu stron i zawiera co najmniej tysiąc haseł. Jeśli chodzi o wspomniane w brulionach autorskiej przedmowy cztery woluminy, trudno powiedzieć, czy udało się ów zamysł zrealizować. Można jedynie stwierdzić, że autor zamierzał opracować czterotomowy słownik pojęć powszechnie używanych do owijania i nawijania.
Materiały znaleziono w tym samym miejscu, co *Tęczową republikę*.

A. Turbin

Apolityczność (*apoliticznost'*). Brak wszechogarniającego zainteresowania dla misterium; przejawia się w postaci pokasływania, ziewania, rozglądania się wokół, szeleszczenia czymś, wymieniania szeptem uwag na tematy pozamisteryjne, na przykład na temat tego, czy będą w bufecie parówki. Antonim: **Aktywna postawa**, zachowanie całkowitego spokoju, brak zainteresowania parówkami.

Bezpłatność (*biesplatnost'*). Tajemnica przemienienia tego, co osobiste, w to, co społeczne i z powrotem; ta połowa moich pieniędzy, którą mógłbym przepić od razu, trafia w pewniejsze ręce i w odpowiedniej chwili wydawana jest na to, by mnie bezpłatnie leczyć z alkoholizmu.

Bezrobocie, którego nie ma (*biezrabotica, kotoroj niet*). Rytualne zajęcia wykonywane przez 8 godzin i 12 minut codziennie prócz soboty i niedzieli: wedle wyobrażeń misteryjnych, zapewnia stopniowe wznoszenie się od

dobrobytu wojującego (kto nie pracuje ten nie je) do dobrobytu tryumfującego (kto pracuje ten je). Por. **protestacyjny wiec**.

Biurokrata (*biurokrat*). Postać komiczna: drobny urzędnik z pretensjami ponad stan. *Biurokracja*, niesprawność zadufanych urzędników, bałagan, komplikacje mogące spowodować *Trudności przejściowe*. (Przykład kanoniczny: jawna nieruchawość odpowiedzialnego za obroty Ziemi wokół własnej osi i równie oczywiste niechlujstwo, brak koordynacji działań między odpowiedzialnym za obroty Ziemi wokół Słońca oraz Słońca wokół Ziemi, co w rezultacie doprowadziło do nieurodzaju owoców cytrusowych.)

Bodźce moralne i materialne (*stimuły moralnyje i materialnyje*). Różnorakie a przemyślne sposoby skłaniania widzów do tego, by drgnęli i przez swój wymuszony udział nadali scenom *Sukcesów w pracy* oraz *Wykonań przedterminowych* właściwą skalę; należy przy tym, oczywiście, dbać o nienaruszanie regulaminu i porządku, publiczność jednak, obawiając się, iż może niechcący coś naruszyć, nie zawsze łasi się na bodźce, z reguły jednak wykazuje *Entuzjazm niesłychany* i wypowiada odpowiednie kawałki tekstu, tj. *Wyrazy wdzięczności i zaufania*.

Bogactwa niesłychane (*bogatstwa niewidannyje*). Składają się na nie *Zasoby nieprzebrane* (metale leżące pod ziemią), *Rezerwy niewykorzystane* (metale leżące na deszczu) oraz *Inicjatywy niewyczerpane* (różnorakie projekty, mające na celu przerwanie opadów deszczowych).

Człowieka nowego kształtowanie (*Formirowanije nowogo czełowieka*). Tajemny obrzęd, dokonywany za opuszczoną kurtyną; towarzyszy mu głośna i radosna muzyka, na ogół piosenki z komedii filmowych.

Duma (*gordost'*) **1) naszego człowieka**. Jego własne, szczególne mniemanie, że tak też jest nie najgorzej; **2) z naszego człowieka**. Przekonania, że stanowi on zbiór i źródło cnót wszelakich dopóki masz go, gnoja, na oku.

Dynastia sławna (*dinastija slawnaja*). Powstaje ona wówczas, gdy nie miejsce, które zdobi człowieka, lecz stanowiska, które on zdobi, zostają przezeń przekazane jego dzieciom; dziedziczą one przy tym nie tyle to, co przemijające, tj. ubiór oraz rekwizyty, ile to, co wieczne — rolę. Używane w odniesieniu do *Naszych najlepszych ludzi*.

Fakty nieodparte (*fakty nieoprowierżymyje*). Zjawiska, istoty oraz istnienia, których się nie dyskutuje.

Filozofia (*filosofija*). Zwolnienie z troski o inne nauki przez przeniesienie wszystkiego, co w nich najlepsze, na teren filozofii i nazwanie jej nauką.

Hart ideowy (*zakałka idiejnaja*). System całościowego treningu wytwarzający odporność na dowolne idee, tj. *niezłomność ideowa*.

Historia (*istorija*). Przeszłość i nauka o niej. Ta druga na tym się zasadza, by nie puszczać przeszłości na żywioł, lecz wspierać jej umoralniający i dydaktyczny charakter poprzez ponowne rozgrywania przegranych bitew. *Doświadczenie historii uczy*.

Historii fałszowanie (*falsifikacyja istorii*). Próba przedstawienia tego, co rzeczywiste jako tego, co znaczące.

Humanizm abstrakcyjny (*gumanizm abstraktyjnyj*). Umiłowanie człowieka, który jeszcze nie wypełnił ankiety; ogólnie miłość nieselektywna, podniesiona do godności zasady, do jawnego wręcz wezwania „Miłujcie nieprzyjacioły wasze". Antonim. *Humanizm prawdziwy*. Praktyka ufundowana na jak najsurowszej wybiórczości uczucia, uzupełniona przez postrzeganie dowolnego przedmiotu, w tym przedmiotu uczuć, jako jedności przeciwieństw; jeśli wróg nie poddaje się — likwidujemy przyjaciela.

Idei zwycięstwo (*torżestwo idiej*). Wyszydzanie materii, umartwianie ciała.

Jak wiadomo (*kak izwiestno*). Nieodzowny argument *Logiki bezlitosnej*: nie jest to powołanie się na cokolwiek, co by komukolwiek służyło, lecz zdecydowany ruch głową wskazujący na miejsce, w którym w danej chwili leży prawda. Wszystko co się dobrze kończy jest dobre, a ponieważ wszystko, jak wiadomo, kończy się dobrze, to znaczy, że było dobre, zaś wszystko co jest, zmierza ku lepszemu, ponieważ, jak wiadomo, będzie jeszcze lepiej niż jest.

Jednomyślność (*jedinoduszije*). Spontaniczna, niezależna od obecności bileterów troska publiczności o to, by nie zakłócić porządku. Widz, nawet pozostawiony sam sobie, nie jest pewien czy chciałby ów porządek naruszyć, a to dlatego, że w skrytości ducha uważa się nie tyle za ograbionego, co za przekupionego; znajdując się w gromadzie, poza domem, skłonny jest patrzeć na siebie jak na uczestnika, współwykonawcę misterium, zobowiązanego do dbałości — pełnej pokory, jeśli nie dumy — o zachowanie dostojnego charakteru widowiska. Używane w złożeniu *Jednomyślne poparcie*.

Krytyka (*kritika*) **1) konstruktywna**. Rozważania mające na celu zwiększenie etatów (w szczególności zaś rozważania na temat redukcji etatów); **2) literacka**. Badania dotyczące szkód, jakich doznać może

fabuła i styl misterium w rezultacie dowolnych indywidualnych poczynań; 3) **miażdżąca**. Umiejętność odpowiedzenia na dwa tysiące słów trzema właściwie dobranymi.

Kult jednostki (*kult licznosti*) 1) (**med.**). Stosunek koryfeusza do siebie samego, odmiana narcyzmu; stanowiąc dominantę zespołu charakterologicznego, uwarunkowanego przez psychopatyczny status i narastające zmiany na tle sklerotycznym, nie poddaje się diagnozie za życia jednostki, lecz jedynie przy pomocy badań anatomo-patologicznych. *W okresie kultu jednostki* — za życia nieboszczyka; 2) (**socjol.**). Stosunek publiki do siebie; w sytuacji w której zostaje pozbawiona wszystkiego, co tworzyło dostatek i godność każdego, pociesza się ona myślą, że w ten sposób powstało jakieś bogactwo bezmierne i nie jest nawet w stanie dopuścić, iż skarb ów, o ile nie był od początku zwidem, to i tak został rozgrabiony, publika bowiem wierzy, iż dzięki czarom skarb stał się własnością jedno-jedynego indywiduum, które włada nim w imieniu i dla dobra wszystkich. *W okresie kultu jednostki* — w dowolnym czasie, w którym jednostka jako taka nie jest przedmiotem czci. Por. **Miłość powszechna**.

Kultura (*kultura*). Domena stanów ducha. Chodzi o posługi na rzecz osób i osobistości, które ulokowały się na scenie lub w pobliżu tejże, K. powołana jest do tego, by po pierwsze, osoby te pocieszyć, hołubić ich uczucia, leczyć dusze zapewniając, że pochodzenia są prawego a nawet szlachetnego i nie są żadnymi samozwańcami, wrażenie zaś wywierają wręcz znakomite; po drugie, że to, co się dzieje, jest konieczne, a ich własne działania są przyzwoite, tak iż na scenie znaleźli się nie przypadkiem i na długo. [Nadto zaś, że nie przelewają tam z pustego w próżne, nie biją piany, żaden z nich nie wypadł sroce spod ogona, a wręcz przeciwnie, każdy to i owo rozumie, zupełnie jak człowiek, poczytać lubi coś interesującego, na wywczasach piórem skrobnąć, zjeść smacznie, pieśni łzy wyciskających posłuchać, samemu zaintonować i w ogóle]*.

Legenda (*legienda*). Fakt (lub artefakt) witaminizowany, nadający się do użycia.

Ludowładztwo prawdziwe (*narodowlastije istinnoje*). Ostateczne zniesienie tak charakterystycznego dla antymisterium podziału na publiczność i trupę; organizacja życia, przy której petent zjawiając się w urzędzie siada po obu stronach biurka, i naczelnik uważnie wysłuchuje sam siebie, reaguje

* W nawiasach kwadratowych uzupełnienia dopisane nieznaną ręką.

przychylnie i bez zbędnej pisaniny opatruje własne podanie pozytywną decyzją, boleśnie przy tym odczuwając jak pustoszeje jego kieszeń, a zarazem rozkosznie pęcznieje druga lub nawet ta sama.

Mądrość (*mudrost'*) **1) polityczna.** *Dać dowód mądrości politycznej* — nagle dać do zrozumienia niczego nie podejrzewającej publiczności, że sprawy stoją kiepsko, a winni i tak wykręcą się sianem, **2) kolektywna.** Genialność nie gorsza od poprzedniej, ale składkowa.

Miłość powszechna (*lubow' wsienarodnaja*). Patrz: **Oddanie bezgraniczne.**

Moc niezwyciężona (*siła nieobrimaja*). Zdolność do trwania przez nieokreślony czas w stanie agonalnym bez zejścia śmiertelnego.

Nacisk administracyjny (*administrirowanije goloje*). Patrz: **Nacisku administracyjnego metoda.**

Nacisku administracyjnego metoda (*mietod gołogo administrirowanija*). Grzeszy jednostajnością, polegającą na nieroztropnym, utopijnym niedocenianiu cukierka.

Najlepsi ludzie (*luczszije ludi*). W pierwszych rzędach i w parterowych lożach.

Napięcie utrzymujące się (*napriażonnost' sochraniajuszczajasia*). Syn. **Rozwiązania zarysowującego się.** Dumne, bezkompromisowe przeciwstawienie *Przewag niesłychanych* — *Zyskom baśniowym.* Podstawowy, fabularny wątek misterium.

Nienawiść bestialska (*nienawist' zwierinaja*). Właściwość sił demonicznych, na próżno starających się zachwiać *Niezachwianiem* i przeszkodzić cudowi *Przemienienia*, posługując się *Zamiarami zbrodniczymi*, *Rachubami perfidnymi*, *Knowaniem nieustannym*, *Sprzeciwem wściekłym* oraz *Kampanią* w *niczym nie przebierającą.*

Nietypowe (*nietipicznoje*). Jedna tylko strona rzeczywistości — ta dostępna bezpośredniej obserwacji.

Niezłomność (*niezyblemost'*). Cud, którego obecność jest oczywista (istnieje wszak i *Fundament granitowy*, i *Pewność niezachwiana*, i *Stanowisko niezmienne*, i *Wierność bezgraniczna nakazom świętym*); *Niezłomność* z *Przemienieniem* są nierozłączne i tworzą kardynalny cud dwójjedyności; cud ów stanowi źródło niewyczerpalne misterium, a jego codzienne przejawy — *Marzeń ucieleśnienie*, *Świadectwo w oczy bijące*, *Demonstracja wzruszająca* oraz *Dowód naoczny kolejny* — tworzą fabułę misterium.

Oburzenie słuszne (*wozmuszczenije zakonnoje*). Wybuch uczuć obywatelskich z powodu wydarzeń w miejscach geograficznie odległych; nie wiąże się z naruszeniem ruchu ulicznego.

Oczernianie (*oczernienije*) **1) rzeczywistości**. Niezborna próba dostrzeżenia czegoś ogólnego w *Brakach poszczególnych*, które na mocy definicji są poszczególne; **2) przeszłości**. Brak szacunku dla własnego okrutnego strachu przeżytego 20, 30 lub 40 lat temu.

Oddanie żarliwe, bezgraniczne (*priedannost' biespriedielnaja, biezzawietnaja*). Uczucie naturalne, cnota organiczna i wewnętrzna opoka tych, dla których ziściły się wreszcie *Marzenia odwieczne* i jak gdyby nastąpiły *Czasy historyczne*, w których nie miejsce na bycie rabem.

Patriotyzm (*patriotizm*). Dążenie do tego, by u nas było jak u ludzi, a jeśli nie jest, a nawet jest na odwrót, dowodzenie, iż owo na odwrót jest czymś szczególnie cennym.

Pewność jutra (*uwieriennost' w zawtraszniem dnie*). Podyktowane przez intuicję i oparte na doświadczeniu przeczucie, że to jeszcze nie koniec, że ciąg dalszy nastąpi i że to może właśnie jutro rzucą parówki.

Pijaństwo (*pjanstwo*). Próba spowodowania strat społecznych pośrednich, przewyższających czerpane zeń zyski bezpośrednie.

Planowanie (*planirowanije*). Metoda osiągnięcia raju ziemskiego poprzez znajdowanie matematycznie precyzyjnej odpowiedzialności między ilością wytapianej surówki a zbawieniem duszy.

Podniecenie niezdrowe (*ażiotaż niezdorowyj*). Poruszenie umysłów wywołane przez niedojrzałe dzieło sztuki lub niedojrzałe działania obywateli, tj. przez taki utwór lub działanie, które nie posiada rytualnej formy i magicznej treści.

Podstawy naukowe (*fundamient naucznyj*). Teoria magii udzielająca ostatecznej odpowiedzi na pytanie, co skąd się bierze. Pozwala jej to na ustalenie we właściwym porządku przyczyn i skutków: susza — nieurodzaj; pijaństwo — zastój gospodarki; wytyczone zadania — osiągnięte rezultaty; występowanie poszczególnych zaniedbań — przyszłe obszerne uchwały.

Polityka wierna zasadom, konsekwentna (*prowiedienije politiki principialnoj posledowatielnoje*). Import zboża, któremu towarzyszy eksport widowisk.

Pomoc braterska (*pomoszcz' bratskaja*). Uratowanie tonącego, który sądził, że nurkuje. Antonim: **Ingerencja bezczelna**.

Pracy socjalistycznej bohaterem być (*trudowoj podwig*). Własnym ciałem uszczelniać dziurawe sito gospodarki.

Prawda (*prawda*) **1) wielka**. Ogólny widok wspaniałego gmachu w promieniach wschodzącego słońca; **2) prawdulki szemrane** (*pluralis tantum*). Drobiazgowe przyglądanie się wspaniałemu gmachowi, niedelikatne i drobiazgowe wyszukiwanie szczegółów, takich jak odpadające gdzieniegdzie tynki i budka wartownicza przy bramie; **3) prawda żołnierska.** Rozmówki o tym, że jakoby żołnierz rozumie więcej niż generał.[1]

Praworządności naruszenie (*naruszenije zakonnosti*). Nadmierna aktywność poszczególnych bileterów, zatroskanych brakiem należytej uwagi ze strony publiczności, mimo iż na gwizdy, niewłaściwe okrzyki i śmierdzące jajka nawet się nie zanosi.

Protestacyjny wiec (*miting protiesta*). Syn. **Solidarnościowy wiec, przerwa na papierosa**. Nieobecność w miejscu pracy i w czasie pracy; w przeciwieństwie do strajku, nie ma na celu zwiększenia zapłaty za tę samą pracę, lecz zmniejszenie pracy za tę samą płacę.

Próba czasu (*ispytanije wriemieniem*). Doświadczenie, którego celem jest zbadanie trwałości wytworów ducha (zasad, przesądów itp.) w danej społeczności i w głowach poszczególnych jej członków; czas eksperymentu — półwiecze lub dłużej, optymalny okres badania jednostki — 17 lat. (Patrz: **wyrok historycznie krótki**.) *Wytrzymać próbę czasu, być potwierdzonym przez czas* — określenia dotyczące losu wspomnianych, niematerialnych substancji, używamy ich, gdy substancje mimo przewrotność losu a także samej społeczności i jej członków przetrwały (w tej lub innej postaci). Zasady jako przesądy, przesądy jako zasady itp. są szanowane przez tych, którzy podlegali przewrotnościom losu lub tych, co szykowali je dla innych.

Przemienienie (*prieobrażenije*). Cud; jawi się w kształcie *Przekształcenia* (urzędu w urząd), *Metamorfozy* (pustyni w sad kwitnący lub *vice versa*), *Przemianowania* (zaułka na ulicę, ulicy na aleję, wsi na miasto i niekiedy na odwrót, wskutek czego obiekty rokujące jakąkolwiek nadzieję ulegają powiększeniu, najrozmaitsze zaś wytwory natury zmieniają się w złoto

[1] „Jest to zupełnie niemożliwe, gdyby bowiem rozumiał więcej, to byłby już plutonowym, a może nawet sierżantem, generał zaś, który rozumiałby mniej, byłby, powiedzmy, pułkownikiem, ale przecież nie generałem" (ze wspomnień wojennych *Tam i z powrotem* — przypis w rękopisie).

— czarne, białe, niebieskie, zielone, miękkie itd., co sprawia, że złotem jako takim można się nie przejmować, a wszystkim pozostałym tym bardziej). Patrz: **Reorganizacja** oraz **Uwiecznienie**.

Przeświadczenie niewzruszone (*ubieżdionnost' niepokolebimaja*). *Niezłomność ideowa*, której towarzyszy wyobrażenie, iż rosnące w urzędach palmy zaczną któregoś dnia owocować. Patrz: **romantyka**.

Przewagi oczywiste (*prieimuszczestwa wieliczajszeje*). Składa się na nie zespół *Możliwości ogromnych*, *Jedności moralno-politycznej*, *Oceny jedynie słusznej*, *Środków przedsięwziętych*, *Środków przedsięwziętych we właściwym czasie*, *Środków konkretnych*, *Środków realnych* oraz *Odzewu w sercach gorącego*.

Przewidywanie naukowe (*priedwidienije naucznoje*). Umiejętność ustalenia zawczasu swego stosunku do dowolnych nowości i nowinek tak, by następnie, gdy te się pojawią, zachować postawę niewzruszoną, nie upatrując w nich niczego nowego.

Przystosowanie społeczne (*socyalnaja adaptacyja*). Prawidłowe przyzwyczajanie się do wszystkiego dobrego, któremu towarzyszy dumna obojętność względem całej reszty; nasila się z wiekiem, dochodząc do zachwytu nad wszystkim co jest i wrogości wobec tego czego nie ma; brak przyzwyczajania się jest nienormalny, a w ciężkich przypadkach prowadzi do groźnych zachowań, wręcz do wybryków.

Przyszłość lepsza (*ludszeje buduszczeje*). Syn. **Przyszłość świetlana, Szczęśliwe jutro.** Zgoda z misterium, zdecydowanie ateistyczna koncepcja życia pozagrobowego.

Pytanie prowokacyjne (*wopros prowokacyonnyj*). Stawiające pytanego w niewygodnej sytuacji i wyzwalające w nim naturalną chęć anihilacji pytającego.

Referat historyczny (*dokład istoriczeskij*). Popisowy numer wmontowanego w misterium show pt. *Wydarzenie historyczne w skali światowej* (niezmienny sukces tego monologu bierze się stąd, że tekst sam w sobie zupełnie nie zabawny wypowiadany jest przezabawną dykcją).

Renegat (*otszczepieniec*). Osobnik, który zwątpił w skuteczność działań magicznych, co świadczy o tym, że niewątpliwie uprzednio coś ukradł, a także wielokrotnie gwałcił dziewice i z reguły dokonał ojcobójstwa, przy czym należy wyjaśnić, czy tylko jednokrotnego.

Reorganizacja (*rieorganizacyja*). Połączenie *Ministerstwa Wyglądu Zewnętrznego* i *Ministerstwa Zawartości Wewnętrznej* w jedno *Ministerstwo Oglądu Całościowego*, a następnie podzielenie go na trzy nowe ministerstwa w związku z koniecznością realistycznego pogodzenia się z istnieniem takich zjawisk jak krótkowzroczność, dalekowzroczność oraz ślepota.

Rola kierownicza (*rukowodiaszczaja rol*). Specyficzne emploi reżysera-rezonera; chroni lub przerywa dowolną improwizację, podtrzymując należny misterium monotonnie tryumfalny ton.

Romantyka (*romantika*). Suma dwóch wyobrażeń: a) dla sprawy jest korzystniej, a dla wykonawcy przyjemniej, by wszystko zaczynać od końca, b) śmierć ze starości jest ze wszystkich możliwości najmniej porywającym sposobem umierania.

Sługi (*sługi*) **1) narodu**. Ogólna nazwa szeregu typów (masek) misterium; tradycyjną treścią roli sługi narodu jest opowiadanie panu bajki; **2) najemne**. Wspominane w tekście misterium postacie antymisterium; ich cechą wyróżniającą jest to, że po zrzuceniu maski ukazują swe *Oblicze prawdziwe*.

Społeczność światowa (*obszczestwiennost' mirowaja*). Ta, której się podobamy. Antonim: **Kręgi określone**, którym się nie podobamy.

Środki przedsięwzięte (*miery namieczennyje*). To samo co *Błędy dopuszczone*, sens zależy od etapu.

Troska o codzienne potrzeby niesłabnące (*wnimanije k nużdam powsiedniewnym nieoslabnoje*). Miłosna dbałość o wygody ludzkie będące źródłem nieprzeliczonych, wzruszających udoskonaleń, np. takiego jak reguła, zgodnie z którą po towary sprzedawane na sztuki oraz po te, które trzeba ważyć stoimy w jednej kolejce.

Troska o kadry (*otnoszenije k kadram bierieżnoje*). Syn. Atmosfera **spokojna, rzeczowa**. Gdy wykonawcy głównych ról mają dożywotnie angażman. Antonim: **Woluntaryzm**.

Uczucie (*czuwstwo...*) **Dumy, Radości, Zadowolenia**. Duma, radość i zadowolenie umiejscowione są poza poszczególną jednostką, w związku z czym nie są odczuwane ani przeżywane indywidualnie.

Utwór odważny (*Smiełost tworczeskaja*). Płód wytrenowanego natchnienia, utwór jak gdyby ryzykowny, a, patrzcie państwo, trafił w dziesiątkę.

Uwiecznienie (*uwiekowieczenije*). Nadawanie przedmiotom trwałego użytku imiona koryfeuszy bieżącego sezonu.

Wolność słowa (*swoboda słowa*) **1) tak zwana**. Możliwość różnokierunkowego składania niecelowych wniosków, występowania z żądaniami nie na czasie, dopuszczania niesłusznych wypowiedzi, niestosownych replik i zadawania prowokacyjnych pytań, które nie spotykają się z *Daniem odporu*; **2) prawdziwa**. Urzeczywistnia się zespołowo w postaci *Potępienia właściwego* lub *Aprobaty gorącej*.

Wszyscy jak jeden mąż (*wsie, kak odin*). (Uwaga, forma błędna: **jeden jak wszyscy inni**.) Patrz: **jednomyślność**.

Wykonanie przedterminowe (*wypolnienije dosrocznoje*). Utrwalone w ciągu dziesięcioleci zwykłe kończenie siewów wiosennych na dwa lub trzy dni wcześniej niż w roku ubiegłym.

Wysoki stopień uświadomienia (*wysokaja soznatielnost'*). Wersja oraz ocena wydarzeń ulokowana w świadomości wyżej od innej wersji i przeciwstawnej oceny oraz dążąca do zdławienia i likwidacji tych drugich; w rezultacie obie współistnieją i jakoś godzą się.

Wzrost (*podjom*) **1) dalszy**. Stale ponawiane próby wydobycia się z jamy, bajora itp; **2) entuzjazm niesłychany**. Normalny stan ducha normalnej jednostki i kolektywu.

Zamęt, rozchodzenie się (*razbrod*). Uchylanie się od obecności; niezrozumienie we właściwym czasie, że antraktów więcej nie będzie, starczy.

Zasadom wierność (*princypialnost*). Pewne siebie dysponowanie dostępnymi zasadami i oparta o to umiejętność szybkiego wyboru tej, która pasuje do danej sytuacji; *pomysłowość*.

Zaspokojenie pełne potrzeb materialnych oraz duchowych rosnących (*udowletworienije polnoje potriebnostiej matierialnych i duchownych rastuszczich*).

Zjawiska niedopuszczalne (*jawlenija niedopustimyje*). Codzienność gardząca należnymi formułami, życie takie jakie jest.

Zaufanie bezgraniczne (*dowierije biezgranicznoje*). Stan zgromadzonych, stanowiący nieodzowny warunek rozkoszy estetycznej, zaczyna się już w szatni; dotychczas nie zaobserwowany w warunkach prywatnych.

Od tłumacza

Najpierw o tytule. Po rosyjsku *Słowar' obiniakow*, co należałoby przełożyć jako *Słownik ogródek* (lub *ogródków*). Rzecz w tym, że po rosyjsku *goworit' biez obiniakow* to dosłownie tyle, co mówić bez ogródek (lub bez owijania w bawełnę). Ale po rosyjsku można powiedzieć *goworit' obiniakami*, tj. mówić ogródkami, ponieważ słowo *obiniak* istnieje samodzielnie. W polszczyźnie *ogródki* w tym sensie nie istnieją. I stąd zawiły tytuł polskiego przekładu. Gdyby ktoś wymyślił zwięzły i zrozumiały odpowiednik *obiniakow* — przyjmę pomysł z radością. Mnie się nie udało.

Autorem tekstu jest zapewne A. Turbin, co może być pseudonimem i odesłaniem do Bułhakowa. Informacja „Nieznany autor rosyjski..." oraz wstępna nota stanowią część składową żartu na tematy poważne, jakim jest *Słownik pojęć służących do owijania w bawełnę* — demaskatorski i prześmiewczy słownik nowomowy w jej „klasycznej" wersji[1]. W sowieckich środkach masowego przekazu i w ogóle wszelkiej oficjalnej komunikacji panowała ona niepodzielnie jeszcze kilka lat temu. Jej dominacja, wzmacniana przez i wzajem wzmacniająca aparat represji, była tak wszechobecna, iż zatruwała znaczną część mowy prywatnej albo dlatego, że *homo sovieticus* nie umiał inaczej nazywać świata, albo bał się używać innego języka, tj. bał się rodziny, przyjaciół, kolegów, o przygodnych znajomych nie wspominając. W Polsce panowanie nowomowy nigdy nie było tak niepodzielne, nadto zaś długotrwała skądinąd erozja tego typu dyskursu zaczęła się pod koniec lat pięćdziesiątych.

I tu uwaga pierwsza. Tych czytelników słownika Turbina, którzy pamiętają czasy bierutowskie czy gomułkowskie uderzy zapewne do jakiego stopnia dykcjonarz nowomowy żywcem przejęty był z sowiecko-rosyjskich wzorów (z wyjątkiem „służby bezpieczeństwa" — była to kalka nazistowskiego Sicherheitsdienst). Owo zapatrzenie na Moskwę nie cechowało wyłącznie polskich komunistów. Nowomowa jako niezbywalny składnik komunizmu podlegała dyrektywom ojczyzny międzynarodowego proletariatu w tym samym stopniu, co partie komunistyczne — francuska, brazylijska, nowozelandzka, etc. A nawet, w szerszym zakresie, ponieważ nowomową — czasami nieco rozcieńczoną — posługiwali się tzw. sympatycy (*poputczik*,

[1] Przede wszystkim, ale nie wyłącznie. Na przykład punkt drugi hasła **Oczernianie — Oczernianie przeszłości** — odnosi się wyraźnie do współczesnych sowieckich polemik; dowcip owego hasła bez choćby szczątkowej wiedzy o tych polemikach (i znajomości historii ZSSR) byłby niezrozumiały.

fellow-traveller, compagnon de route) w salonach, redakcjach, komitetach na rzecz, a także na katedrach i w college'ach najsłynniejszych uczelni. *Słownik pojęć służących do owijania w bawełnę* posługuje się trzema chwytami demaskatorskimi i zarazem powodującymi efekt komiczny.
Pierwszy polega na wskazaniu na rytualny, parareligijny, teatralny charakter operacji słownych i w ogóle całej zewnętrzności komunizmu. Turbin wprowadza pojęcia z normalnego języka używając ich jako metafor: *widownia, bileterzy, misterium, przemienienie*. W tym ostatnim przypadku Autor korzysta z większej homonimiczności rosyjskiego słowa *prieobrażenije*, które oznaczać może zarówno przemienienie jako transsubstancjację oraz przekształcenie (przyrody, stosunków społecznych). W polskiej wersji nowomowy funkcjonowało, rzecz jasna, tylko przekształcenie tego lub owego. (Uwaga nie na temat: nie wiem, czy komentatorzy poezji Herberta zauważyli, iż „pułki Przemienienia Pańskiego" w wierszu *Raport z oblężonego miasta*, to aluzja do słynnego od czasów Piotra I prieobrażenskiego pułku). Owa *widownia, przemienienie* itp. odnoszą się do nie-stosunku między misteryjnym, pseudoreligijnym charakterem komunistycznego teatrum, a szeptem „na temat tego, czy będą w bufecie parówki". Parówki są antytotalitarnym szeptem wewnątrz totalitarnego języka i — należy to koniecznie dodać — totalitarnej, socjalistycznej ekonomiki.
Chwyt drugi polega na kondensacji (pozwala na to poetyka hasła słownikowego) tego składnika nowomowy, który sprawia, iż stanowi ona karuzelę wzajem do siebie odsyłających sztanc frazeologicznych nie zawierających żadnej informacji. Pokazują to znakomicie hasła **Niezłomność** lub **Przewagi oczywiste**. Turbin pisze, że frazeologiczne sztance „tworzą fabułę misterium". Jeśli poprawnie go rozumiem, to mówiąc „fabuła" ma w danym przypadku na myśli to, co dzieje się na wiecach, konferencjach partyjnych czy na zebraniach komsomołu, ZMP i w ogóle dowolnej titowej omladiny. Przykłady wymienione przez niego w haśle **Niezłomność** pełniły jednak nie tylko funkcję Fabuly, lecz również Logiki.
Trzeci zabieg Turbina to ukazanie faktycznego sensu poszczególnych terminów nowomowy.
Aby wyjaśnić o co mi chodzi i dlaczego nazywam to postępowanie zabiegiem (względnie chwytem) pozwolę sobie na krótki wypad na sporny teren teorii nowomowy. Otóż, moim zdaniem, podstawowym językiem antytotalitarnym jest normalny język narodowy czy też różne warianty tej normalności (rodzinny, zawodowy itp.). Normalny, tj. taki, w którym panujący pod rządami komunistów i przyrodzony socjalizmowi niedostatek nie jest nazywany obfitością. Ktoś, kto w roku 1952 konsekwentnie używał

normalnej polszczyzny (czy dowolnego innego języka narodowego ówczesnych kadeelów), a więc ktoś kto nie mówił „troska o człowieka", „teoria dwóch kultur", „walka z biurokratycznymi przerostami", „uspółdzielczenie rolnictwa", ktoś taki używał języka antytotalitarnego. Teoretycznie było to możliwe, choć skłonny jestem przypuszczać, że wsparta przez terror i niewiarygodne „nagłośnienie" nowomowa niczym rak niszczyła tkankę normalnego języka. Z drugiej jednak strony doświadczenie poucza, że wystarczyło skontrować wypowiedziany w nowomowie pseudodyskurs prostym „nie rozumiem", by natychmiast jawiła się czysto językowa, czy komunikacyjna słabość języka totalitarnego. W swoim słowniku Turbin rzadko kiedy dokonuje prostego przekładu nowomowy na język normalny. Jego tekst oparty jest na implicite przyjętym założeniu, iż czytelnikowi ów prosty przekład jest doskonale znany, że wie on, co się dzieje „w czasie tajemnego obrzędu (...) za opuszczoną kurtyną". Dowcip Turbina byłby niezrozumiały dla kogoś, kto nie zna faktycznego sensu pojęć nowomowy. Można powiedzieć, że dowcip *Słownika pojęć służących do owijania w bawełnę* wznosi się na niewidocznym fundamencie elementarnego i niezbędnego rozumienia relacji nowomowa — język normalny. Bez tego, a także bez koniecznej wiedzy historycznej, nie można poczuć smaku zarówno całych haseł — np. **Kultura**, jak i poszczególnych konceptów, np. — „jeśli wróg się nie poddaje — likwidujemy przyjaciela". Jest to dowcip uczony, ale i pouczający, wymyślny, ale i wysokiej próby.

Dlatego wydawało mi się, że warto *Słowar' obiniakow* przełożyć na *Słownik pojęć służących do owijania w bawełnę*. Zarazem pozwoliłem sobie skrócić wersję polską o cztery hasła (**Celowość**, **Demonstracja osławiona**, **Gospodarcza reforma**, **Realizm**). Sądzę, że pozwala na to świadoma fragmentaryczność żartu Turbina.

Roman Zimand

Pożegnania

Wiesław Grabowski

Ignacy

Dzwonek, wchodzi Ignacy. Witaj na wsi! I już torba na podłodze, kapcie wywleka z szafki... zadomowiony. Torba: szmaciana, nieforemna, dziadowska, wypchana na tobołek. Makaron, książki, gazetki, słoiki, kawa.

— oj Danka, zmielesz mi kawę

— oj Wiesiek, żebym nie zapomniał, miałeś kiedyś taką korbę

— mam mam

— to wyciągnij, żebym nie zapomniał

Tymczasem Danuta z misją w kuchni. „Zaraz zjemy Ignasiu, tylko się kartofelki dogotują." Tymczasem Ignacy załatwia drobne sprawy. Telefony, siusiu, przepakowania. „Zostawię ten makaron, do następnego razu." Ktoś mówi o wyższości kaszy gryczanej.

Kawałek domu ma tu ten koczownik, kawałek — w torbie, a jeszcze ile? Do tego pobliskie sklepy, ważne na całą Warszawę. Więc bywa telefon i — oj sprawdziłbyś, czy mają listwy... przyjechałbym przed zamknięciem...

Wreszcie: gdzie jest kociołek? (gliniana popielniczka z Grecji, ma taki kształt). Siadamy.

Wieczór gęstnieje. Ciepło przez okno. Od Stanisława Kostki głos księdza. Głos dobrze ustawiony, równe i mocne kadencje. Przyjemnie słuchać. Nie wiemy co mówi, ale to jest wyważona, muzyczna argumentacja bez skazy. Ale co... minęło, i zaczęło się myczenie. Ojczyyy-zno ma!

— narzekałeś to masz, zamiast dzwonów Huizingi

(bo niedawno wydziwiał Ignacy na *Jesień Średniowiecza*, że tylko czaruje obrazami, z dźwiękiem dzwonów jako dominantą życia: jak Europa długa i szeroka, regulują one jednostajnie każdy dzień każdego, od świtu do zmroku)
— Ojczyyy-zno ma!!
Darcie szmat. Powrót do obory. Nasza dusza zbiorowa, czyli Kicz
— kicz, wiodący lud na barykady
Rozgadujemy się zgodnie, na trzy głosy. Gruboskórność jest grzechem. Z niej się bierze ten stosunek do zwierząt. Do sąsiadów, obcych. Do Żydów. (Żydzi, to co innego, precyzuje Ignacy, to metafizyczne. Jako wróg ludzkości). Szczęście, że u nas to jest miękkie, ciapowate, bez krwi przelewu. Miękkość we wszystkim, od antysemityzmu do koloryzmu (w malarstwie). Tyle że upokorzenie boli bardziej.
— tak czy owak, naród wybrany... w złą godzinę
— a wiesz — przypomniał sobie nagle — przeczytałem twego Szatyna (*Na aryjskich papierach*, tytuł mówi za siebie, na to namawiałem)
— ... i nie bardzo... on myślał tylko o sobie! jak przeżyć
To jest Ignacy — choć głową w mur! Bronię Szatyna, zachwycam się wspomnieniem o pławieniu koni w Sanie, z dzieciństwa. Na próżno. Pamiętniki zresztą, uważa Ignacy, są gatunkiem samoułudy, zamiast rzeczywistych spraw dają ich późne wrażenie. Co innego studium historii. Polska i sąsiedzi, systematycznie. To konik Ignasia, jeden z kilku. Teraz
— czy mam coś o Litwie? Nie mam.
Mija szara godzina, podbita melodią zaokienną, od-kościelną, buro-białoczerwoną. Ojczyznama dawno zrobiła swoje, i może nawet, kto wie, raz jeszcze, jak nie raz dotąd, spłynęło jak po gęsiach „Stawam na placu z Boga ordynansu"... Danka z Ignacym obgadują pracę, Danki instytut. Robi się z tego jakiś Balzac — kryminał, portret obyczajowy i traktat polityczny naraz. Słucham jak dziecko i jednocześnie owijam w gazetę korbę
— rany boskie, Wiesiek, co ty czytasz?!
więc odwijam z powrotem. Na pierwszej stronie „Czerwonego Sztandaru" duża fotografia pierwszomajowej trybuny. Reprodukcja słabiutka, widać tylko ciemne, uproszczone sylwety ludzi i konstrukcji. Tym bardziej uderza czytelność tego ikonostasu. Ignacy wciąga się, studiujemy. Z dużego prostokąta pudła wysterka do góry rząd kilkunastu małych prostokącików. Liczba ich jest nieparzysta. Musi być, żeby jeden był dokładnie w środku, a musi być w środku, bo jest najważniejszy. Na lewo od niego tkwią trzy prostokąty podwójnej szerokości, dalej reszta. Na prawo tak samo, jak w lustrze. To marszałki, domyślam się o podwójnych, ale Ignaś decyduje inaczej: generały, Wilno za małe na marszałków. Śmiejemy się, insynuujemy.

— zgrzebło?
— dolna szczęka
— strzelnica
— nie wyszło zbyt zabawnie... zawijaj.
I w tym rozchybotaniu wszystko przetoczyło się na „sytuacje". To dopiero pasja Ignacego, a optymizm! Nieraz ledwo wejdzie, siądzie i
— dobra jest sytuacja, co?
na przykład Afganistan:
— ale posłuchaj, tam każdy jest kłusownikiem, człowiek bez strzelby nieważny, a helikopter leci nisko i ma taki słaby punkt, tu nie ma siły...
pamiętam nawet:
— to już się nie daje łatać, brak im wszystkiego, wszędzie, sypie się... do osiemdziesiątego czwartego? nie dociągną, nie ma mowy, co ty!
ale łupnąć chyba mogą jeszcze, tylko na razie jest inna kalkulacja?
— a chcieliby, pewnie, tylko że nima kim, nima ludzi, dziś każdy cwaniaczek namyśli się dwa razy...
głupia perspektywa, że hołota zacznie się jeszcze pchać do S.?
— a żebyś wiedział!
Ignacy nie ma nadziei, ma pewność. Ma „wyrobiony stosunek do wszystkiego" (jak kiedyś, ktoś, zupełnie inny, powiedział o samym sobie). Jego zwyczajność i jego dziwaczenia są z linii tej samej konsekwencji. O, raz
telefon: leć... możesz? szybko na Krasińskiego, kup ryzę papieru, właśnie sprzedają
— tylko jedną?
— sprzedają po jednej, no może ci dadzą dwie, jedna dziewczyna dostała dwie
Poszedłem, rozejrzałem się, kupiłem dziesięć. Aż trudno było ogarnąć, wyślizgiwały się, ale po drodze stały ławki, można było przystawać, poprawiać. Dało się donieść.
Za parę dni przychodzi, pokazuję z dumą, co za cezaryczny triumf. A on
— a wiesz, obserwowałem cię wtedy, z odległości...
Jedna śmierć sama konspirowała konsekwentniej, tylko nikt o tym nie wiedział. Wtedy.
Dlatego różne głupoty przedkładam Ignacemu do ekspertyzy. Teraz było tak. Czyściłem buty na otwartej przestrzeni między blokami. Oparłem stopę na słupku, z tych co chronią trawniki przed samochodami, oparłem i czyszczę, a tu przechodzi milicjant, zatrzymuje się i dalejże: a co robię (buty sobie czyszczę), a dlaczego tu, a gdzie mieszkam, a to dziwne. Odpowiadałem prosto i szczerze, nie przerywając czyszczenia, kolejno

zdziwiony, rozbawiony i zniecierpliwiony, ale on odszedł chyba nie całkiem pocieszony. Ignacy komentuje
— co ty chcesz od biednego milicjanta, przecież to masówka, ich jest masa, szkolenie masowe, takie żeby każdy mógł się nauczyć, nastawienie na ilość, jak jest tysiąc nawet przypadkowych sprawdzeń to zawsze coś się zahaczy, ogólna reguła taka że cokolwiek choć trochę odbiega od normy to już warto sprawdzić
i po namyśle
— widocznie ludzie na ogół nie czyszczą butów poza domem.
Objaśnił. Skalibrował. Wysnuł morał.
Przechodzimy do drugiego pokoju, od Stanisława Kostki do Karola Boromeusza. Widać światełko na kopule kościoła i w ogóle cisza, spokój — choć nie dlatego że Boromeusz, tylko dlatego że wejścia na klatki schodowe, same klatki, dzieci na dole i wreszcie sam Stanisław Kostka, wszystko to zostaje po tamtej stronie. Tu jest możliwa inna muzyka. Szukam w płytach, znajduję coś dla nas wszystkich: Mahalia Jackson. Ekstatyczna, od pierwszej chwili. Nogi bym jej całował!, wołam z przekonaniem, a Ignaś zastanawia się, waha, dobiera:
— a ja...Danuty Rinn.
Dobra jest w Ignacym ta szczypta Brzeskiej. Potrzebna. Tu się pichci nowa wrażliwość, chwilami „przepalona", trudno, ale żywsza, prawdziwsza, stosowniejsza do tego innego świata dookoła. „Już nic być nie może jak było" to może nie cytat — może nikt nie powiedział ani napisał dokładnie tak — ale wygląda jakby sto milionów powiedziało to sobie w myśli. Podobno Józef Czapski — ten święty Józef — nie mógł sobie przypomnieć nazwiska jakiegoś enkawudysty:
— zaraz, zaraz... jak się ten skurwysyn nazywał?
A jednak. Przebija się — przebiło — przez to wszystko, mimo wszystko — ...down by the riverside
... ...
Down!
Down!
— — i ćwiek wbity.
Wybieram następną płytę, z muzyką cerkiewną, ale na Ignasia późno już. Spogląda tylko na kopertowy wizerunek i pyta, czy rzeczywiście Mikołaj został wykreślony z pocztu świętych, jako osoba nigdy nie istniejąca? Nie wiem, martwię się. Przypuśćmy że tak, to czy dotyczy to prawosławnych? Chyba nie, bo czy ikona nie jest dowodem na istnienie? A jak ikona Mikołaja mogłaby móc nie być ikoną? Nie tylko modlili się do niej (do

niego) święci, ale i malowali ją, kierowani nieomylną wizją. W dodatku Mikołaj to nie byle jaki święty. Jak ruszyć Mikołaja, to spruje się wszystko. A ze świeckiego kąta patrząc, skąd by się wziął Mikołaj, jeżeli go nie było? Z plotek? Z językowej pomyłki, jak Paraskewa-Piatnica albo święta Zofia? Nawet dzisiaj — wprawdzie się już nie mnoży, ale za to przekręca. Stany Zjednoczone, **Błękitna rapsodia.** Co by się z tego mogło kiedyś urodzić
— święty Rapsod?
— święty Rapsodyk
— tak tak, święty Rapsodyk Irlandzki
— albo Celtycki
Nie rozstrzygnie się już niczego. Doprzędza się wieczór, dokręca Mahalia, dopija resztki. Uprzedzała Danka, że miesiąc trzeźwości, ale Ignaś popatrzał poważnie i zadekretował: nas to nie dotyczy, tylko pijaków. Wszystko jedno, teraz to już bezprzedmiotowe. Od pięciu minut anachronizm. Więc co? Jeszcze tylko wstępna umowa na spacer po „puszczy", i torba, i korba, i powinno się zdążyć na ostatni tramwaj. Twarz Ignacego pociemniona od zmęczenia, pojaśniona od uśmiechu — na podeście znika.

To tylko wspomnienie, wieczór był dawno, Ignacy nie żyje. W najwyższym stopniu nie ma go. Notować zacząłem w dzień, kończę prawie w nocy, jestem zmęczony. Nagle te dwa wieczory, ten i tamten, przedstawiają mi się jako dwa czarne arkusze papieru, leżące przede mną płasko na biurku. Zapadam w ich mrok i ślepe, rozlane obszary nocy ogarniają mnie. Jednocześnie widzę: arkusze te żyją własnym życiem i właśnie zetknęły się ze sobą krawędziami. Jeszcze tylko prześwit, wąziutki jak ostrze noża, pręży się między nimi, ale za mgnienie oka zniknie i on. Arkusze połączą się ostatecznie i można będzie przejść z wieczoru do wieczoru, przeżyć jeden wieczór rozleglejszy niż wszystkie. Istnienie prześwitu — tak marginalne, tak naocznie u kresu, już-już przemieniane w błysk, tyleż pożegnalny co powitalny — nie może być niczym niepokojącym, żadnym zagrożeniem, żadną przeszkodą. To żaden problem, przeciwnie — wydaje się, że ta cienka, jasna kreska zawahała się z definitywnym zniknięciem tylko po to, żeby życzliwie zwrócić uwagę i podkreślić, przez delikatną lecz stanowczą obecność, cud zjednoczenia, jedyny moment, kiedy z dwóch robi się jeden. Inaczej przecież moglibyśmy w ogóle tego nie zauważyć, inaczej byłoby przecież możliwe, że najpierw widzielibyśmy po prostu dwa arkusze, a potem po prostu jeden. Przez niewytłumaczalną łaskawość ktoś albo coś — jaka słodycz niewiedzy — pozwala mi oto być świadkiem, a za moment i uczestnikiem, jedynego Zdarzenia. Drżę cały, cały jestem w spojrzeniu

i spięciu do skoku. Byle nie przegapić! Niech tylko błyśnie! Wtem szpara krótko siorbnęła, i wszystkie znaki z lewego arkusza, on sam i cały tamten wieczór ze wszystkim, co w nim było i wszystkim, co tylko być mogło, przepadły w nią na zawsze.

Od redakcji: IGNACY SIERADZKI *(29 VII 1932 — 28 IX 1989) — bibliotekarz, tłumacz, działacz „Solidarności". W latach 1969—1984 kierownik Biblioteki IBL.*

Treść

Zdzisław Łapiński Elegia na odejście nowomowy 1

Szkice

Anna Wierzbicka Język antytotalitarny w Polsce 5

Wokół Wierzbickiej

Michał Głowiński Trzy glosy 31

Elżbieta Tabakowska Niezawodne zwierciadło 34

Sergiusz Kowalski Język ideologiczny 39

Jerzy Bralczyk Antytotalitarny metajęzyk 45

Stanisław Balbus Słowa i desygnaty czy akty i gatunki mowy? 47

Anna Wierzbicka Odpowiedzi autorki 56

Jerzy Bralczyk O języku Wałęsy 60

Marek Czyżewski
Sergiusz Kowalski Retoryka Wałęsy 82

Roztrząsania i rozbiory

Jan Zieliński Człowiek Maria Rodziewiczówna 93

Anna Dutka „Krew niemiecka — praca francuska". Argumentacja i dyskurs prasy 101

Maria Janion Słońce czerwca 108

Lidia Burska Literatura polska i sprawa (też) polska 112

Bogusław Bakuła Socrealizm: perswazja i socjotechnika 114

Glosy

Anna Nasiłowska Duch Straconego Czasu 121

Walter Żelazny U źródeł nowomowy 129

Dykcjonarz

Jacques Rossi Przewodnik po Gułagu 137

Słownik pojęć służących do owijania w bawełnę (tłum. *R. Zimand*) 159

Pożegnania

Wiesław Grabowski Ignacy 173

Kultura jest nagromadzeniem tekstów. Z ich morza

biblioteka tekstów

ma ambicje wyłowić te najważniejsze dla współczesnej refleksji humanistycznej i literaturoznawczej.

Tytuły roku 1990

1. Janusz Sławiński *Teksty i teksty*

Zbiór esejów i szkiców powstałych w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Książka wyraża poczucie kryzysu literaturoznawstwa wywołanego przesileniem metodologii strukturalistycznej, do której architektów zaliczał się sam autor, oraz poczucie kryzysu instytucji społecznych rozpadającego się systemu politycznego.

2. Michał Głowiński *Nowomowa po polsku*

Zbiór szkiców poświęconych teorii i praktyce nowomowy, którą autor zajmuje się od wielu lat. Język, jakim przemawiała do społeczeństwa nieboszczka PZPR, analizowany jest m.in. na przykładzie relacji z papieskich podróży do Polski w kontrolowanej przez komunistów prasie.

3. Edward Balcerzan *Przygody człowieka książkowego (ogólne i szczególne)*

Tom najnowszych szkiców poświęconych współczesnej poezji i prozie polskiej. Opisom przygód z literaturą towarzyszą relacje z przygód przeżytych przy lekturze książek krytycznoliterackich.

Do kupienia w księgarniach i u wydawcy — z dostawą do domu — po opłaceniu subskrypcji **biblioteki tekstów** na załączonym obok blankiecie. Koszty przesyłki ponosi wydawca.

Informacje o subskrypcji zagranicznej na trzeciej stronie okładki.

Warunki prenumeraty:
Roczna prenumerata krajowa: 48000 zł (6 numerów)
Roczna prenumerata zagraniczna:
— kraje komunistyczne i postkomunistyczne: 96000 zł (pocztą zwykłą)
— inne kraje świata: 36 USD (pocztą lotniczą).
Cena pojedynczego egzemplarza — 6 USD.
Wpłaty prosimy kierować na konto: Instytut Badań Literackich PAN, „Teksty Drugie", PBK XIII O. Warszawa, nr 370044-3489 , z podaniem dokładnego adresu nadawcy.
Istnieje także możliwość opłacenia prenumeraty dolarowej czekiem, który prosimy kierować na adres redakcji.

Warunki subskrypcji biblioteki tekstów (tytuły roku 1990):
Subskrypcja krajowa: 48000 zł
Subskrypcja zagraniczna (pocztą lotniczą): 24 USD
Wpłaty prosimy kierować na konto: Wydawnictwo PEN PKO IX O Warszawa, nr 1599-309725-136, z podaniem dokładnego adresu nadawcy.

Bieżące numery do nabycia w księgarniach OR PAN

Warszawa	Pałac Kultury
Lublin	ul. Marii Curie-Skłodowskiej 5
Poznań	ul. Mielżyńskiego 27 29
Wrocław	Plac Wolności 7
Katowice	ul. Bankowa 11
Szczecin	ul. Mazurska 26
Białystok	ul. Nowotki 13
Kraków	ul. Św. Marka 22

oraz w księgarniach:

Warszawa	Księgarnia im. B. Prusa, Krakowskie Przedmieście 7
Kraków	Księgarnia Naukowa, ul. Podwale
	Księgarnia Orlando Plac Wszystkich Świętych
Wrocław	Księgarnia Ossolineum, Rynek 6
	Księgarnia Naukowa, ul. Kuźnicza
Toruń	Księgarnia Indeks, ul. Kościuszki 9
Lublin	Księgarnia Ossolineum, ul. Królewska 11

„Teksty Drugie" są kontynuacją dwumiesięcznika **„Teksty"** wydawanego w latach 1972 – 1981 i zawieszonego w stanie wojennym.

Przedsiębiorstwo LETTREX, Warszawa ul. Krucza 24/26

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

A. Barańczak
Lekcja polskiego
K. Bartoszyński
Od „naukowej" wiedzy o literaturze do „świata literackości"
H. Markiewicz
Spór o przełom pozytywistyczny
B. Miciński
Portret Juliana Apostaty
C. Miłosz
Postscriptum
R. Nycz
Nicowanie teorii
M. Porębski
Czas i sztuka
J. Sławiński
Sytuacja ma rację?
Z. Stefanowska
Borowy jako mickiewiczolog
J. Tokarska
Hermeneutyka Henri Corbina

ISSN 0867-0633